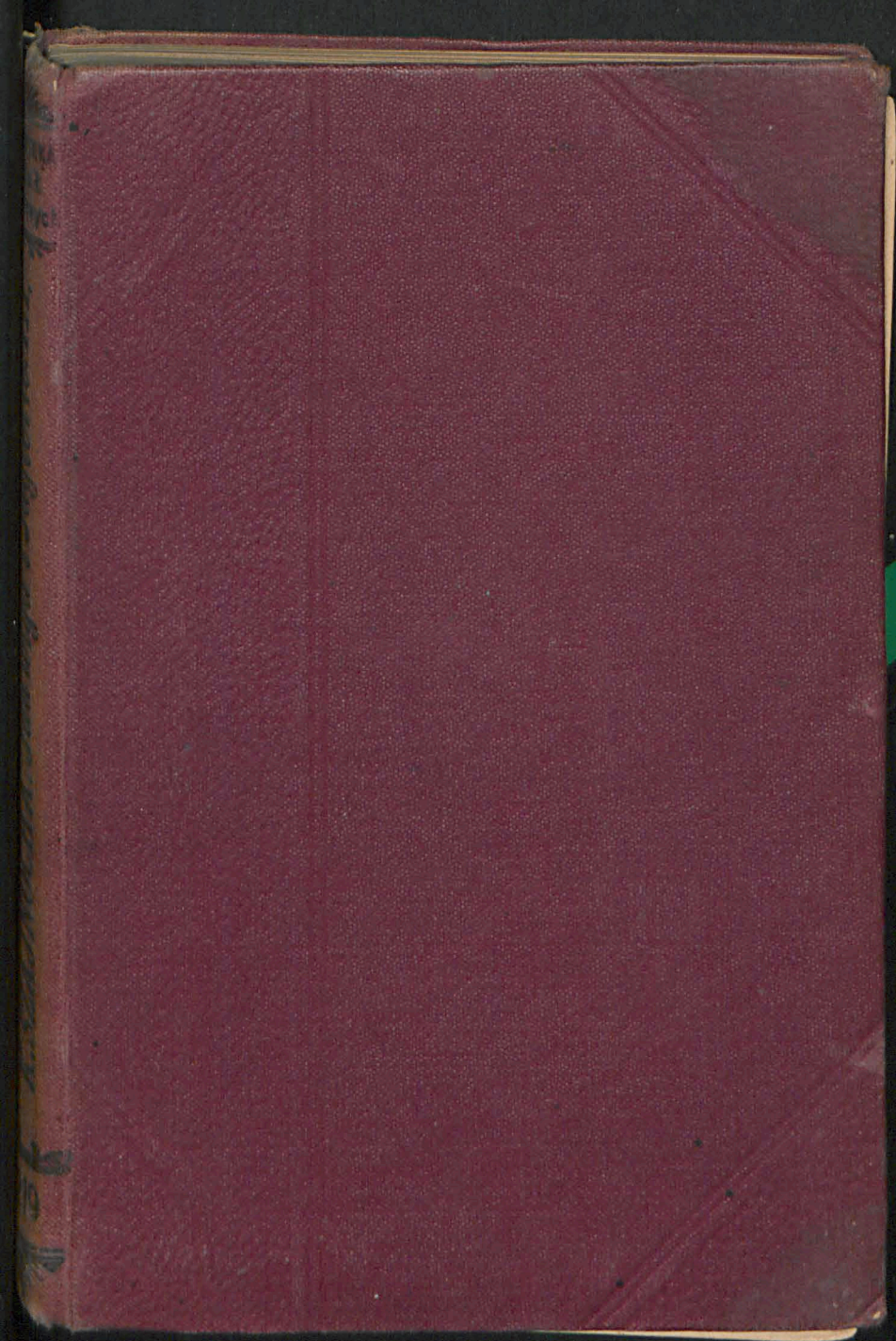




BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

we Lwowie i całym Państwie Austryackim

Rocznie . . (52 tomy) . . . złr. 14
Półrocznie . (26 tomów) . . . „ 7
Kwartalnie (13 tomów) . . . „ 3 cent. 50
Miesięcznie (4—5 tomów) „ 1 „ 20

Cena każdego tomu 30 cent.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Swiat 47.—Telefonu 1670.
we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat 47.

Kisielewicz

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH
№ 219.

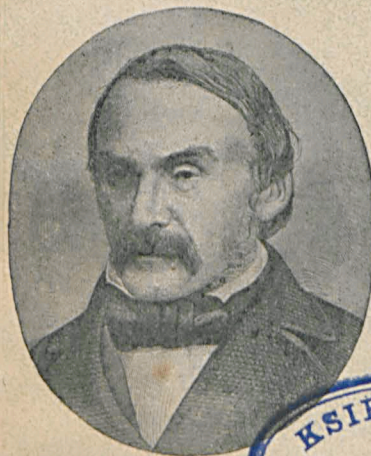
JADWIGA I JAGIEŁŁO

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

napisał

Karol Szajnoch.

Część III.



Cena 30 cent.

W prenum. 26¹/₁₀ c

ODPOWIEDZIALNY ZA REDAKCYJĘ WE LWOWIE

Edmund Kolbuszowski.

Adres wydawnictwa: Lwów, plac Maryacki 1. 4.

Karol Szajnocha.

JADWIGA I JAGIEŁŁO

1374-1413

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

Część III



WARSZAWA

DRUKARNIA

A. T. JEZIERSKIEO

47. Nowy-Świat 47.



8348



8348

943.8

929

Дозволено Цензурою.

Варшава 30 Января 1902 года.



10013793

IX. WIELKOPOLANIE.

Grzymalicy i Nałęczycze.—Spór o arcybiskupstwo.—Sprawa Grzymality Domarata.—Zjazd w Radomsku.—Widok zewnętrzny.—Głosy przeciw Zygmunтови.—Konfederacya.—Zjazd w Wislicy.—Ustąpienie Zygmunta.—Coraz świetniejsze nadzieje Polaków.—Stronnictwo Mazowieckie.—Bartosz z Wiszemburga, czyli Odolanowa.—Konfederacya z Bartoszem przeciw Grzymalitom.—Grzymalicy zaciągają posiłki z Niemiec.—Wojna.—Bitwa pod Wronkami.—Rozboje.—Posłowie królowej Elżbiety.—Zjazd w Sieradzu.—Pierwsza wzmianka o Jadwidze.—Zamary Wielko i Małopolan względem Jadwigi i Jagiełły.

Mamy przedewszystkiem wyświetlić dokładniej przyczynę zawziętej niechęci Wielkopolan przeciwko staroście Domaratowi. Wszystko, co o tem wiemy dotychczas, nie zupełnie jeszcze odsłania tajemnicę. Wroga Grzymalicy zawziętość Wielkopolan nie była jedynie osobistą. Wrzała w niej nieprzyjaźń dwóch wielkich stronnictw. Właściwa owym czasom, a osobliwie Wielkopolsce zasada pójspólności rodowej, czyniła każdego z krewnych jednej rodziny członkiem wielkiego stronnictwa rodzinnego, uczestnikiem spływającej ztąd na wszystkich opieki i potęgi domowej. Podobnie i za Grzymalitą Domaratem stała liczna gromada popleczników, składająca się już to z właściwych krewnych, już to z onych „stryjców herbowych”, już wreszcie z ludzi związanych z nimi jednością sprawy. Sprawą Domarata był popierany prze-

zeń od lat wielu interes dworu. Z nim razem walczył on o pakt koszycki, sprzyjał cudzoziemczyźnie i nowemu obyczajowi, pragnął widzieć księcia niemieckiego na tronie polskim. Takimże samym duchem tętnęła cała rzesza spółników Domaratowych. Tworzyła ona tedy stronnictwo przeciwne dawnej wielkopolszczyźnie. A początek takiej Grzymalitów roli wśród Wielkopolan sięga czasów dawniejszych od Domarata.

Pod tym względem stanowili Grzymalicy wielkopolscy zdawna osobny w tej krainie związek społeczny, który, wsiąkając w siebie wszelkie żywioły cudzoziemskie, spotężał je spólnym wpływem. Jakoż samo ich pochodzenie było niezbyt stare i niekrajowe. Herb Grzymała, brama miejska o trzech wieżach, zwykły znak zniemczających, magdeburgią obdarzonych miast polskich, przyniesiony został z Niemiec przez teutońskiego przybysza Zelberszwecha. Osiedlił on się pierwotnie w ulubionej Niemcom Małopolsce, w Sandomierskiem, rodzinnem Grzymałów Gnieździe. Zkąd następnie rozszerzyli się po Wielkopolsce. Tak temuż protoplaście rodziny, jako też całemu rodowi nadaje przywiązana niegdyś do każdego herbu charakterystyka rodowa cechy wcale niemieckie. Zelberszwech miał być „człkiem statecznym, w powieści trefnym i skąpym”, t. j. nadrabiającym wymowę, a chciwym, za główną zaś rodu jego odznakę poczytywano podstępność.

Takimi to przymioty dorobili się Grzymalicy z czasem niemałego w Wielkopolsce znaczenia. Już za czasów Łokietka siedział jeden z nich na biskupstwie poznańskim. Za Kazimierza W. zasłynął Grzymalita Janusz Suchywilk, doktor teologii, kanclerz królestwa, najmędrzy z Polaków onego czasu. Przychylnie cudzoziemczyźnie panowanie Ludwika podniosło Grzymalitów do najwyższego szczebla potęgi. Kanclerz Janusz osiągnął wkrótce arcybiskupstwo gnieźnieńskie. Jego spółklejnotnik, Domarat z Pierz-

chna, czyli Pierzechowa, dzierżył kasztelanję poznańską. Jego rodzony brat, Dzierzko, kasztelan w grodzie gnieźnieńskim. Grzymalicy Pietraszowi Małosze z Małochowa porucił dwór wielkorządtwo kujawskie po odjęciu onego braciom Bartoszm. Wreszcie, zasiadłszy się dworowi ratowaniem Węgrów w czasie rozruchu krakowskiego, uzyskał Domarat w nagrodę długoletniej wierności jeneralne starostwo Wielkopolski, który to najwyższy świecki urząd tej ziemi poddawał władzy Domaratowej siedem grodów królewskich, t. j. Poznań, Kalisz, Gniezno, Kcynię, Konin, Kościan i Pyzdry. Z tych dwa pierwsze zależały bezpośrednio od jenerała starosty, reszta dostawała się z jego ramienia w zarząd zaufanym stronnikom rodu, jakimi np. okazali się później Grzymała z Oleśnicy, kasztelan kostrzyński, Andrzej z Świerżadowa kamieński. Wierzbęta ze Smogulca i inni. W ten sposób znaleźli się „stateczni i wymowni a podstępni” Grzymalicy jako dzierżyciele stolicy duchownej, wielkorządtwa i tyłu kasztelanij, w posiadaniu wszelkiego prawie zwierzchnictwa nad Wielkopolską.

Bolało to gorzko stronników starodawnej wielkopolszczyzny. Pomiedzy tymi celowali osobliwie członkowie rodu Nałęczów. Ci należeli do najstarożytniejszej krwi polskiej. Jeszcze z czasów pogaństwa początek swój wywodząc, szczylicili się Nałęcze dokumentami, które im już od Mieczysława I miały być udzielone. Później najznakomitsze dostojęństwa, jako to arcybiskupstwa, biskupstwa, kasztelanie, szły kolejną w ich rodzinie. Tą starożytnością pochodzenia, dostojęstwami i fortuną w dumę wzbici, odznaczali się Nałęcze z dawien dawna dziwnie rogatą zuchwałością. Poburzała ona ich nader często do buntów przeciw własnym książętom. Od wielu pokoleń musiał prawie każdy władca Wielkopolski rozprawiać się z Nałęczami. Na sto lat przed Kazimierzem W. uniknął książę Przemysław I przygotowanego sobie przez nich wygnania z kraju jedynie tem, iż równie śmiało

na Nałęczów uderzywszy, powieził hersztów rokoszu. Temci pomyślniej powiodł się bunt Nałęczów i Zarębów przeciwko Przemysławowi II, odnowicielowi tytułu królewskiego, któremu rokoszanie przypisywali zamiysł ukrócenia ich zdzierczej możnowładzy. Nie-szczęśny koniec tego zamachu przypisał, jak wiadomo, króla Przemysława o śmierć gwałtowną, a królestwo o nową przez lat kilkanaście zamieszkę. Za karę tego odjęto Nałęczom różne zaszczyty, mianowicie prawo stawania podczas boju w pierwszych szeregach rycerstwa i noszenia czerwonych szat, t. j. prawo liczenia się publicznie do magnatów.

Mimo to nie zaprzestali oni trząść Wielkopolską, a gdy po królu Przemysławie zawiądnął w niej niemczyli Henryk Głogowczyk, i ściągnął z Niemiec ogromną siłę zbrojną ku zupełnemu przytłumieniu polszczyzny, Nałęcz Dobrogost z Szamotuł rozgromił do szczeru potęgę książęcą i Łokietkowi do Wielkopolski drogę otworzył. Ale jeszcze za tegoż samego króla Łokietka drugi Nałęcz z Szamotuł, wojewoda poznański i jeneralny starosta wielkopolski, Wincenty, obrażony odjęciem mu wielkorządztwa, pogrążył swoim w spólte z Krzyżakami podjętym buntem całą krainę Wielkopolską w przepaść klęsk i zaburzeń wojennych. W końcu upamiętał się Wincenty z Szamotuł, i tak ścisłą z królem i ojczyzną ponowił zgodę, iż dotychczasowi jego sprzymierzeńcy, Krzyżacy, dzięki temu pojednaniu, krwawą pod Płowcami ponieśli ranę. I zdaje się, jakoby teraz z Wincentym cały ród zachwały pojednał się na chwilę z władzą zwierchniczą. Za Kazimierza W., w wojnach z książętami ruskimi, stoją Nałęcze mężnie przy królu i odzyskują tem dawny zaszczyt pierwszego szeregu i szat szkarłatnych. Prócz tego wraca król najmożniejszym z Nałęczów, t. j. rodzinie Czarnkowskich, odjęty im przez Łokietka gród Czarnków, gniazdo całego domu.

Tak nanowo do czci i znaczenia przychodząc, nie mieli Nałęcze bynajmniej chęci znosić cierpliwie

zwierzchnictwa Grzymalitów. Coraz większa waga tego dworskiego stronnictwa, z całym w obecnych czasach przygnębieniem miłej Nałęczom staroświecczożny pobudzała ich znowuż do gwałtownego Grzymalitom i publicznemu porządkowi oporu. A lubo stronnictwo Domaratowe przez zajęcie głównych dostojenstw urosło w większą od Nałęczów potęgę, toć mnogie jeszcze środki ułatwiły przeciwnikom ten opór. Przedewszystkiem groziła Grzymalitom ze strony Nałęczów owa pospólność rodu, którą się działo, iż „najuboższy szlachcic, zebrawszy bratanków i przyjaciół, największego zawojować zdołał magnata.” W duchu tej pospólności każdy „stryjec herbowy” zamieniał się czasu potrzeby w sprzymierzeńca, a każdy sprzymierzeniec prowadził zwykle liczną gromadę potomków. Śród rojnej bowiem wielkopolskiej braci herbowej wydarzało się nieraz, iż pod strzechą szlachetną zasiadało przy rodzinnem ognisku dokoła ojca domu po dwudziestu kilku synów, z których później, jak kronika herbowa opowiada, z ośmiu „zbito” na wojnie, a ze 20 wychodziło na kasztelanów.

Liczne więc zastępy zbroiły się na zawołanie Nałęczów. Najgłośniejszymi ze „stryjców” tego domu byli obecnie: Jan z Czarnkowa, sędzia poznański, Sędziwój Świdwa, kasztelan nakielski, Dzierżko Ostroń Grochola, kasztelan santocki. Należy tu wymienić także znanego nam już archidyakona gnieźnieńskiego, Janka z Czarnkowa, niegdyś podkanclerzego królestwa, a osobliwie Bartosza z Wiszemburga, albo Wajsborga, byłego wielkorządcę Kujaw, także spótherbownika Czarnkowskich. Większa część tych Nałęczów, jak np. uczony dziejopis archidyakon, złożony przez królową Elżbietę z podkanclerstwa i nawet z kraju wygnany, jak następnie ten Bartosz z Wiszemburga, pozbawiony przez królową jeneralnego starostwa kujawskiego, mieli osobistą urazę do dworu, wspieranego tak gorliwie przez Grzymalitów. Ztąd opór starodawnych Nałęczów przeciwko temuż nowo-

czesnemu dworowi i wszelkim nowym ustawom nabierało wiele osobistej goryczy. I zanosilo się na srogi lada chwila wybuch panującej pomiędzy obudwoma rodami nienawiści. A ponieważ i Grzymalicy okrom swojej potęgi urzędowej liczyli także na znamienitą pomoc rodową, przeto mógł ten wybuch długoletnie wywołać zamieszania.

W takim stanie rzeczy zdarzył się wypadek, który obadwa zwaśnione domy jeszcze śmiertelniej rozjątrzył przeciw sobie. Na kilka miesięcy przed zgonem króla Ludwika umarł arcybiskup gnieźnieński, Grzymalczyk Janusz. Wyniesienie nowego arcybiskupa było w tej chwili ważniejszym, niż kiedykolwiek wypadkiem. Nowy albowiem arcybiskup miał prawdopodobnie przeżyć starego króla i koronować jego następczynię, najstarszą córkę. Przeciwnikom więc następstwa królewien, do których się Nałęczycze liczyli w pierwszym rządzie, uśmiechała się zawsze jeszcze nadzieja jakiegoś niepomyślnego wówczas dla królewien obrotu rzeczy. Chodziło więc przedewszystkiem o to, aby nowy arcybiskup sprzyjał starodawnemu obyczajowi, był szczerym Wielkopolaninem, jeśli można, Nałęczem.

Znalazł się taki kandydat w osobie Dobrogosta, doktora teologii, czyli, jak wówczas mówiono, dekretatorów, dziekana krakowskiego, kantora poznańskiego. Miał on wszelkie pożądane zalety. Urodzony na Mazowszu w Płockiem, potomek szlacheckiej rodziny Łażeńskich, dziedzic nowego dworu, a ztąd Nowodworskim niekiedy zwany, spółherbownik Nałęczów, posiadał Dobrogost nadto zachowanie u króla i Małopolan. Był on bowiem pierwotnie proboszczem, a później dziekanem krakowskim i kapelanem, a nawet dworzaninem króla Ludwika. W tym oboim charakterze służył Nowodworski królowi i Małopolanom przed kilku laty za posła do Litwy, niosącego braciom Olgierdowi, Kiejstutowi i Lubartowi list papieża, Grzegorza XI, z napomnieniem do przyjęcia wiary Chrystusa. Ale to

wszystko nie sprzeniewierzyło Dobrogosta rodzinnej Wielkopolszczyźnie. Owszem, od lat kilku w wielkopolskich znowu stronach osiadły, zbliżył on się bardzo przyjaźnie do młodszego księcia mazowieckiego Ziemowita, w mowie potocznej „Semka”, któremu wielkopolscy przeciwnicy dworu, jako Piastowi, daleko większą, niż królowi, okazywali życzliwość.

Jakoż ten przyjazny stosunek z księciem Semkiem poparł najskuteczniej sprawę podniesienia Dobrogosta na arcybiskupstwo gnieźnieńskie. Zaledwie gruchnęła pogłoska o śmierci przeciwnego Piastom arcybiskupa Janusza Grzymality, obległ książę Semko arcybiskupi zamek Łowicz, gdzie nieboszczyk Janusz osadził swego bratanka, Dzierzka, kasztelana gnieźnieńskiego, najzarliwszego Grzymalitę, a szczególnego wroga księcia. Twierdząc, jakoby zarząd zamku i powiatu łowickiego przez czas opróżnienia stolicy arcybiskupiej należał do książąt mazowieckich, mierzył Semko widocznie do zupełnego przywłaszczenia sobie Łowicza, jednej z najpiękniejszych posiadłości kościoła gnieźnieńskiego, gdyby któryś z przeciwnych Piastom prałatów dostał arcybiskupstwa. To skłoniło kapitułę gnieźnieńską do zgodnego wyboru Dobrogosta Nałęczycza, przyjaciela Ziemowitowego. Nowo obrany udał się natychmiast w towarzystwie kilku księży i szlachty, pomiędzy którymi sędzia poznański Jan, herbu Nałęcz, do obozu księcia pod Łowiczem, gdzie mile odeń przyjęty, szczerliwie zgodę do skutku przywiódł. Książę odstąpił od oblężenia, a kapituła odjęła zarząd Łowicza Grzymalicy Dzierzkowi, poruczając go na zawsze jednemu z kanoników gnieźnieńskich. W ten sposób wzięli Nałęczycze w sprawie arcybiskupiej stanowczą nad Grzymalitami przewagę.

Atoli nie było jeszcze końca tej sprawie. Dotknięci osobiście Grzymalicy, postanowili wszelkimi siłami zapobiedz potwierdzeniu wyboru Dobrogosta. Jakkolwiek bowiem w onych czasach same kapituły wybierały sobie biskupów i arcybiskupów, zawsze

przecież potrzeba było naprzód przyzwolenia królewskiego, a następnie za przyczynieniem się królewskiem zatwierdzenia stolicy apostolskiej. Zakrzętneli się tedy Grzymalicy u króla Ludwika około przeszkodzenia Dobrogostowi. Najgorliwiej miał psować mu tam sprawę wielkorządcą Domarat. Przedstawiono królowi, jakoby między Ziemowitem a Dobrogostem zachodziło tak ścisłe porozumienie, że nowy elekt gnieźnieński przyrzekł już Ziemowitowi ukoronować go królem polskim po śmierci Ludwikowej. Przecogdy stronnicy i posłowie Dobrogosta, pomiędzy którymi ów sędzia poznański Jan znowuż pierwsze zajmował miejsce, stanęli przed królem Ludwikiem z prośbą o zezwolenie na wybór swojego klejnotnika, rozgniewany i przestraszony Ludwik oświadczył im wyraźnie, iż nigdy Dobrogosta nie dopuści do arcybiskupstwa. A gdy sam Dobrogost, bez względu na niechęć króla, wyruszył z Wrocławia po zatwierdzenie papieżkie w drogę do Rzymu, król Ludwik zażądał czempredzej od przyjaznych sobie książąt niemieckich, przez których kraje Dobrogost miał przejeżdżać, aby przytrzymano nieprzyjaciela.

Skutkiem takiej odezwy przyaresztowany został Dobrogost we Włoszech północnych, w mieście Treviso, należącym podówczas do rakuzkiego księcia Leopolda, ojca Wilhelmorego, któremu sam Ludwik do odziorzenia tegoż miasta dopomógł. Tymczasem w ciągu kilkumiesięcznej niewoli Dobrogosta w Trevisie, ujęty prośbami króla, papież Urban VI mianował arcybiskupem gnieźnieńskim Bodzantę herbu Szeliga, rządzącą dóbr królewskich w ziemi krakowskiej i sandomierskiej. Wypuszczonemu z niewoli Dobrogostowi nie pozostało nic innego, jak powrócić spokojnie do swego kantorstwa w Gnieźnie. Zuchwały Nałęcz chciał wprawdzie utrzymać się przemocą przeciw Bodzancie, i za powrotem do Polski udał się w pobliże swego protektora Ziemowita do Łowicza, żądając od kapituły wydania mu tego zamku w po-

siadłość. Ale kapituła nie śmiała opierać się papieżowi, a to zniewoliło Dobrogosta i przyjaciół do zaniechania dalszych zabiegów. Nie pomogły wszelkie usiłowania przeciwników Domarata i jego rodu; nie dojrzały wszelkie nadzieje, tak blizkie już ziszczenia. Grzymalicy tryumfowali. Nienawiść Nałęczów najwyższego dosięgła stopnia.

Z tego to powodu, gdy jednocześnie z powrotem Dobrogosta do Polski król Ludwik zeszedł ze świata, a zaprzyjaźnieni z jego następcą, Zygmuntom, Grzymalicy mieli przez głównego doradcę Zygmunutowego, jenerała starostę Domarata, wszechwładnymi w Wielkopolsce zostać panami, uciekła się cała „społeczność” pokonanych Nałęczów do ostatniego środka obrony i zażądała oddalenia starosty. Zarzucało głównie Domaratowi, iż w duchu dworskiej i małopolskiej skłonności ku możnowładztwu uciemieżał i krzywdził „bracie” ubogą, szlachecki gmin wielkopolski. Zygmunt atoli nietylko wzgardził żądaniem szlachty, lecz jeszcze surową wicherzycielom zagroził karą. Natenczas i Nałęczom już nietylko przeciwko Domaratowi i Grzymalitom, ale zarazem i przeciwko Zygmuntowi zabezpieczyć się należało. W tym celu puszczonego głos po kraju, aby wszyscy obywatele, Nałęcze i Nie-nałęcze, zgromadzili się do Miłosławia na wspólną około dobra powszechnego naradę. Co gdy się stało, uznano w Miłosławiu przedewszystkiem za rzecz potrzebną nie rozpoczynać nic bez wiedzy i przyzwolenia Małopolan. Zmuszała do tego obawa niebezpiecznego oporu ze strony szlachty krakowskiej, połączona z nadzieją sklonienia jej do spólności. Wyślane tedy zostało poselstwo do panów małopolskich, wzywając ich na walny zjazd w wielkopolskim mieście Radomsku, w dzień świętej Katarzyny, d. 25-go listopada.

Zaproszeni panowie małopolscy nie przybyli wprawdzie na zjazd. Atoli gromadne zebranie się „całej rzeszy najpierwszych i najstarszych ze szlachty

wielkopolskiej" i zapadła tam w końcu postanowienie większości, uczyniły dzień 25-ty listopada r. 1882 jedną z najpamiętniejszych chwil dziejów polskich. Osobliwie stał on się przez to ważnym, iż wbrew przeciwnemu usposobieniu obudwóch głównych prowincyj polskich Wielkiej i Małej Polski wskazał zgromadzonym w Radomsku Wielkopolanom konieczną potrzebę braterskiego porozumienia się z Małopolską. Jakoż więcej niż którykolwiek z wypadków owoczesnych przyczynił się ten zjazd radomski do przygotowania ściślejszej na przyszłość jedności obudwóch przeciwnych dotąd prowincyj. Z tej przyczyny słuszną wpatrzeć się bliżej w to staroszlacheckie zgromadzenie w Radomsku.

Najprzód obeznajmy się z przybyłymi tamże urzędowymi przewodnikami Wielkopolski. Na pierwszym miejscu godzi się wymienić nowego arcybiskupa Bodzantę, lubo on zrazu, mimo swojej godności pierwszego doradcy Zygmunto-ego, dość biernie się zachowywał. Towarzyszył mu, jak zwykle, drugi i najgłówniejszy z doradców, generał-starosta Domarat, sół w oku Wielkopolski. Po nich najpoważniejszym pomiędzy jej wielmożami był wojewoda kaliski, piastujący zarazem godność starosty krakowskiego, Sędziwoj z Szubina, herbu Topór. Trzeci z dotychczasowych doradców margrabiego Zygmunta, zdawał on się w teraźniejszym poswarku margrabi z Nałęczami przychylniejszym stronnictwu narodowemu, a wra-żie zupełnego z niem połączenia, rokował mu wielką pomoc. Podobną podpórę obiecywała sobie szlachta z obecnego na zjeździe wojewody poznańskiego, Wincentego z Kępy, herbu Łódzia.

Oprócz tych wszystkich, zjechało się do Radom-ska wielu jeszcze kasztelanów, podkomorzych, pod-czaszych, stolników i innych urzędników ziemskich. Z tych niektórzy, jak np. kasztelan nakielski, Sędzi-woj Swidwa Nałęcz, jeden z bohaterów późniejszej walki domowej i Wyszota z Kurnika, jeden z najzar-

liwszych zwolenników staropolszczyzny, gwoli której chciał on niedawno z za furty benedektyńskiej w Dy-wionie sprowadzić do kraju mniemanego jej obrońcę Władysława księcia na Gniewkowie—odznaczali się gorącą ku paktowi koszyckiemu niechęcią. Wreszcie znajdował się w Radomsku tłum nieudostojnionej za-dnym tytułem „braci szlachetnej,” której same gmin-ne nazwiska, jak np. Piotrko Dobicki, Dobrogost Włoczejowski, Piotrko Sośnicki, Włodzimierz Borzu-kowski, Szymon Gromowski, znane z podpisów za-wartej pod koniec zjazdu ugody, wprowadzają nas w ówczesną ciżbę drobnego szlactwa wielkopol-skiego.

Cała ta gromada radomska była zdawien dawna przyzwyczajona do gwarnej sejmikowania. Miejsce-m obrad teraźniejszych rozwarła się (według zwyczaju) zapewne fara miejska lub kościół istniejącego tu od pół wieku klasztoru franciszkańskiego. Zimowa pora nie pozwalała wykwinności w ubiorze. Ztąd gdyby-śmy chcieli uczynić sobie wyobrażenie obradującej w kościele szlachty, ujrzelibyśmy ją powszechnie otu-loną w one szuby i kozuchy różnego kształtu, które tyloraki w owych czasach pozostawiły po sobie wzmianki. Na szubach pańskich świeciło pokrycie czerwone, podbite i wyłożone przyznanem w statucie dostojęństwu wojewodów i kasztelanów futrem grono-stajowem, łasicznem, kunie-m. Lisie i baranie kożu-chy niższych urzędników były pokryte szarem suk-nem krajowem, a uboga szlachta nie wzdragała się za-pe-wne nieczem niepokrytych tułubów. Różnym rodzajom kozuchów odpowiadała podobną różnorakość pokry-cia głowy. Moźniejsi panowie stroili się w ozdobne, kragie, perlami przetykane mycki, zwane „pętliki,” na które pod gołem niebem w czas słotny zaciągano cięższe kaptury. Ludność uboższa, przyzwyczajona chodzić najczęściej z gołą głową, okrywała się od słoty i mrozu albo kapturem u opończy, albo dużą, na uszy nawlekana czapką futrzaną. W takie same

szerokie buty futrzane chroniły się w zimie nogi, okryte zwyczajnie obuwem nakształt chodaczków, o szerokiemi aż pod kolano sięgającym sznurowaniu rzemieniem lub taśmowem.

Tak niewojenny ubiór powszedni miewał za całe uzbrojenie wetknięty za pas, czyli za tobole pod kożuchem lub szubą kord, będący z początku tylko przedłużonym nożem. Miecz nie uchodził wcale za konieczny potrzebny przydatek stroju. Nie przypasywano go nawet w życiu powszednim. Trzystopowej długości, obosieczny, chowany w skórzaną pochwę, okręconą na krzyż rzemieniem, którym ją sobie w bitwie przypasywano do pasa, bywał miecz zwyczajnie noszony w ręku. Uboższy właściciel podpierał się nim, jak laską; za możnym, za książęciem niósł go nieodstępujący pana pacholik, giermek. Obrady radomskie nie wprawiły go w ruch. A niesrogiego ich charakteru dopełniała zgodna z futrzaną miękkością stroju łagodność fizjonomii szlachty zebranej. Z pod futrzanej odzieży wyglądały oblicza jasne, nie przyćmione żadnym zarostem brody, ozdobne tylko wąsem i krągło dokoła głowy ostrzyżonymi włosami. Sztucznie ukręcone kędziory pozostawiono wówczas ludom zachodnim. Brodę zapuszczali jedynie starcy i umartwiający się postami pokutnicy. Noszenie jej poczytywano wyobrażeniem krajowem za cechę nieokrzesaności, tak dalece przeciwną zwyczajowej, że wszyscy brodacze, jak np. książę wrocławski, Henryk, ojciec Henryka Pobożnego, lubo jak Krzyżacy, otrzymywali od niej odznaczający przydomek.

Nie tak więc srodze marsowo, jak wyobrażenia poetów marzy zwyczajnie o tamtych czasach i ludziach, wyglądało nasze zgromadzenie radomskie. Jedynym rysem ponurym, ćmiącym jego fizjonomię ze wewnętrzną, było powszechne okapturzenie głów. Wszyscy przytomni obradnicy, nie dla listopadowej pory zjazdu, lecz w znak obecnego stanu królestwa, obecnego osierocenia korony, mieli skronie zakryte ka-

pturami, najzwyczajniejszym zresztą odzieniem głowy. Uchodziło to za tak stanowcze znamię zgromadzenia teraźniejszego, że całe zapadłe w niem postanowienie otrzymało następnie miano: kaptur. Mógł zaś ten symboliczny zwyczaj nakrycia przy obradach dwojakie mieć znaczenie. Oznaczał on może najprzód żalobę publiczną po śmierci króla, jaką wistocie wyrażano niegdyś kapturem, a obchodzono zdawien dawna po każdym znakomitszym monarsze. Albo też stosował on się do prawnych obyczajów zachodu, mianowicie zwyczaj u teutońskiego, według którego ile razy obradowano w imieniu króla, zawsze obradnicy mieli odkryte głowy i ręce; przy obradach zaś z własnej pełnomocności, a tem samem przy wszystkich obradach i sądach w bezkrólewiu, przywdziewali kaptury.

Do uzupełnienia tych rysów dodać należy, iż podczas, gdy „panowie bracia” obradowali pod sklepieniem kościelnym, w tym samym czasie na dworze, w zabudowaniach klasztornych, w jednej i drugiej gospodzie miejskiej, pod rozbitą naprędce szopą, obozowała nader liczna czereda służby z tłumem koni i wozów. Jakkolwiek bowiem podróż zwyczajnie odbywała się konno, za każdym jednak podróżnym jeźdźcem możniejszym ciągnął tabor wozów ze zbroją, żywnością, ruchomościami, obrokiem. Na 200 koni podróżującego orszaku rycerskiego przypadało nieraz 150 wlokących się za nim wozów. Ztąd na każdym miejscu zjazdu obradowego zbierał się stek rozmaitej ludności służebnej i poddańczej, pomnożony napływem garnących się do niej włóczęgów handlowych, kuglar-skich i wróżbiackich...

Również mnogość i różnaitość zdań roiła się w gronie obradującej wśród tego zgietku szlachty. Już to na jedną okoliczność, t. j. na niezdadność Zygmunta do rządzenia narodem polskim, coraz powszechniejsza stawała zgoda. Nieprzyjaźni Nałęczów powiodło się rozbudzić mnogie przeciwko niemu nie-

chęci. Zaczęto mu zarzucać, iż nietylko „w samego Domarata, stronnika Niemców, wległ,” lecz w ogólności cudzoziemcom, a zwłaszcza Czechom przychylniejszy jest, niż Polakom. Obrażało też naród, przyzwyczajony do swobodnego biesiadowania ze swojemi książętami, że młody margrabia, idąc za ceremoniałem zachodnim, nie dopuszczającym prostej szlachty do stołu książąt, kazał szlachtę wielkopolską w porze obiadowej oddalić z sali jadalnej, czyli, jak to w gniewie nazywano, wypędzić z dworu.

Wreszcie zachwiał margrabia nawet życzliwość Małopolań, nadając probostwo zwierzynieckie przeciwnikom i wstawieniom się wielmożów małopolskich za Polakiem Nankierem, jakimś przybyszowi czeskiemu. Te wszystkie zarzuty brzmiały teraz głośno w ustach nieprzyjaciół Zygmunta i coraz jednomyślniejszy wstręt ku niemu budziły. Lecz komuż natomiast miano przyznać prawo do tronu? To pytanie wirem nowej niezgody rozrywało w różną stronę umysły. Najżarliwsi przeciwnicy Zygmunta i całego nowoczesnego obrotu rzeczy, Nałęczowie, upatrywali dobro ojczyzny w zupełnym obaleniu traktatu koszyckiego, w odjęciu królowi praw następcstwa i powołaniu na tron jednego z żyjących jeszcze Piastów, młodego księcia Semka Mazowieckiego. Mógłby on zresztą nie wykluczyć córek Ludwikowych od tronu, lecz pojąć jedną z nich za małżonkę, mianowicie młodszą Jadwigę. Temu Nałęczów zdaniu oparli się inni twierdzeniem, iż wierni dworowi Małopolanie, sprawcy traktatu koszyckiego, nie poświęcą żadną miarą królowien Ziemowitów, a prawdopodobnie ztąd rozdwojenie Małej i Wielkiej Polski, rozerwanych między królową i Piastem Semką, pociągnie za sobą wojnę domową, jeśli nie całkowite nawet rozpręgnięcie ojczyzny. Niektórzy wreszcie stali uparciwie przy utrzymaniu Luksemburczyka na tronie polskim.

W takiej zamieszce głosów przemogło nakoniec zdanie pośrednie. Było ono wprawdzie nader stanow-

czem co do swojej myśli właściwej, lecz sformułowanie onego zalecało się tak dyplomatyczną zręcznością i oglądą, jakiejbyśmy zaledwie spodziewali się po onym wieku prostoty. Pominęto milczeniem obiedwie ostateczności zdań, to jest Zygmunta i Ziemowita, a przyodziano się pozorem niezachwianej wierności domowi królewskiemu i ugodzie koszyckiej. Zaczem, nie zrywając bynajmniej z Małopolską, zamknięto sztandar królowien i to nawet tej poszczególnie królowej, którą, według brzmienia układu koszyckiego, przeznaczyła narodowi sama matka-królowa. „Rozumie się — dodawano nie bez słuszności, komentując dotyczący warunek koszycki — którą przeznaczy narodowi polskiemu na to, aby stale zamieszkała w królestwie.”

Owoż ten mało znaczący komentarz zmieniał rzecz całą. Po śmierci króla Ludwika sprzeciwili się Węgry jego wielokrotnie objawionemu rozdysponowaniu koron pomiędzy córki, mianowicie przeznaczaniu królestwa węgierskiego Jadwidze. Mając bez nazbyt gorącej chęci oddać berło jednej z młodocianych królowien, przyjąć króla żeńskiego, woleli Węgrzy królowę doroslejszą, niż mniej dorosłą. Została tedy nazajutrz po śmierci ojca podniesiona na tron węgierski i ukoronowana w Budzie starsza królowna Marya. Poprzednie przygotowania w Polsce na korzyść Maryi, mianowicie wyprawa tamże jej oblubieńca Zygmunta, pozwalały przypuszczać, że Marya i w Polsce zachowa berło. Skutkiem tego byłyby obiedwie korony w dalszej trwały jednością. Ponieważ to atoli przeciwko się życzeniom Polaków i wiadomej woli nieboszczyka króla Ludwika, przeto znalazła się w tem broń przeciwko Zygmuntowi, a to przez uboczne oparcie się jego przyszłej małżonce Maryi, nie mogącej bawić stale na ziemi polskiej, ile, że przywiązanej rządami do państw węgierskich.

Nie występując tedy jawnie ani przeciwko Zygmuntowi, ani nawet przeciwko Maryi, poddając się

posłusznie wyborowi matki - królowej, oświadczone stanowczo, iż Polacy przyjmą za króla tę z królewien, która, według ugody koszyckiej, będzie im dana do stałego pobytu w Polsce. Teraźniejsza królowa węgierska Marya — rozumowano dalej — nie może zapewne odpowiedzieć temu żądaniu. Gdyby przecież matka-królowa umiała usunąć tę przeszkodę, Polacy i przyjęciem Maryi dopełniliby układu koszyckiego...

Takie sfomułowanie uchwały zdało się wszystkim stronom dogodne. Zaspakajało ono wiernych dworowi Małopolan, z którymi zrywać nie chciało. Usuwając małżonka Maryi, czyniło ono zadość Wielkopolanom. Jakoż przystąpili do tej powszechnej uchwały nawet najznakomitsi Zygmunt i Nałęczów stronnicy.

W liczbie tych nowych i wcale niespodziewanych zwolenników partii szlacheckiej odznaczał się osobliwie sam trzeci z dotychczasowych doradców Zygmuntowych, wojewoda kaliski i wielkorządca krakowski, Sędziwoj z Szubina, klejnotu Topor. W rzędzie przyzwalających na zgodę z Małopolską Nałęczów widzimy samych przewodców późniejszej walki Nałęczów z Grzymalitami: kasztelana nakielskiego Sędziwoja Świdę, Wyszotę z Kurnika i wielu innych. Tylko dwaj najwyżsi dostojnicy koronni, nowy arcybiskup Bodzanta i wielkorządca Domarat, upierając się przy Zygmuncie, sprzeciwiali się zgodzie powszechnej. Arcybiskup wymawiał się obowiązkiem zaprzysiężonej już Zygmuntowi wierności; Domarat oświadczył surowo, że nie tylko pozostanie wiernym margrabi, lecz owszem, podda mu czempredziej należące do starostwa wielkopolskiego zamki i miasta. W ten sposób uchwała pospolita ujrzała się zagrożoną przeciwnictwem potężnym, mającym najwyższą władzę w swem ręku. Takiemu przeciwnictwu mógł tylko jeden środek oporu sprostać.

Środkiem tym była konfederacja braterska. Nietylko nie obce czasom dawniejszym, lecz owszem

tej dawniejszej epoce bardziej niż późniejszej właściwie, stanowiły konfederacje główną spójnię społeczeństwa owoczesnego. Wszystkie państwa europejskie wieków średnich — mówi gruntowny znawca onego czasu — były nieczem innem, jak tylko konfederacyami, t. j. związkami bardzo różnorodnych części składowych, spojonych z sobą nader niedokładnym węzłem lenniczym, ideami religijnymi i instytucjami w duchu hierarchii. Razem z innymi ludami mieli i Słowianie gorącą skłonność do tej formy związków społecznych. Odznaczały się zaś konfederacje słowiańskie od innych tem osobliwie, iż dla prawomocności postanowień konfederackich potrzeba było koniecznie jednomyślnej zgody całego związku. Ztąd każdy głos pojedynczy, nie zgadzający się ze zdaniem reszty, bywał krwawą przemocą zniewalany do zgody. Przywiązując tak przesadną wagę do każdego pojedynczego *nie - pozwalam*, miewało to wymaganie zupełnej jednomyślności nawet w obradach sądowych zastosowanie, a początkami swemi sięga najodleglejszej starożytności. Jeszcze o pogańskich przodkach Polaków, o nadodrzańskich Lutykach, donoszą naoczne świadectwa Niemców: „Jednomyślną obradą uchwały w zborach swoich stanowiąc, zgadzają się wszyscy w wykonaniu rzeczy postanowionych. Kto zaś przy obradzie sprzeciwia się postanowieniu, tego chłostają kijami; a jeśli po za miejscem zboru poważy stawić opór, tedy albo pożarem i ciąglem pustoszeniem wszystko postrada, albo, według swej zamożności, pewną sumę pieniędzy wypłacić musi”. Prawie temiż samemi słowy wyraża się późniejszy o kilka wieków akt konfederacji szlacheckiej z roku 1439, mówiąc o występcach przeciw zamierzonej wówczas jednomyślności: „Ślubujemy sobie wzajem, pod karą utraty gardła i majątku, wiary i czci, pomagać jeden drugiemu wiernie i nieodmiennie, a gdyby kto chciał się odrywać od społeczności naszej, przeciw takiemu przyrzekamy sobie wszyscy słowem uczciwości i wia-

ry powstać jednomyślną zgodą ku śmiertelnej pomście i zgubie, i prześladować go zagładą naprzód życia, a potem mienia całego". Tak ściśłą jednością związane stowarzyszenie przybierało już za czasów Kazimierza W. słuszną nazwę „konfederacyi braterskiej”, „braterstwa” albo „bractwa”. Taki też związek braterski umyśliła zgromadzona w Radomsku szlachta postawić naprzeciw nie zgadzającej się z jej zdaniem potędze arcybiskupa i wielkorządcy.

Jakoż sprzysiężono się w rzeczy konfederacyą, nazwaną od pory swojego zawiązku kapturem i stwierdzoną aktem pisemnem. A ponieważ obwarowana w ten sposób uchwała radomska, obok zamiaru usunięcia Zygmunta, miała oraz na celu utrzymanie braterskiej z Małopolską jedności, przeto nadano pomienionemu aktowi konfederackiemu kształt prawomocnego zobowiązania się Wielkopolan względem prowincyi małopolskiej, w szczególności względem głównych ich dostojników. I brzmiał więc ten po dwudniowej naradzie skreślony, a mnogimi podpisami i pieczęciami umocowany dokument w treści jak następuje:

„Zgadza się to z rozumem i kanonami św., aby cokolwiek ku pożytkowi państwa dokonane i wyrzeczzone zostanie, pisemnem także zatwierdzono świadectwem. Przeto my: Wincenty poznański, Sędziwoj kaliski wojewodowie, Jan kaliski, Sędziwoj nakielski, Andrzej szremski, Mojeek biechowski, Krystyn zbąszyński kasztelanowie, Świętosław poznański, Mikołaj kaliski podkomorzowie, Ubisław cześnik kaliski, Lasota stolnik, Józef z Horodyszcz, Wyszota z Kurnika, Kunat podsędek kaliski, Piotrko Dobicki, Tomisław z Wyssok, Dobrogost Radomicki, Dobrogost Włoczekowski, Szczedzik Dupnicki, Pietro Sośnicki, Mikołaj Pietrowski, Włodzimierz Borzukowski, Laszek Welowski, Szymon Gromowski, Pietryk Stanacki, Mieczko Krystowski, Niezko Kaczkowski, Jan Popczyk, Janusz Jarogłowski, Albert z Goraja, jakoteż wszelka reszta

szlachty, rycerstwa i cała społeczność Wielkopolski, przyrzekamy wielebnemu w Chrystusie ojcu i panu Janowi, z przejrzenia boskiego biskupowi krakowskiemu, jakoteż bronnym i szlachetnym mężom a panom, Dobiesławowi kasztelanowi, Spytkowi z Melsztyna wojewodzie krakowskiemu, Janowi wojewodzie, Janowi kasztelanowi sędomierskiemu, Jaśkowi kasztelanowi wojnickiemu, tudzież wszelkiej reszcie bronnym i szlachetnym mężom a panom i całej społeczności ziemi krakowskiej, sędomirskiej, sieradzkiej i łęczyckiej pod przysięgą, jawno i szczerze, jako chcemy dotrzymać wierności i posłuszeństwa córce ś. p. króla Ludwika, tej mianowicie, która nam jako prawa dziedziczka daną będzie do zamieszkania w królestwie, według dawniejszych układów i postanowień. Od którychto praw i ustaw nigdy nie odstępimy. A gdyby kto śmiał powstać przeciw takowym, natenczas my wszyscy jednomyślnie i zgodnie przeciwko niemuż powstać obiecujemy i onego jako wiarołomcę i gwałciciela praw naszych chcemy wszystkiemi gnębić siłami. A gdyby który z panów lub szlachty, jako gorliwy miłośnik i obrońca naszych przywilejów i praw, musiał toczyć wojnę z wiarołomcą takowym, tedy my wszyscy przyrzekamy wzajemnie bronić i wspierać tegoż obrońcę naszych swobód. Wreszcie, gdyby cokolwiek z zagranicy poważył się w czasie bezkrólewia najeżdżać dobra kościelne lub pograniczne ziemie państwa naszego, obowiązujemy się wszyscy według naszych dostatków bronić ziem najechnych”.

Dokument ten wyprawiła szlachta wielkopolska, rozjeżdżając się z Radomską, do panów małopolskich. Jednocześnie dostała się na dwór owdowiałej królowej Elżbiety wiadomość o zaszłych w Polsce zdarzeniach, mianowicie o odstąpieniu Zygmunta, a ponowionej dla królowien wierności. Pierwsza połowa tej wieści, niefortunność margrabi, nie wielce, jak się zdaje, zasmuciła królowę. W całym swoim postępowaniu okazuje się Elżbieta zupełnie obojętną dla losu

swoich przyszłych zięciów niemieckich, Wilhelma i Zygmunta. Toż i teraz nie widzimy z jej strony żadnego kroku ujęcia się za Zygmuntem. Druga wieści polskich połowa, wierność Polaków dla królewien, wymagała wdzięcznego wzajem uznania i utwierdzenia. W tej myśli wysłała królowa czempredzej dwóch biskupów, Emeryka zagrzebskiego i Jana czanadzkiego, do panów polskich. Tak ci posłowie węgierscy, jak i wielkopolscy wysłańcy z Radomska, zastali teraz w Małopolsce zjazd wielki, równoznaczny niejako radomskiemu. Odbywał on się w Wiślicy, w 12 dni po zjeździe wielkopolskim, w dzień św. Mikołaja, 6 grudnia 1382.

Jak cała Małopolska, tak też i zjazd wiślicki odznaczał się większą okazałością. Samo miejsce zebrania, starożytna Wiślica, wzbudzało poszanowanie. Leżała ona na wzgórzu między szerokimi łąkami, w pośrodku dwóch odnóg Nidy, jakby na wyspie. Przygody tulającego się tu niegdyś Łokietka i ustawodawczy sejm Kazimierza W. uczyniły ją na zawsze pamiętną w dziejach. Opasywał ją mur dokoła. Miała zresztą Wiślica na przyległej łące błotnistej kamienny zamek, trójkątnym obwarowany okopem, a wpośród murów miejskich wspaniała, z ciosu przez Kazimierza W. wzniesioną kolegiatę. W licznych zabudowaniach miejskich stanęły teraz gościnną wszystkie prawie znakomitości historyczne obecnej chwili. Zjechali znówuż arcybiskup Bodzanta ze starostą Domaratem. Pod ich zastoną przybył do Wiślicy sam margrabia Zygmunt ze swoim dworem niemieckim. Duchowni posłowie węgierscy, otoczeni liczny orszakiem, zastępowali matkę królową. Moźni panowie małopolscy, których dopiero przy zjeździe następnym będziemy mieli poznać sposobność, przyspieszyli gromadnie na przyjęcie tak znamienitych gości sejmowych. Co więcej, według społecznego świadectwa, mieli w Wiślicy zgromadzić się także „posłowie wszystkich ziem królestwa polskiego”. Lubo Mało-

polanie nie mogli, albo nie chcieli przybyć na zjazd wielkopolski w Radomsku, do Małopolski, jako do górującej teraz krainy, mimowolnie wszystko garnęło się i dążyło.

Najważniejszą czynnością tego sejmowego zjazdu w Wiślicy było wysłuchanie posłów węgierskich. W obecności Zygmunta, arcybiskupa i Domarata przedstawieni całemu zgromadzeniu, złożyli oni podziękowanie królowej za okazaną w Radomsku wierność królownom. Dalej prosiła przez tych posłów Elżbieta, aby Polacy tak długo też samą zachowywali wierność, w żadne zresztą względem nikogo, nawet względem margrabi Zygmunta, nie wchodząc zobowiązania, aż póki by im królowa, według przysługującego jej prawa, nie wyznaczyła jednej z królewien następczynią na tronie polskim.

Ucieszeni tą wiadomością Polacy, przyjęli i stwierdzili jednomyślnie uchwałę zjazdu radomskiego, odstępując tłumnie Zygmunta, któremu zarzucone w Radomsku uchybienia, mianowicie nadanie probostwa zwierzynieckiego Czechowi, zupełnie odstręczyły harde serca Krakowian. Z woli szlachty zebranej rozsłano po całym państwie rozkazy, aby ani Kraków, ani którekolwiek z miast i zamków polskich nie ważyły się wpuścić w swoje bramy Zygmunta. Pozostała mu tylko wierność arcybiskupa Bodzanty i starosty Domarata. Wkońcu i ci przekonali się o niepodobieństwie utrzymania się Luksemburczyka i zapragnęli połączyć się z bracią szlachecką. Starosta Domarat ofiarował nawet justyfikację z przypisywanych mu win. Atoli zwycięzka szlachta nie chciała przyjąć pierwiej usprawiedliwienia Domarata, aż póki on, stosownie do dawnego żądania Wielkopolan, nie złoży starostwa generalnego. Z tem umyślił Domarat ociągnąć się jeszcze do czasu, przez co przedłużyła się waśń. Młody zaś Zygmunt, od kilku miesięcy tak pewny tronu polskiego, musiał, chcąc nie chcąc, zdecydować się do odwrotu.

Wraz z rozjeżdżającymi się z wiślickiego zjazdu panami udał się Luksemburczyk ku krakowskiej stolicy. Chciał on tam przed ostatecznym złożeniem broni spróbować, czy zniemczałe mieszczaństwo nie wpuści go do miasta. „Odradził to” mieszczanom kasztelan krakowski, stary Dobiesław z Kurozwęk. Nie pozostało mu tedy nic innego, jak ustąpić z królestwa. Aby się tem prędzej pozbyć natręta, podjęła się szlachta dostarczyć mu bezpłatnie wszelkich potrzeb podróży. Zaczem, przebywszy Wisłę, publicznym podejmowany groszem, ruszył Zygmunta zwolna na Niepołomice, Bochnię i Sądecz, w smutną drogę do Węgier. Pierwsza jego wycieczka w świat historyczny, pierwsze wystąpienie na scenie dziejów, nie-szczesny wzięło koniec. Najmilsze, bo najwcześniejsze z marzeń, młodzieńcze marzenie korony polskiej, przyniosło mu gorzki niespodziewanego zawodu, okryło go niesławą. Pięć różnych koron zajaśniało później na zesterzałej skroni Zygmunta, lecz wszelki ich blask nie zdołał przyćmić bolesnego wspomnienia młodzieńczej niefortunnosci w Polsce. Przez całe życie ciągnął późniejszego króla i cesarza jakiś dziwny urok na wschód, ku stronie polskiej, tak często przezeń w złych i przyjaznych zwiedzanej chwilach.

Atoli ciągnął go tam napróżno. Bo dokonane teraz przez Wielkopolan wyparcie Zygmunta z Polski było początkiem ważniejszych zdarzeń, które wciskającemu się i tryumfującemu z nim teutonizmowi zagroziły do czasu wszelką drogę postępu. Dzięki temuż oporowi wielkopolskiemu, runęły z nadziejami młodego Luksemburczyka, oraz i całego teutonizmu nadzieje. Stara Wielkopolska, stara wielkopolszczyzna, rozradowała się dawno niedoznaną radością.

Zanosilo się owszem na coraz większą w jej wyobrażeniu pomyślność. Znaleźli się bowiem gorliwcy, którzy, niezadowoleni odsunięciem Zygmunta, silili się koniecznie dopełnić dzieła wzniesieniem na tron polski księcia narodowego, potomka dawnych

Piastów, Semka mazowieckiego. Na czele tego zwłaszcza w Wielkopolsce szeroko rozgałęzionego stronnictwa wystąpił znany nam już z kilku okoliczności Bartosz z Wiszemburga, czyli Wajsborga lub też Więcborga. A ponieważ teraźniejszy jego udział w wypadkach coraz przeważniejszego na ich obrót nabiera wpływu, przeto zawiążemy tu bliższą z tym Nałęczami znajomość.

Był to pan możny, zaszczycony względami i przyjaźnią królów i książąt. Rodziane jego gniazdo, miasteczko Wiszemburg, czyli Wajsborg lub Więcborg, leżało w północnej Wielkopolsce na pograniczu brandenburskiem, zwanem pospolicie Krainą, a mieszczańcem w sobie starodowne włości Nałęczów, jak np. Czarnków, Człope, Wałecz i inne. Pochodziła zaś rodzina Wiszemburgów pierwotnie (według wszelkiego prawdopodobieństwa) ze Szlązka, od bardzo zacnego protoplasty. Na 150 lat przed czasami naszej powieści służył u dworu sławnego księcia szlązkiego, Henryka Brodacza, niejaki Peregryn z Wiszemburga. Mimo niemieckiego nazwiska posiadłości, od której się mianował, a która nic nie dowodzi, był to prawdopodobnie krajowiec szlązki, t. j. za czasów Henryka Brodacza—Polak. Podczas pamiętnego zjazdu między Leszkiem Białym, Henrykiem Brodatym i Świętopełkiem Pomorskim w Gąsawie r. 1227, targnął się ten ostatni na życie obu poprzednich. Leszek zginął, a Henryka zastąpił własną piersią Peregryn, dając gardło za pana. W wynagrodzenie tego obdarzył ocalony książę potomków Peregrynowych licznymi włościami; z książęty, zaś szlązkimi, mianowicie z Głogowczykiem Henrykiem, który przeciw Łokietkowi dzierżył przez niejaki czas Wielkopolskę, a u którego Wiszemburgi w wielkim byli zachowaniu, przeszła rodzina Peregrynowa do Wielkopolski.

Ojciec naszego Bartosza, także Peregryn, które to imię powtarzało się gęsto w rodzinie, pisał się, według zwyczaju czasu, od innej posiadłości z „Chote-

la", albo Chotelski. Syn jego, Bartosz, otrzymał od Kazimierza W. w r. 1369 darowizną miasteczko Koźminek z wsiami: Osuchów, Chodupki, Nakwasin i Złotniki. Zapewne tenże sam król nadał mu także miasto i zamek Koźmin, który w r. 1358 odjęty został przez Kazimierza W. głośnemu wicherzycielowi Maćkowi Borkowicowi, a później przeszedł w ręce Bartosza. Następca Kazimierzów, Ludwik, obdarzył Bartosza na wstawienie się Władysława, księcia Opolskiego, starostwem odolanowskim. Zwyczajem ówczesnym, służyły Bartoszowi te wszystkie posiadłości za tyle różnych nazwisk. W dokumencie Kazimierzowej darowizny Koźminka używa on starodawnej nazwy rodowej „*de Wissemburg*”; później czytamy go Bartoszem z Koźminka, albo Koźmińskim z Odolanowa, albo Odolanowskim, a niekiedy od innej posiadłości Złoty, dawano mu jeszcze miano „*de Złota*”. W onych zaś czasach, kiedy przy niestabilnym jeszcze trybie pewnych nazwisk rodowych wyraz „imię” znaczył zarazem nazwisko i posiadłość, tak pomyślna obfitość i bałamutność nazwisk, świadczyły najdowodniej o znacznej w różnych stronach fortunie.

Pomnażał ją Bartosz jeszcze posiadaniem niektórych dóbr w starodawnej ojczyźnie Wissemburgów na Szlązku i zyskownym urzędem w Polsce, t. j. starostwem ziemi kujawskiej. Zwyczajnym zapewne trybem wszystkich urzędników tamtoczesnych, wyposażanych dochodami z opłat sądowych, miejskich i cłowych, było mu to starostwo w pierwszych latach panowania króla Ludwika wypuszczone dzierżawą za 800 grzywien rocznej opłaty. Z tak znamienitą fortuną łączył Bartosz wypróbowaną w wielu okolicznościach szlachetność i ogładę umysłu. Bogate dary Kazimierzowe nie padły zapewne niegodnemu. W ciągu trzyletniego dzierżenia starostwa kujawskiego okazał się Bartosz „mężnym obrońcą kraju, gorliwym przestrzegaczem spokoju i bezpieczeństwa, srogim prześladowcą łupieżców i złodziei”. W szególno-

ści zasłużył on się domowi królewskiemu przytłumieniem awanturniczego buntu księcia Władysława Białego.

Przy czem wszystkim celował jeszcze możny pan na Wiecborgu, Koźminie, Koźminku i Odolanowie rycerskim, na zagraniczną stopę polorem i bardzo żywym sentymentem honoru. W czasie wojny Władysława Białego popadł pewien młynarz i bardzo biegły budowniczy machin wojennych, imieniem Hanka, w niewolę rokoszującego księcia, który pod słowem uczciwości pozwolił wrócić mu do domu, z obowiązkiem stawienia się na każde zawołanie. Gdy wojna nanowo rozgorzała, doszedł Hanka rzeczywiście list Władysławów z napomnieniem stawienia się. Nie wiedząc, czy ma dotrzymać słowa, udał się młynarz do swojego starosty, Bartosza z Wissemburga, wojującego właśnie z księciem Władysławem, z prośbą o wsparcie go radą w ciężkiem zwątpieniu. Pozyskanie budowniczej pomocy Hanka było dla Władysława nieocenioną korzyścią, a każda korzyść księcia była klęską Bartosza. Mimoto nie ulega Bartosz pokusie utwierdzenia Hanka w widocznej chęci niedotrzymania słowa, lecz oświadcza mu zimno, iż sam powinien wiedzieć, co czynić. Hanka wrócił w niewolę, gdzie księżę Władysław Biały za posądzenie o zdradę spalił go kazał.

A gdy księżę наконец zmuszony został do zupełnego poddania się Bartoszowi w zamku Złotorii i tem jedynie osłodzić sobie chciał niefortunność wojenną, iż swojego zwycięzcę Bartosza wyzwał na zwyczajny w takim razie pojedynek rycerski, skory do zadośćuczynienia kardemu honorowemu wezwaniu, Bartosz staje do walki z Władysławem i w naddatek zwycięstwa gruchocze mu prawe ramię. Również honorowe stosunki wiązały Bartosza później z niektórymi książętami zagranicznymi, jak np. z W. mistrzem krzyżackim, Konradem Wallenrodem, utrzymującym w następnych czasach przyjazną z Bartoszem korespondencyę.

Atoli im większej zamożności i powagi używał możny Wielkopolanin, tem baczniej czuwał dwór podejrzliwy nad wszystkimi jego sprawami. I owóż, zdało się rodzinie królewskiej, że postęпки Bartoszone nieprzyjaznym tchną duchem. Skutkiem tego zaczął dwór prześladować Bartosza. Odjęto niebezpiecznemu Nałęczowi starostwo Kujaw, ponieważ jego następca, małopolski Grzymalita Pietrasz Małocha, większy dworowi czynsz ofiarował. Obrażony tem Bartosz wywarł swój gniew na głównym w Polsce spółniku dworu, Nadirspanie Władysławie Opoleczyku, księciu Wieluńskim, srodze odąd najazdami Bartoszewemi utrapionym. Ta zaczepka wojenna rozdrażniła przeciw niemu tem więcej umysł królewski. Około tychże czasów zdarzył się powód do coraz nieprzyjaźniejszych targów z dworem. Bądźto wśród onej zbrojnej zwady z Opoleczykiem, bądź przy jakiejś innej okoliczności, popadło odrazu 59 rycerzy francuskich, w drodze na dwór krzyżacki, w niewolę pana Bartosza. Nie było innego sposobu uwolnienia się z niej, jak wypłacić Bartoszewi żądany okup w kwocie 27,000 złotych. Pożyczył im tę sumę W. mistrz pruski, Winryk z Kniprøde, poczem Francuzi wyszli na wolność.

Sądząc się jednak przeciw prawom rycerskim pojmanymi od Wiszemburga, udali się uwolnieni do króla Ludwika z żałobą na Bartosza i prośbą o dopomożenie im do odzyskania pieniędzy. Król Ludwik nie pragnął niczego więcej, jak upokorzyć Bartosza, do czego właśnie nastęrczała się teraz sposobność. Ujął się więc krzywdy Francuzów i rozkazał hardemu Więcborgowi zwrócić im 18,000 złotych. Gdy Bartosz nie chciał dobrowolnie uczynić zadość, nastąpiła egzekucya orężna. Z rozkazu królewskiego podjęli wszyscy starostowie w r. 1381 powszechną przeciwko Bartoszewi wyprawę mającą pozbawić go trzymanych przezeń zamków. Skończyło się jednak na spustoszeniu pobliskich włości duchownych i na rozejmie między stronami, mocą którego odłożono całą sprawę do wyroku czterech sędziów kompromisarskich.

Wskutek tej umowy wróciły wprawdzie niektóre włości starostwa Odolanowskiego w posiadanie królewskie, atoli główne grody Koźmin, Koźminek, Odolanów i inne widzimy nadal w ręku Bartosza. Ztąd, gdy król Ludwik w roku następnym wyprawiał przed swoją śmiercią młodego margrabię po koronę do Polski, pierwszym Zygmunta dziełem miało być stanowcze rozbrojenie możnego wroga, który, zwłaszcza w czasie bezkrólewia, mógł stać się niebezpiecznym. Zdobyto na nim podówczas Koźmin. Nabieżyce, Koźminek. Atoli nadniesiona przy oblężeniu Odolanowa wiadomość o śmierci króla Ludwika, zmusiła Zygmunta i jego trzech doradców do starania się o hold Wielkopolski w Poznaniu. Zawarto więc znowuż tylko chwilowy z Bartoszem rozejm, po którym później trwała, za wyrokiem polubownym, nastąpić miała ugoda. Tymczasem okoliczności inaczej sprawę zakierowały. Zygmunt poszwankował w Wielkiej i Małej Polsce, a Bartosz, rozjuszony przeciwko całemu domowi królewskiemu, obawiając się ciągłego odeń prześladowania, umyślił doprowadzić wypadki do ostateczności, to jest obalić zupełnie następstwo królówien andegaweńskich i wbrew uchwałom radomskiej i wiślickiej — podnieść oręż w obronie Piasta, obwołać Semka królem.

W tym celu udał się zuchwały Nałęcz po wojsko i pieniądze na Mazowsze do księcia Ziemowita. Ten jął się oczywiście z ochotą przedsięwzięcia. W niedostatku pieniędzy, stała zawsze w pogotowiu dla przyjaciół i nieprzyjaciół, dla Zygmunta i Ziemowita, lichwiarska pomoc Krzyżaków. W przeciągu niewielu dni pomiędzy zjazdami w Radomsku a Wiślicy podpisał Piast mazowiecki w krzyżackim zamku Strasburg, polskiej Brodnicy, dokument zeznania, jako on, książę Semko, w dowód szczególnej przyjaźni dla zakonu, daje mu w zastaw za 7,000 złotych gród Wiznę z całym okręgiem. Z częścią tych pieniędzy i zbieranym naprędce tłumem wojennym ruszył Bar-

tosz w połowie miesiąca grudnia do Wielkopolski. Zamierzone przezeń ubieżenie królewskiego zamku w Kaliszu nie powiodło się wprawdzie. Za toż wziął Bartosz kika pomniejszych zamków, jak np. utracony świeżo Koźminek, Chocz, Parsk i skłonił kilku ziemian do połączenia się z Ziemowitem. To było dostatecznem do podźwignięcia w całej Wielkopolsce stronnictwa mazowieckiego, stronnictwa Piasta.

Jednocześnie z tem pojawieniem się nowej partii wystąpili stronnicy konfederacji radomskiej ze zbrojnym upomnieniem Grzymały Domarata, aby ustąpił z generalnego starostwa, t. j. z połączonych z niem siedmiu grodów królewskich. Następnie wydali konfederaci radomscy odezwę do całej szlachty wielkopolskiej, aby żaden z ziemian, pod utratą gardła i czci, nie uznawał Domarata starostą, nie przyjmował jego pozwów sądowych, nie składał mu danin i win. Zresztą trwali konfederaci w zaprzysiężonej królowi w Radomsku i Wiślicy wierności.

Uporczywy Domarat nie usłuchał wyroku konfederacyi. Pragnąc ciągle widzieć Zygmunta na tronie polskim, a rozjątrzony przeciw szlachcie z powodu nieprzyjęcia ofiarowanego przezeń w Wiślicy usprawiedliwienia, postanowił on utrzymać się orężem przy wielkorządztwie. Owszem, coraz dalej po za granice właściwego Grzymalitom umiarkowania sięgając, zagroził Domarat całemu narodowi wielkopolskiemu, iż do poruczonych swojej pieczy zamków królewskich sprowadzi niemieckie z Zyguntowej marchii brandenburskiej posiłki. Te zaś wespół z zaciągnięciem przezeń niemieckiem i kaszubskim żołdactwem zrządzą swojemi napadami na dwory ziemiańskie, rabowaniem i paleniem włości szlacheckich, tak wielką szkodę całemu krajowi wielkopolskiemu, że dwa wieki następne nie będą jej mogły naprawić.

W ten sposób zabrzmiiała Wielkopolska naraz poszczęciem trzech różnych stronnictw zbrojnych. Stanęli naprzeciw siebie Mazowszanie pod sztand-

darem Piasta Semka, konfederacji z hasłem królowy zamieszkałej w Polsce, t. j. tylko pozornie Maryi, w gruncie zaś innej, i Grzymalici, wierni margrabi Zyguntowi. Ale ponieważ ci ostatni, jako najmniej narodowym przejęci duchem, jawnie na cudzoziemskiej polegali pomocy, przeto nastąpiło nieznacznie połączenie się przeciwko nim obudwóch stronnictw poprzednich, narodowych. Zaniechawszy nazwę Mazowszan i konfederatów, nazwały się obie sprzymierzone strony powszechnie „partią ziemiańską”, albo w przeciwieństwie nazwy Grzymalitów, Nałęczami, co przecież nie zatarło zupełnie różnicy zdań, dzielącej wistocie sprzymierzeńców. Jedni z nich, t. j. konfederaci radomscy, ludzie możniejsi, a tem samem bliżsi możnowładztwu małopolskiemu, popierali spólnie z Małopolanami sprawę królowien; drudzy Mazowszanie, ludzie w ogólności ubożsi, tłum szlachty drobnej, stali przy Ziemowicie, który zresztą przez poślubienie królowy pojednać mógł obadwa sprzeczne zdania. I na tę pojednawczą stronę Piastową przychyliła się z wyjątkiem kilku najgorliwszych stronników dworu, jawnie lub skrycie cała nareszcie Wielkopolska.

Znaleźli się tedy Grzymalici zagrożeni zjednoczonymi siłami konfederatów radomskich i Mazowszan. Nie mogąc im podołać, osadził Domarat swoje grody starościńskie należytą załogą i pośpieszył do sąsiednich krain niemieckich po żołdactwo zaciężne. Tymczasem sprzymierzeńcy rozpoczęli kroki nieprzyjacielskie. Naczelnik stronnictwa konfederackiego, wojewoda poznański, Wincenty z Kępy, połączył się z naczelnikiem stronnictwa mazowieckiego, Bartoszem. Naturalnym planem ich wojny z Domaratem było oprowadzenie jego siedmiu grodów starościńskich, głównej podstawy potęgi wielkorządczej, tj. Poznania, Gniezna, Kalisza, Pyzdr, Konina, Kościana i Keyni. O zamek kaliski kusił się już napróżno pan Bartosz z Wiszburga. Szczęśliwiej powiodło mu się w Pyzdrach.

Podstąpiwszy z wojewodą Wincentym w połowie stycznia roku 1383 pod tenże drugi gród Grzymalitów, zmusili sprzymierzeńcy mieszczaństwo po czterech dniach oblężenia do otwarcia bram miejskich, zaczęli po trzech dalszych dniach poddać się i zamek z całą załogą. Pospieszyli więc zdobywcy co prędzej ponowić zamach na Kalisz. Jednocześnie zaś przygotowywano sobie blizkie opanowanie trzeciego zamku, Poznania. Posłużył ku temu ważny w onych czasach wypadek, t. j. pisemny sojusz szlachty z mieszczaństwem, w szczególności ziemian, oblegających Pyzdry z mieszczanami poznańskimi.

Widząc całą prawie szlachtę ziemską pod bronią przeciw Domaratowi, umyślili mieszczanie poznańscy nie uznawać go podobnie za wielkorządcę i wysłali z tem oświadczeniem posłów do obozu ziemiańskiego pod Pyzdrami. Wdzięczna za to szlachta dała nawzajem dnia 18 stycznia r. 1383 pisemne mieszczanom upewnienie, że niema innych zamiarów, jak tylko takie, które również trafiają w myśl mieszczaństwa. Atoli ten akt dyplomatyczny, podobnie jak i poprzedni akt konfederacyi w Radomsku, nie zdaje się szczerym zupełnie. Jak wprzód przez wzgląd na Małopolan, tak obecnie przez wzgląd na mieszczaństwo, jeszcze bezwarunkowej obstarując za przyrzeczeniem nieboszczykowi królowi uznaniem córki Maryi, nieśkonczenie przychylniejsze rodzinie andegawiejskiej niż Piastom, nie godziło się zrywać otwarcie z Maryą. Owszem, oświadczano się ciągle i oświadczano się teraz w akcie sojuszu z mieszczanami z niezmienną wiernością dla starszej królowej Maryi. Byle królowna zamieszkała na zawsze w Polsce i — jak akt niniejszy wyraźnem dodaje orzeczeniem — byle korona polska i korona węgierska nie należały odtąd do siebie.

Ale ponieważ królowna Marya zaraz po śmierci ojca, t. j. od blisko 5 miesięcy, była ukoronowana już w Węgrzech, i ponieważ trudno było przypuścić,

izby ona dla Polski rzec się chciała świetniejszej korony Węgier, albo nawet w razie gotowości do tego kroku, mogła uzyskać przyzwolenie narodu węgierskiego, więc wszelkie oświadczenia wierności dla Maryi, jakkolwiek głośnie i długo powtarzane, okazują się tylko pozorne. Dość, że mieszczaństwo poprzestało na nich i przyrzekło nie wspierać pod tym warunkiem Domarata, lecz trzymać wiernie z ziemianstwem. Co wywzajemniając mieszczanom, zobowiązują się podpisami na tymże dokumencie ziemianie, po większej części ciż sami, co na dokumencie konfederacyi radomskiej, z dodatkiem Jana sędziego poznańskiego i Bartosza z Więcborga „cześnika” z kilku innymi, względem panów rajców i wszystkiej społeczności miasta Poznania, stać przy nich ciałem, mieniem i dostatkami, pracując nad utrzymaniem ich praw, jakoby swoich własnych, i nie opuszczając ich w żadnym terminie niebezpiecznym, tak, iż ani ziemianie bez przyzwolenia mieszczan, ani mieszczanie nie będą poczynać niczego bez zgody szlachty”. Wzmocnieni taką spółką, mieszczanie „zmusili Domarata prośbami i naleganiem do wyjścia z miasta Poznania”, gdzie mu tylko zamek pozostał. Za przykładem mieszczan poznańskich poszli także kalisey. I w mieście Kaliszu oświadczyli się mieszkańcy z gotowością do przyjaznego przyjęcia szlachty, a tylko zamek kaliski pozostał wierny rozkazom Domaratowym. Wypadło tedy sprzymierzonym „ziemianom” opanować teraz przedewszystkiem grody w Poznaniu i Kaliszu.

I owoż wyruszyli obecnie z pod zdobytych już Pyzdr z jednej strony wojewoda poznański Wincenty wraz z Bartoszem z Więcborga do otwartego miasta Kalisza pod gród kaliski, z drugiej kasztelan nakielski, Sędziwoj Świdwa, żarliwy Nałęcz, w mniej licznej sile, bo tylko z pięćdziesięciu kopiami rycerskimi, pod gród poznański. Nastąpiło uporeczywe oblężenie obudwóch zamków, połączone z pustoszeniem przyległych włości, zwłaszcza nieprzyjacielskich

i duchownych. Zarazem z powodu rozgałęzienia się przeciwnych stronnictw po wszelkich zakątkach kraju, rozpostarła się wojna domowa po całej przestrzeni wielkopolskiej. Pod pozorem wojny dopuszczano się wielokrotnie gwałtów prywatnych, prostych rozbojów gościńcowych. W całej Wielkopolsce wzmagало się coraz gwałtowniejsze zamieszanie.

W ciągu tego zebrał już Domarat w pobliskich Niemczech zapowiedziane saskie i brandenburskie żołdactwo i ciągnął z niem od północy ku Poznaniowi. Mając pewność, że szczupła siła sprzymierzonych, oblegających zamek poznański, nie będzie mu śmiała zająć drogi, a główna siła sprzymierzeńców, oblegająca Kalisz, nazbyt jest oddalona, zatrzymał się Domarat z Niemcami w chęci łupieży nad Wartą, w okolicach Wronek i Szamotuł, gdzie niezmierną ilość wiosek szlacheckich, osobliwie Nałęczów, a w szczególności kasztelana nakielskiego Świdwy, do szczytu splondrowano i w perzynę obrócono. Dla pomszczenia się krzywdy wyprawił Świdwa potajemnie gońca pod Kalisz po swojego spółherbownika, Bartosza z Więcborga, wzywając go do niespodzianego zamachu na Domarata. Ochoczy do tego Bartosz wziął z sobą Andrzeja, kasztelana szremskiego i w sobotę przed drugą niedzielą postu przybył w 300 kopij cichaczem do Poznania. Jeszcze tegoż samego wieczora wyruszone spólnymi siłami naprzeciw Grzymalitom.

Obozował Domarat z swoim żołdactwem niemieckiem bezpiecznie o mil kilka, w pobliżu Nałęczowych Szamotuł. Około północy dano mu znać, że jakieś wojsko ciągnie nań od Poznania. Lecz Domarat, nie wiedząc o nadejściu Bartosza i kasztelana Andrzeja z pod Kalisza, nie chciał żadną miarą uwierzyć, aby sam Świdwa śmiał go zaczepić. Wypoczywające zaś nocą rycerstwo niemieckie nie miało wcale ochoty przerywać sobie na próżno czasu. Bo myliłby się srodze, ktoby wojennych ludzi onego wieku wyobrażał sobie nader hartownymi wrogami wygod.

Owe żelazne zbroje średnich wieków nie są bynajmniej żelaznego ducha zabytkiem. Owszem, otulano się niemi tak szczelnie, ponieważ chciano tem staranniej ubezpieczyć ciało od wszelkich szwanków. Ażeby zaś to żelazne otulisko nie gniotło nazbyt dotkliwie, wdziewano je na grubo wymateracowany strój spodni. Ztąd zdają się te zbroje odzieżą olbrzymów, a one znaczną część swego ogromu winne są tylko watowanym podkładom.

Jakoż najlepszym dowodem, że nie duch-to rycerski wymyślał i mnożył te olbrzymie zbroje żelazne, jest historia stopniowego onych upowszechniania się. Wiadomo wszystkim starożytnikom, iż właśnie dopiero z upadkiem rycerstwa, z oziębnięciem ducha rycerskiego, weszła w używanie całkowita garderoba żelazna. Kiedy rycerskość wistocie kwitnęła u narodów chrześcijańskich, od XII do XIV wieku, nie znano bynajmniej tych ciężkich pancerzów i rynsztunków, które dziś budzą nasz podziw, a które wówczas zastępował strój wcale lepszy, tylko gdzieniegdzie żelazem obwarowany. Dopiero pod koniec XIV wieku i później, gdy zamiętanie w bojach dla samej uciechy boju — „byle się tylko bić!” jak ów biskup wojenny mawiał — zaczęło przygasać w piersiach stateczniejszej ludzkości, gdy dla dodania blasku turniejom, a ducha oziębłym już sereom rycerstwa, weszły w modę wytworne rynsztunki popisowe — dopiero wtedy okuł się rycerz od stóp do głowy w żelazo, najeżył się owemi kolcami i koleczugami, stał się onem brzęczącym, pióropuszcem, żelaznolicem dziwem, z jakiem dzisiejsza oswoiła się wyobraźnia.

Zresztą i w czasach surowszego jeszcze rycerstwa, i na owe miękkie, jedwabne, kłakowe, albo inne podściółki żelaznego harnasza przyoblekano zbroję tylko w razie koniecznej potrzeby. Zwyczajnie jechały pancerze i szyszaki osobno za rycerstwem na wozach. Dopiero spodziewając się napadu nieprzyjaciela, ubierało się wojsko w ciężki rynsztunek. Ale i wtedy

jeszcze nie przyciągano ostatecznie rzemieni, którymi przypinała się każda część zbroi. Z wolno przewieszonymi na ciele pancerzem i płatami, z przyłbicą w rękę, siedząc wygodnie na ziemi, oczekiwało piesze rycerstwo ukazania się nieprzyjaciela w przed chwili bitwy. Gdy nadciągnęły zastępy nieprzyjacielskie, przyciesniał każdy coprędzej zbroję, przypinał hełm i stawał w swojej żelaznej rynsztunkowej twierdzy do boju. Każde niespodziane najście zastawało nieprzyjaciela wygodnie rozbrojonego.

W takim właśnie stanie znachodziło się Domaratowe wojsko niemieckie. Nie dając wiary pogłoskom o Nałęczach, nie chciał żaden z knechtów zbroić się niepotrzebnie. Domarat poprzestał na wyprawieniu szpiegów po okolicy. Wtem o świecie nadbiega z nimi wieść, że Świdwa wistocie wpada ze swoimi na obóz. Nuż zbroić się coprędzej! Zaledwie połowa wojska zdołała przywdziać żelazo, gdy Nałęcze wtargnęli już w okopy. Musiano na pół w zbroi, na pół bez zbroi, zetrzeć się z wrogiem. Uderzając na siebie według zwyczaju z właściwym każdej stronie hasłem wojennym, czyli według ówczesnego wyrazu „powołaniem”, wzniosły obadwa wojska osobiwszem w dziejach zdarzeniem ten sam okrzyk wojenny. Tak bowiem stronnicy Zygmunta, Grzymalici, głosząc jego prawo do Polski przez poślubioną mu Maryę, jako też Nałęcze, ukrywając swego Ziemowita za tą samą córką Ludwika, natarli na siebie z okrzykiem „Marya! Marya!”

Niedługie było starcie. Zaraz po pierwszym uderzeniu Nałęczów podali Niemcy tył. Nastąpiła przydłuższa praca pogoni. Podczas gdy Bartosz ze swoimi pochodem utrudzonymi rotami, stosownie do wojennego onych czasów zwyczaju, rozłożył się jako zwycięzca na polu bitwy, Świdwa rozpędził się wściekle za rozbitkami. Ścigano ich wzdłuż Warty ze dwie mile, aż po za Wronki. Wynagrodziło się to Nałęczom mnogimi jeńcami i łupami. Ci zaś z niedo-

bitków niemieckich, którzy, unikając pogoni Świdwowej, rozpierzchli się po uboczach, popadli w ręce okolicznej szlachty, Nałęczów. Chwymano ich wszędy po polach, i zsadzonych z koni, rozebranych z żelaznej zbroi, mającej wielką podówczas wartość, puszczano wszystkich pieszo do domu. Nagromadzone w ten sposób zbroje niemieckie leżały w dużych na polu kupach, jakby jakie „wzgórki żelazne”. Świdwa miał zadość zemsty. Znużony pogonią, umyślił powrócić nazad na plac zwycięstwa. Chciano tam połączyć się znów z Bartoszem. Jakież atoli było zdziwienie Świdwy, gdy po całodziennnej pogoni wracając wieczorem ku pobojuwisku porannemu, zamiast hufców Bartosza, spostrzegł zdaleka zwycięzkimi panami placu zwyciężonych o świecie Grzymalitów!

Był to w samej rzeczy Domarat z głównym stronnikiem swoim, Wierzbietą ze Smogulca, który szczególnym trafem przybył mu w najgorętszej potrzebie w pomoc. Wierzbietą na czele stu kopij rycerskich i do pięciuset pieszego żołnierza nocował przeszłej nocy w pobliżu Wronek, nie wiedząc nic o gotującym się zamachu Nałęczów na Domarata. Skoro jednak dowiedział się w dzień o bitwie, popieszył natychmiast ku miejscu walki. Przybywszy już po bitwie, zastał on tam samegoż, wypoczywającego po zwycięstwie Bartosza, równie nieprzysposobionego teraz do nowej bitwy, jak był rano Domarat. To nieprzygotowanie zmusiło Nałęcza do odwrotu, z pozostawieniem wszystkich łupów i jeńców Grzymalickich, przygarnionych teraz przez wybawców niespodziewanych. Po usadowieniu się Grzymały Wierzbiety na odzyskanem pobojuwisku, zaczęli ścigać się zewsząd niedobitki Domaratowe. Nawet sam pojmany i już z rynsztunku wyzuty Domarat połączył się szczęśliwie z panem Wierzbietą. Stała znów dość znaczna siła Grzymalitów na placu. Z nią postanowił Wierzbietą oczekiwać zcicha spodziewanego powrotu Świdwy. Atoli wczesne dostrzeżenie zmiennej kolei

wojny ocaliło Nałęczów od zasadzki. Nie dotarłszy do pobojuwiska, schronił się Świdwa ze swymi do Ostroroga, pobliskiej twierdzy santockiego kasztelana, Grocholi, herbu Nałęcz. Zwycięzcy zaś Grzymalicy zajęli w dank wygranej sąsiednie miasteczko Oborniki, z kąd po całej okolicy między Poznaniem, Bukiem, Wronkami a rzeką Wartą rozpuszczono zagony spustoszenia.

Tak dziwne zwroty fortuny wojennej, przeistaczając klęskę w zwycięstwo, a zwycięstwo w przegraną, nie wiodły wojny do celu. Cierpiał od niej więcej kraj, niż nieprzyjaciół. Zwłaszcza, gdy powszechna zamieszka ośmielała coraz bardziej do użycia broni w swarach prywatnych, do podniesienia jej nieraz zbójcko przeciw bezbronnym. Obok utarczek i stronnictw publicznych zdarzały się mnogie gwałty pokątne, rozboje gościncowe. Kończyły się one czasem równie nieprzewidywanym sposobem, jak zwycięstwo Nałęczów pod Wronkami. Rycerscy łotrzykowie z Łabiszyna i Pakości, napadłszy i zrabowawszy liczną drużynę kupców z bogatymi różnymi stron towarami, wkrótce przy nowym posiłku i oporze nie tylko łupów pozbyli, ale jeszcze ze stratą wielu ubitych koni i ludzi sromotnie pierzchać musieli.

Innych łotrzyków spędził z pola widok nadciągających ku pomocy kmieci Woźnickich. W ogólności kmiecie ówczesni brali żywy udział w ruchach wojennych. Jak zwykle, tak i teraz, stali oni po stronie ziemian, przeciw Grzymalitom i cudzoziemcom. W niedawnej rozprawie pod Wronkami zginęło wiele pospólstwa z pod proporców Nałęczów. Nieco później Grzymalicy z zamków Kęblowa i Zbąszynia najechali leżącą w pośrodku okolicę Grodziska i kilka pobliskich wiosek złupili. Na tę wiadomość rzuciła się cała kmiecia ludność Grodziska i siół przyległych w przykazaną statutowi „pogoń łupieżców.” Odebrano im wszelką zdobycz i wzięto nieco jeńca, co tak dalece zapaliło odwagę kmieci, iż, postanowiwszy wytypić do

szczętu Grzymalitów, nie chcieli poprzestać na tej wygranej, lecz zaciekli się w daleką pogoń. Wtedy, przyciśniony gwałtownie nieprzyjaciół, posłał czempredę do onych dwóch zamków po większą siłę, która w rzeczy rychło nadbiegła. Teraz sami prześladowcy ujrzeni się w niebezpieczeństwie. Wzmocnieni Grzymalicy natarli tak mściwie na poselstwo, że przeszło 160 kmieci legło trupem w ucieczce, a jeszcze większa liczba odniosła rany śmiertelne i w niewolę popadła.

W ten sposób, pomimo powszechnej nienawiści Wielkopolan ku stronnikom Zygmunta, zdołali przeciw Grzymalicom przy pomocy zagranicznej, przy wsparciu poddanej Zygmuntovi szlachty margrabstwa brandenburskiego, dotrzymać placu Nałęczom. Niepodobna jednak było przypuszczać, iżby ztąd wynikać miał w końcu tryumf Zygmunta. Sprzeciwił mu się osobliwie dalszy skutek niechęci wielkopolskiej, objawiający się na dworze królewskim na Węgrzech.

Widząc opór Wielkopolski przeciwko Zygmuntovi, nie mając myśli osadzać poślubionej mu Maryi ze stratą korony węgierskiej na tronie polskim, będąc wreszcie oddawna nieprzychylną swoim zięciom niemieckim, przyjęła matka-królowa wcale obojętnie nowinę o przymusowym ustąpieniu Zygmunta z Polski. Żaden też krok królowej nie okazał chęci podtrzymania jego sprawy upadającej. Na wspomnianym pobieżnie zjeździe wiślickim, odbytym wkrótce po konfederacji radomskiej, nie nadmieniła królowa ani słowem o pokrzywdzonych prawach i nadziejach Zygmunta, a zażądała od Polaków jedynie dla swoich córek wierności. Wyrażna niegdyś gotowość narodu do dania pierwszeństwa starszej królownie Maryi przed młodszą siostrą Jadwigą pozostawiała wówczas zaślubionemu z Maryą Zygmuntovi zawsze jeszcze jakąś nadzieję tronu polskiego. Tymczasem w Radomsku i Wiślicy postawili Polacy jako główny warunek swo-

jej wierności, iżby przyszła królowa polska stale mieszkała w Polsce, owszem, aby według onego między szlachtą a mieszczaństwem poznańskim zawartego układu nigdy odtąd Węgry i Polska nie były pod jednym złączone berłem.

W takim składzie rzeczy cała nadzieja Zygmunta wisiała jeszcze na odpowiedzi, jaką matka-królowa dać miała owemu warunkowi i żądaniu Polaków. Gdyby królowa Elżbieta chciała stawić im opór, zamysławiając utrzymać dalszą jedność i unię koron węgierskiej i polskiej, mógłby być Zygmunt, jako poślubieniec młodej królowej węgierskiej Maryi, pocieszać się jeszcze nadzieją tronu polskiego. Atoli królowa Elżbieta bynajmniej nie opierała się. Owszem, gdy wskutek zjazdu wiślickiego przybyło do Węgier poselstwo polskie, oznajmiając królowej zapadłą na obudwóch zjazdach uchwałę, pomimo woli Polaków przeciwną Maryi, królowa Elżbieta odpowiedziała na to przychylnie. Wyprawione od niej zostało węgierskie do panów polskich poselstwo, złożone z Mikołaja biskupa wespryńskiego i kilku panów węgierskich, a mające upoważnienie rozwiązać Polaków z wszelkich zobowiązań względem królowej Maryi, przenosząc takowe na jej młodszą siostrę Jadwigę.

Posłowie węgierscy zastali w Polsce trzeci z kolei zjazd narodowy, odbyty przez szczuplejsze grono panów możniejszych, pod sam koniec lutego, w wielkopolskiem mieście Sieradzu. Wpuszczony tam do radnego koła biskup węgierski, Mikołaj, oświadczył panom polskim, iż królowa Elżbieta zwalnia ich od wszelkich przysiąg i obietnic królowej Maryi i, według służącego jej od czasu umowy koszyckiej prawa, przeznacza w miejsce Maryi następczynią po ojcu w Polsce — młodszą córkę Jadwigę. Przyrzeczono nawet ze strony matki przysłać ją w krótkim czasie na koronację do Krakowa. Żądała królowa Elżbieta jedynie tego, aby panowie polscy, ze względu na młode latka dwunastoletniej Jadwigi, zobowiązali się przysię-

gą i dokumentem, odesłać swoją młodocianą królowę natychmiast po koronacji na trzyletnie jeszcze wychowanie napowrót do Węgier.

Panowie po długich naradach zezwolili. Odstąpienie zaś samej rodziny królewskiej od chęci narzucenia Polakom Maryi sprawiły, że i owo mieszczaństwo polskie, które niedawno tak skrupulatnie obstawało przy Maryi i zapewne tylko pozornem wywieśzieniem tegoż samego sztandaru przez szlachtę dało utrzymać się w spójce i sojuszu z ziemiaństwem, opuściło teraz zaniechaną przez dwór sprawę królowej Maryi. Panowie mieszczańskie jęli się wraz z ziemiaństwem sprawę młodszej królowej Jadwigi. Tylko najzawziętsi Grzymalicy bronili jeszcze ciągle pretensyj Zygmuntowych i przedłużali wojnę. Wątpiła ona przecież coraz bardziej na siłach i raczej w czysto prywatną, rodową zamieniła się walkę.

Był to ostatni tryumf Wielkopolan. Oparłszy się szczęśliwie Zygmunтови, zdołali oni nietylko zbyć się młodego Brandenburczyka, lecz, mimo wszelkie przeciwności, oparli się nowemu połączeniu Polski i Węgier, wykluczyli jeszcze i Maryę. Dopiero to wielkopolskie usunięcie Zygmunta i Maryi wyprzewadziło narodowi na widok młodszą królową Jadwigę. Bez Wielkopolan, bez ich oparcia się Zygmunтови, bez ich podniesienia broni przeciwko Grzymalicom, nie miałyby Polska Jadwigi. Bez Jadwigi, bez Jagiełły i Litwy — cała historia Polski odmienną brała drogę i postać. Nieskończenie tedy ważną przysługę wyrządziła teraz Wielkopolska dziejom ojczyznom.

Odtąd wszelkie usiłowania Wielkopolan wyteżyły się ku uzupełnieniu swojego dzieła przez podniesienie na tron polski z Jadwigą lub bez Jadwigi mazowieckiego Piasta, księcia Semka. Atoli Opatrzność przestaje zwyczajnie na połowie ludzkich zamysłów. Odwróciła ona też swoje oko od tego dalszego ciągu zamysłów wielkopolskich. Na-

królowny z księciem litewskim. Nieobliczone dla Małopolski, dla całego kraju, dla wszystkiego chrześcijaństwa korzyści uśmiechały się z takiego zjednoczenia. Aby jednak podobna myśl nie pozostała widziadłem, potrzeba było najprzód zapewnić sobie tę młodzieńczą królowę. Potrzeba było przedewszystkiem ochronić ją od współzawodnictwa księcia mazowieckiego i jego spodziewanych zabiegów o jej rękę. Owóż, jak dotąd, Wielkopolska swoim oporem przeciwko Zygmuntowi i Maryi poniewolnie utorowała drogę na tron Jadwidze, tak obecnie wypadło Małopolsce stanąć czynnie u naczelnego steru wypadków i w swoich świętych zamysłach litewskich jąć gorliwie dzieła uchylenia Ziomowita, a utrzymania Jadwigi — dla wcale nowego oblubieńca.

X. MAŁOPOLANIE.

Główne herby i rody.—Toporeczykowie: Tęczyńscy i Pileccy.—Leliwici.—Melsztyńscy i Tarnowscy.—Rozejm w Starczynowie.—Zjazd Sieradzki.—Arcybiskup Bodzanta.—Mazowieckie sympatyje duchowieństwa i szlachty.—Wybór Jadwigi.—Zamysły Ziomowita.—Rozehwanie małżeństwa Jadwigi z Wilhelmem.—Nowy układ o Jadwigę w Koszycach.—Przyznanie Polakom wolności wyboru męża.—Ziomowit na Kujawach i w Sieradzu.—Odnawienie wojny.—Arcybiskup w kłopotach.—Wkroczenie Węgrów.—Próżny termin na św. Marcina.—Poselstwo do Węgier.—Przytrzymanie zakładników na Węgrzech.—Zniechęcenie się Małopolan.—Odprowa Zygmunta.—Wierność Leliwitów.—Ostatni termin do Świątek.—Spytko z Melsztyna.—Zamieszka.—Zdzierstwa sądowe.—Przyjście Jadwigi.

W Małopolsce działo się wszystko ręką przemożnych rodów. Zamiast szerokoramiennych stronnictw wielkopolskich, złożonych z różnorodnego tłumu braci szlachetnej, a kierowanych pewnymi tradycjami, stanowiło tu o losie kraju kilka wielowładnych domów,

związanych z sobą jedynie wspólnością interesu. Ztąd i świeżą wzmiankę o następstwie Jadwigi przyjęło możnowładztwo małopolskie głównie dlatego tak ochoczo, iż ona ze wszechmiar pochlebiała jego prywacie. Panowie małopolscy wracali wciąż myślą do obrazu tych złotych nadziei, jakie im rokowało przyjście młodzienecznej, niepoślubionej, jak w Polsce utrzymywano, królowny. Podczas gdy Wielkopolska wraz z kronikarzem swoim „płakała” na sromotę blizkich rządów niewieścich, małopolscy wielmoże wróżyli sobie słusznie, że te rządy niewieście przypuszczają ich do tem większego udziału w sprawowaniu rzeczypospolitej, że obrany przez nich przysły małżonek dziewiczej królowej, przysły król polski, będzie musiał odwzajemnić się im hojnie za wzięty za nią posag korony polskiej. Mianowicie w możliwym razie wyswatania Jadwigi na podobieństwo swadźby Kazimierza W. z Gedyminówną Aldoną, w razie poślubienia jej np. panującemu teraz na Litwie wnukowi Gedyminowemu, Jagielle, szerokie obszary pustych krain Rusi litewskiej będą mogły w znacznej części przejść darem królewskim w ich posiadanie, dozwolą im w księżęcą z czasem urość zamożność i potęgę. Toć pamięć zajętej niegdyś przez Kazimierza W. Rusi Czorwonej, gdzie kilka rodzin małopolskich na zyskowych urządach starościńskich ogromnej z czasem dostąpiło fortuny, najpomysłniejsze w tym względzie wzbudzała oczekiwanie. Toć dopiero od Kazimierzowych zaślubin z Gedyminówną Anną i uzyskanego tem na chwilę spokoju ze strony Litwy zaludniły się i podniosły w dochód majątki małopolskie, które przy stałym sojuszu z Litwą obiecywały trójnasób większą jeszcze intratę.

A tak światowym powodom pragnienia związku z państwem Gedyminowem towarzyszył nadto powód moralny, religijny powód spodziewanego w podobnym razie przyjęcia chrześcijaństwa przez Litwę. Nieobliczone korzyści ziemskie opromieniała Małopolanom

głośna na całą Europę chwała zasługi apostolskiej, tem cenniejszej wobec wszystkich narodów, iż wieńczyła pracę długich pokoleń, wiodła do skutku dzieło nieosiągnięte kilkunastowiecznym bojem Krzyżaków. Nie trudno więc zrozumieć, dlaczego panowie małopolscy rozmiłowali się tak gorąco w ofiarowanej sobie Jagodzie, z której ręką wiązało się tyle dla nich błogosławieństw fortuny. Postanowiono tedy wistocie dolażyć wszelkich starań, użyć wszelkich zabiegów, aby sobie ku dowolnemu później rozporządzeniu jej ręką zapewnić młodocianą królową. Ale ponieważ te zabiegi wychodziły prawie wyłącznie od kilku najmniejszych rodów małopolskich, przeto, nim przystąpimy do opisywania samych trudów i usiłowań, należy nam obeznać się bliżej z ludźmi, którzy je tak gorliwie podejmowali.

Pamiętny z czasów królowej Elżbiety i układów koszyckich dom Kurożwęckich Różyków, ochromiony obecnie przedwczesną śmiercią najznamienitszego członka rodziny, biskupa krakowskiego Zawiszy, był tylko przednią czatą możnowładztwa małopolskiego. Na równi z Różycami, dumnymi jeszcze ciągle ze swego „pana krakowskiego” Dobiesława z Kurożwęk, tudzież z jego syna Krzesława, kasztelana na Sądzu, szło dalej kilka innych domów klejnotnych, jak np. dom Korczaków w Gorajskich, rozświetlony głównie zasługą podskarbiego kor. Dymitra, pana na Bożym-darze, Ładzie, Goraju i t. p. Obok Gorajskich kwitnął dom Kmitów herbu Śrzeniawa, szczytający się kilku urzędnikami koronnymi, mianowicie poległym podczas rozruchu węgierskiego w Krakowie starostą grodzkim krakowskim Jaśkiem, panem na Wiśniczu, ojcem Piotra Kmity, naprzód starosty łęczyckiego, później kasztelana lubelskiego. Atoli główna możnowładztwa małopolskiego potęga spoczywała w dwóch „społecznościach” herbowych, w szerokie rozrastających się domach dwojga najslawniejszych w tej stronie znamion herbowych—Toporu i Leliwy.

Pierwszy z tych herbów, dla swojej starożytności inaczej Starzą nazwany, rozszczepił się w przeciągu wieków w dwa różnoidalne, lecz zawsze spólnością przywilejów, a zwykle i sprawy połączone klejnoty: Topór i Starykoń, czyli Zaprzaniec. Świadczyło to przedewszystkiem o nadzwyczajnie licznej rozpleceniu się rodu, poczytywanem pospolicie za najpożądniejszą chlubę i siłę każdego domu. Gdy król Ludwik przed laty pięciu zawezwał szlachtę do wojny z łupieżką Litwą, Toporezykowie zdziwili całą Polskę wystaniem w pole siedmiu chorągwi rycerskich, przedstawiających tyleż możnych rodzin jednego herbu. Wiódł tam chorągiew pierwszą pan Otto z Piley, wojewoda i starosta sandomierski, drugą pan Sędziwoj z Szubina, wojewoda kaliski i jeneralny starosta krakowski, trzecią Jaśko z Tęczyna, kasztelan wojnicki, czwartą Mikołaj z Osolina, kasztelan wiślicki, piątą Drogosz z Chrobrza, sędzia krakowski i starosta sieradzki, szóstą Zaklika z Międzygorza, kanclerz koronny, siódmą Jaśko Wołczek z Łomnicy. Każdy z przewódców i towarzyszy tych chorągwi posiadał spory kęs ziemi, co razem podawało znaczną część kraju i ludu małopolskiego w władanie Toporezyków. Do późnych też czasów całe okolice, mnogie włości wzdłuż Wisły, niegdyś własność „szlachetnej braci” klejnotu Starzy, następnie już to pobożnymi dary, już posagami obca posiadłość, brzmiały w razie zwoływania kmieci na gwałt starodawnym „zawołaniem”: „Starzał Starzał”

Tak znamienita potęga rodu zrzadziła, że jeszcze przed usamowolnieniem szlachty w Koszycach przysługiwały Toporezykom książęce prawa i przywileje, jakich sobie żaden inny ród nie przywłaszczał podówczas. W szczególności mieli Toporezykowie i Zaprzańcy wszelką sądowniczą władzę nad swymi kmiećmi, a gdy za króla Kazimierza W. mieszczenie Lelowscy zapozwali przed trybunał królewski kmieci

p. Jana Płazy i p. Zawiszy i p. Jana Nekandy z Grzegorzowic, jeden z dziedziców, p. Jan Płaza, „stanął przed sądem i oświadczył, iż wszyscy trzej dziedzice są Toporczykami i Starymi końmi i pochodzą od jednego przodka i od jednej prozapii, i używają wszyscy z dawien dawna jednego i tegoż samego prawa, jako nikt z ludzi nie ma władzy sądzić ich kmieci i służebników, ani sam król jegomość, ani sędzia, ani podsędek, ani którykolwiek z sędziów, ani p. wojewoda, ani którykolwiek z panów (kasztelanów), ani jakikolwiek oprawca, tylko oni sami, panowie Toporowie i Zaprzańcy... I dowiódł tego p. Płaza według prawa zacnymi i wiarogodnymi świadkami, jako to p. Andrzejem, wojewodą krakowskim, p. Jakiem Owcą, jego bratem rodzonym, dziedzicem Morawic, p. Januszem z tychże samych Morawic, p. Gniewomirem, dziedzicem Miedźwiedzia, p. Tomkiem Żrzebce z tegoż samego Miedźwiedzia, i wielu innymi wiarogodnymi ludźmi Toporczykami.” Na co król Kazimierz kazał wydać rzeczonym trzem Toporczykom nowy przywilej, potwierdzający ich władzę sądowniczą nad kmiećmi, z którego właśnie wyjęto słowa powyższe.

Za taką zaś wielmożnością szła niekiedy już to nie wzdrygająca się żadnego kroku zuchwałość, już to nieumiarkowana chciwość, lekliwa o każdy grosz swoich skarbów. Smutnym tego przykładem stał się za Kazimierza W. Toporczyk Otto ze Szczekarzewic, zamieszkały w Lubelskiem nad granicą litewską. Będąc tam jeszcze bardziej, niż którykolwiek z panów małopolskich, narażony na plagę napadów pogaństwa sąsiedniego, dał on się uwieść pokusie zabezpieczenia dóbr swoich od Litwy potajemnymi związkami z samąż dziecą pogańską i ofiarowaną jej gotowością do służenia napadom litewskim za przewodnika po Małopolsce. Gdy jednak zdrada odkryła się na koniec, odjął król Kazimierz przeniewierczemu Ocie cały majątek. A ponieważ kara podobna także innym paś-

mogła wykroczeniom, przeto starali się Toporczykowie nader troskliwie o zachowanie całości imienia herbowego przez nieposzlakowaną w całym rodzie moralność.

W tym celu sądzili oni sami wszelką przewinę, a nawet „wszelką nieprzystojną sprawę” każdego spółklejnotnika i „mieli kronikę spraw swoich od początku prawie Polski”, w którą zapisywano każdy chwalebny i niechwalebny czyn Toporczyków. Skutkiem tego żaden splamiony jakąkolwiek zdrożnością „brat herbu” nie śmiał stanąć w obliczu krewnych, wrócić do domu po dopuszczeniu się grzechu. Za Kazimierza W. jeden z Toporczyków, Nawój z Tęczyna, wyprowadziwszy chorągiew zbrojną w nieszcześliwą wyprawę bukowińską, rozbitą z całem wojskiem królewskim przez Wołoszę, podał tył w trwodze powszechnej. Wszakże, ochłonawszy z przestachu, uczuł się takim przejęty sromem, że nie chcąc pokazać się ojeu i braciom, uciekł z całej Polski w świat, aż do Rzymu. Tam dopiero sukienka duchowna zdołała pokryć plamę rycerską, a uzyskany później stopień kanonika krakowskiego pojednał go wreszcie z rodziną. W obecnym czasie powieści naszej jest on dziekanem kapituły krakowskiej, i nie mogąc z orężem w rękę wstawić herbu swojego, sprawia co roku z niemałym kosztem, przy odgłosie wszystkich dzwonów kościelnych, przy świetle mnogich jarzących świec, dokoła świetnie przyozdobionych mar, sute w katedrze nabożeństwo żałobne za duszę ojca.

Dziś mogłyby te egzekwie odbywać się równem prawem za całą społeczność Toporczyków. Ze wszystkich bowiem domów, które za króla Loisa wyprowadziły w pole owe siedem chorągwi herbowych, zaledwie jeden jeszcze jaśnieje. Niektóre z nich, jak np. Chroberskich, żadnego wcale nie pozostawiły śladu po sobie. Inne, jak np. Szubińskich, Pileckich, tylko chwilowo zakwitnęły. Najżywotniejszą zaś przyszłość pomiędzy wszystkimi Toporczykami mia-

ły przed sobą domy Tęczyńskich i Ossolińskich.

Rozrodziły się one temi czasy z jednego i tegoż samego przodka. Był nim Toporeczyk Nawoj, piszący się pierwotnie „z Przegini” pod Krakowem, wojewoda sandomierski za panowania Łokietka. W roku Pańskim 1319, rokiem przed koronacją tegoż króla, pozwolił Nawoj swojemu „komornikowi” Sandowi tamże w Przegini, w „lesie nazwanym pospolicie Tęczyno” założyć osadę wiejską, mającą rządzić się prawem niemieckiem. Około tegoż czasu sam wojewoda zbudował w tymże nowym Tęczynie na znacznej wyniosłości, w obliczu „rozlicznych gór i padołów”, które z czasem pokryć się miały siołami, wspaniałe zamek tegoż nazwiska. Udostojniony tak Tęczyn przyemił wkrótce starą Przeginię, a z dwóch synów Nawojowych żaden nie chciał już zwać się od dawnego ubożego gniazda rodziny. Jeden z nich, Andrzej, podniesiony przez Kazimierza W. na województwo Krakowskie, przybrał nazwę „z Tęczyna.” Drugi Jaśko, nazwany u swoich Owca, na zniemczającym zaś dworze króla Ludwika z niemiecka *Schaf*, czyli *Schof*, i piastujący za tegoż króla urząd marszałka koronnego, zbudował sobie około połowy XIV go wieku Ossolin, kolebkę domu tej nazwy, spokrewnionego tak blisko z Tęczyńskimi. Za wojewody krakowskiego Andrzeja, był jego dom najmożniejszą odroślą Toporeczyków, a gdy przyszło królowi ciągnąć zbrojnie na Bukwinę, wszyscy Toporecykowie zgromadzili się pod chorągiew Tęczyńskich. Po śmierci wojewody, w porze pierwszego wymienienia Jadwigi, przycichła nieco sława domu „z Tęczyna.” Tem ci goręcej pragnęli wznović ją synowie wojewodzinscy. Nie powiodło się to wprawdzie starszemu, Nawojowi, owemu nieśczęsnemu zbiegowi z Bukwiny, teraz kanonikowi w Krakowie. Dokonał tego później syn młodszy, Jaśko, od lat kilkunastu kasztelan wojnicki, upatrujący właśnie w sprawie Jadwigi najpomysłniejszą sposobność do podniesienia domu swojego.

Również przyjaznym Jadwidze okazywał się Toporeczyk Sędziwoj, wojewoda kaliski i generalny starosta krakowski, głowa domu Szubińskich. Niedługo stronnik dworu Ludwikowego i doradca Zygmunta, przeszedł Sędziwój w czasie zjazdu w Radomsku na stronę narodową, zwłaszcza w pojęciu Małopolan, nabierających coraz więcej zapału dla następstwa Jadwigi, któremu nasz Toporeczyk arcyskuteczną wyświadczyć miał przysługę. Powierzone mu urzędy znamienite, widoczna w nim umiejętność zręcznego utrzymywania równowagi wśród miotających narodem stronnictw, połączona z stanowczością każdego zamierzonego raz kroku, nadają Sędziwojowi z Szubina cechę wielce rozumnego i przeważnego w onych czasach człowieka, a niezwykle zalety pana domu otoczyły chwilowym blaskiem dom cały.

Najgłośniejszą jednak słynął obecnie pomiędzy Toporeczkami dom Pileckich. Przewodził mu stary Otto z Pilecy, wojewoda i starosta sandomierski, pan nadzwyczajnie bogaty. Urzędując jeszcze za czasów Kazimierza W., wchodził on przed trzydziestu i kilku laty z rozkazu królewskiego w ową sprawę z biskupem krakowskim Bodzantą, w której za pociąganie knieci biskupich do danin i robocizny na rzecz korony i król i Otto ściągnęli na siebie kłatwę biskupią, a za doręczenie królowi wyroku kłatwy wikary katedry krakowskiej Baryczka w Wisłę został wrzucony. Później za rejencyi królowej Elżbiety, udał się Otto z jej woli jako generalny starosta do Wielkopolski, ale pomimo najwspanialszą hojność i rozrzutność nowego wielkorządcy nie dała harda bracia wielkopolska nakłonić się do posłuszeństwa dla możnowładcy małopolskiego. Powrócił tedy pan Otto dobrowolnie na województwo sandomierskie, gdzie w swoim dzieciństwie mieszkał Łańcut, wraz z swoją małżonką, jedną z najpoważniejszych matron dni onych, przysłą matką chrzestną rodu Jagiellońskiego, utrzymywał dwór okazały. Tam otoczony orszakiem dworzan

i domowników, którzy sami dziedzicznymi byli panami, w gronie notaryuszów nadwornych, sołtysów i wóldarzy, zawiadujących mnogimi wsiami kluczów Pileckiego, Łańcuckiego i innych, zakładał pan Otto coraz nowe osady, rządził królewskimi i swojemi dobrami, gromadził niezmierne dostatki i bogactwa.

Wszystkie te skarby i zaszczyty spadały dzieiectwem na jedynaczkę córkę Elżbietę, mającą obyczajem małopolskim przenieść całą fortunę w dom małżonka przysłego. Czuwali tedy wszyscy Toporczykowie z niezwykłą bacznością, aby ten małżonek nie był przypadkiem obcego herbu. Z tej przyczyny strzeżono następnemi czasy bogatą Toporczankę bardzo ściśle w warownym zamku Pileckim. Wszakże ochciwość ówczesnych pokoleń szczydziła z wszelkich zamków i straży. Rozpoczęły się mordercze wyścigi o złotą rękę Elżbiety, trwające przez cały prawie jej żywot. Naprzód zdobył ją sobie w Pilcy i uwięził za granicę jakiś rycerz morawski, nazwiskiem Wisław. Temuż Wisławowi odbił Elżbietę później drugi Morawczyk, Jańczyk Hyczyński. A gdy Wisław wkrótce zażądał zwrotu małżonki, Jańczyk dla większej pewności zabił swego rywala i poślubił wojewodziankę. W dalszych latach jeden z najmożniejszych panów, herbu Leliwa, roszczący sobie prawo do opieki nad owdowiałą poraz drugi Elżbietą, wydał ją przemocą za swego spółherbownika, kasztelana nakielskiego, Wincentego z Granowa. Nakoniec sam król polski, stary wdowiec, ochciwy skarbów starej już także dzieidzki domu Pileckich, pojął Elżbietę po raz czwarty w małżeństwo i jako ukoronowaną królową polską osadził przy swoim boku na tronie. Nie darmo zatem gromadził stary Toporczyk wojewoda złote góry w Łańcucie. Brak męskiego potomstwa i blizkie ztąd wygaśnięcie całego domu wynagrodziła dostatecznie sława przygód i koronnego wreszcie zamężcia córki.

Takimi domy szczyliła się społeczność herbu Topór. Z nią spółzawodniczył godnie herb drugi,

Leliwa o półksiężycu i gwiazdzie. Ten był mniej starożytnym i tracił nawet pewnem wspomnieniem cudzoziemskości. Według najdawniejszych podań herbowych zajaśniał on po raz pierwszy dopiero za króla Władysława Łokietka na tarczy rycerskiego przybyśza z Niemiec nadreńskich, Spicimira. Dowodem tegoż nowszego pochodzenia Leliwitów okazywało się ich niekbył liczne rozrodzenie w tej porze. Za czasów króla Ludwika stanowiła społeczność Leliwy tylko dwa domy niedawnego początku. Zatoż, sprzyjały im wielce czasy obecne i sprzyjało to niebo małopolskie, pod którem osobiwie wszelka obczyzna zakwitła rozkosznie. Obaj główni królowie czternastego stulecia Łokietek i Kazimierz W., prześladowając jedną ręką wroga narodowi „wściekłość germańską,” sypali drugą bardzo hojne łaski użytecznym krajowi cudzoziemcom, którzy z przychylnością dla narodu i książąt narodowych osiadali bądźto u dworu królewskiego, bądźto po miastach i siolach polskich.

Podobnież życzliwym Polsce gościem przybył do kraju, z wracającym z wygnania królem Łokietkiem, ów pan niemiecki Spicimir, przyjęty wkrótce do małopolskiego dotąd herbu Leliwa. Bądźto on sam, bądź syn jego, również Spicimir nazwany, dosłużył się z czasem najwyższych dostojeństw w kraju, tj. naprzód godności wojewody krakowskiego, a potem kasztelanii krakowskiej i posiadał rozległe włości w Krakowskiem. Należały mu tam mianowicie zamek niemieckiej nazwy, pisany rozmaicie: *Mylsteyn*, *Molstein*, *Melestein*, *Melstein*, późniejszy Melsztyn, i szerokie tarniną porosłe obszary nad Dunajcem, zasiane zrzadka małemi wioskami i zagrodami smutnych od owej tarniny nazwisk: Tarnów wielki, Tarnów mały, Tarnowiec it.p.

W nagrodę wiernych usług pozwolił Łokietek wojewodzie Spicimirowi w r. 1330, mało co później od założenia Tęczyna Toporczyków, jeden z tych dziedzicznych Tarnowów zamienić w miasto, obdarzone prawem niemieckiem. Tenże „pan krakowski” Spici-

mir miał nawet poślubić jakąś księżniczkę mazowiecką, spokrewniając się przez to z samym rodem królewskim. Wzmagająca się w ten sposób zamożność i powaga naszych Leliwitów „z Molsztejnu” wzniosła się jeszcze nierównie wyżej, gdy po śmierci Łokietka niedawno mianowany kasztelan krakowski, Spytko, w późniejszych kronikach zwykle Jaśkiem z Melsztyna mylnie przewany, mąż wielce mądry, stał się głównym doradcą młodego króla Kazimierza, właściwym rządcą Polski. Za jego to mianowicie radą i pomocą miał król Kazimierz opanować Ruś Czerwoną, a nadane mu tam włości nie mało przyczyniły się do tem większego pomnożenia fortuny panów „z Molsztejnu”. Doszła ta fortuna do prawdziwie zadziwiającego stopnia, gdy oznaczony przez Kazimierza W. następcą Piastów, Ludwik węgierski, dla zapewnienia sobie łaski Kazimierzowej przez zapewnienie przychylności doradców królewskich, jął Spytkę obsypywać darami. Płynęły mu natenczas z ręki Ludwika złotą rzeką kosztowne upominki, wsie, zamki, sumy coroczne. Nareszcie, nie zadowolając się posiadłościami po wierzchu ziemi, wziął się pan krakowski do szukania skarbów pod ziemią. Osobny przywilej króla Kazimierza W., we Lwowie r. 1350 wydany, w wynagrodzenie mnogich trudów i kosztów pana Spytkę celem wynalezienia nowych kopalni kruszcowych w ziemi krakowskiej, obdarza tegoż pana Spytkę, tudzież jego synów i spadkobierców własnością wszystkich nowo-wynalezionych kruszców, jakoto: złota, srebra, miedzi, ołowiu, z zastrzeżeniem jedynie najwyższego zwierzchnictwa królewskiego. Toż tryskały drogie żyły pod stopą pana z Molsztejnu, wznosiły się miasta na onych puszczech tarniowych, a okolicę stołecznego zamku Melsztyna przyozdabiała nowozasadzona roślina winogrodowa.

Wszystkie błogosławieństwa ziemskie zwały się tak rzęsiście na ten możny dom małopolski, iż sami jego członkowie nie mogą w swoich licznych a nie-

zwyczajnie bogatych zapisach na rzecz kościoła wstrzymać się od samochwalstwa dumnego, jak „niewymownie obfito uwielmożniła ich łaska Boża wszelkiemi bogactwy świata”. A jeśli w sprawach z niebem tak pysznej dopuszczano się mowy, o ileż hardziej występowali nasi Leliwici z Melsztyna wobec ludzi! „Jam najmędrszy na dworze króla mojego — przemawia butnie kasztelan Spytko w Pradze do Niemców, posłując u cesarza Karola — a mój król równym jest cesarzowi!” Zgorszeni takim zachowaniem dworacy cesarscy, radzili zcicha pomiędzy sobą, jakby „złamać tak twarde karki”. Spytko zaś, schodząc wkrótce ze świata, miał szczęście widzieć rozkrzewienie się rodu swego w dwa osobne szerokowładne domy. Założyli je dwaj synowie Spytkowi, starszy Jan z młodszym Rafałem. Tamten wziął działem Melsztyn i stał się twórcą poszczególnego domu Melsztyńskich; ten odziedziczył Tarnów i dał początek domowi panów z Tarnowa. Powszechna wówczas niezwykłość pewnych stałych mian familijnych mieszała wprawdzie z sobą te obadwa nazwiska. Melsztyńskich zwano niekiedy Tarnowskimi; Tarnowskim nadawano często nazwę Melsztyńskich; nierzadko wreszcie pociągano obadwa domy pod jedno główne miano Tarnowskich. Zawsze atoli odzywała się nakoniec różnica dwóch osobnych domów Leliwy Spicimirowej.

Zresztą, oprócz dwóch różnoimiennych zamków, dwóch różnych gniazd familijnych, oprócz mnogości innych pomniejszych siół i miasteczek, spadały jeszcze najwyższe dostojęstwa, niejako dziedzictwem, na potomstwo Spytkowe. Syn Jan „z Melsztyna” siadł niebawem po ojcu na kasztelanii krakowskiej; syn Rafał „z Tarnowa” objął kasztelanie wiślicką. Ten ostatni umarł przed bratem Janem, zostawiając prawdopodobnie dwóch synów, z których pierwszy Jan, czyli Jaśko z Tarnowa, dzierżył wkrótce kasztelanstwo sądomierskie; drugi, Spytko z Tarnowa, pełnił urząd podkomorzego krakowskiego. Nierównie świetniejszego

losu dostąpili ich stryjeczni bracia „z Melsztyna”, synowie onego kasztelana z Krakowa, Jaśko, zmarłego mało co przed śmiercią króla Ludwika. Było ich dwóch, podobnież Jaśko i Spytko. Starszy Jaśko, biorąc prym przed swoim stryjecznym Jaśkiem, kasztelanem sandomierskim, objął około czasów śmierci ojcowskiej w o j e w ó d z t w o sandomierskie, młodszemu Spytkowi, panu nadzwyczaj licznych włości, acz dopiero 16 lat liczącemu, przypadł jeszcze znaczniejszy urząd. Lubo wiek młodzieńczy nie usposabiał go do piastowania dygnitarstw, przecież ogromna fortuna ziemska, dawna powaga domu i ciągła, od lat pięćdziesięciu, kolej najwyższych dostojęństw krajowych w domu Melsztyńskich, zniewoliły króla Ludwika do nadania możnemu panieciu godności wojewody krakowskiego, opróżnionej postąpieniem starego Różyca Dobiesława Kurozwęckiego z województwa krakowskiego na miejsce Spytkowego rodzica Jaśka. A gdy zresztą wczesna w owych nieuczonych wiekach dojrzałość i wieloletność przyzwyczajają ludzi do częstego widoku niedorostków w roli poważnej, przeto nie dziwił nikogo szesnastoletni dygnitarz, zwłaszcza dygnitarz z ojca i dziada.

Owszem, ta młodzieńczość nowego wojewody krakowskiego była właśnie charakterystycznym i wielokrotnie powtarzającym się rysem wypadków. Toć ów niedawny pretendent do korony, margrabia Zygmunt, miał lat czternaście, jego następczyni, miłsza narodowi, Jadwiga, dochodzi teraz dwunastu, a rywal obojga i piastun stronnictwa narodowego, książę Mazowsza, Semko, liczy około lat siedmnastu. Godzien był tedy dwunastoletniej królowej wojewoda szesnastoletni. Ani też nie traciła młodociana królowa na tem rówieśnictwie ze swym palatynem, gdyż, pomimo swoją nieletność, pragnął on służyć całą siłą podniesieniu Jadwigi i wraz z rodzonym swoim bratem Jaśkiem, wojewodą sandomierskim, wielce w samej rzeczy dopomógł później do jej intronizacji. Również gorliwą dla

niej życzliwością pałał ich brat stryjeczny, Jaśko „z Tarnowa”, kasztelan sandomierski. Jakoż oni to trzej przyłożyli się najwięcej do przechylenia całej społeczności Leliwy na stronę młodej królowej węgierskiej. A pomoc Leliwy była tem usilniejszą, iż wymienieni tu trzej Leliwici, jak z jednej strony posiadali pewien dalszy środek potęgi i wpływu na ówczesne sprawy krajowe, tak z drugiej strony mieli jeszcze pewien osobisty, tylko im samym właściwy bodziec do nadania wypadkom takiego właśnie toru, jaki one później wzięły wistocie. Tym środkiem i bodźcem było blizkie powinowactwo z najmożniejszą rodziną herbu Topor, mianowicie z Toporczykami Pileckimi. W dowód tego pokrewieństwa przyznawali sobie Leliwici Melsztyńscy prawo czuwania nad ręką onej bogatej jedynaczki p. Ottona z Pilcy, wojewody sandomierskiego. Taż sama blizkość krwi przyczyniła się zapewne niemało do przejścia województwa sandomierskiego po śmierci tegoż p. Ottona w ręce powinowatego Leliwity, Jaśka z Tarnowa. Takim zaś sposobem, jako powinowaci i następcy ostatniego wojewody sandomierskiego herbu Topor, wchodzili też nasi Leliwici w prawa i ekspektatywę onych korzyści, jakie z dawien dawna przywiązane były do województwa sandomierskiego.

Łączyło się tedy zwykle z województwem sandomierskiem starostwo Rusi Czerwonej. Był niegdyś takim starostą Czerwono-ruskim zmarły pan Otto z Pilcy; został nim później jego następca na województwie sandomierskiem, Jaśko z Tarnowa. Teraźniejsze odwołanie Rusi Czerwonej od korony, naprzód przez osadzenie w niej Opolczyka, następnie zaś przez wciele nie onej do Węgier, pozbawiło wojewodów sandomierskich bogatej intraty generalnego starostwa Rusi. Chodziło więc teraźniejszemu wojewodzie sandomierskiemu gorąco o to, aby Ruś Czerwona wróciła do korony, czyli inaczej, aby teraźniejsze opróżnienie tronu zakończyło się wyborem takiej pary królewskiej.

któraby mogła i chciała dopomóc Polsce do powetowania tej straty, ku czemu przedewszystkiem pożądanym był sojusz litewski. Zależało wreszcie obecnemu wojewodzie Jaśkowi dwójnasób na spodziewanym w ten sposób uwielmożnieniu województwa swojego, ile że on jeszcze, jako Tarnowski, jako członek rodziny, która od czasów Kazimierzowskich najwięcej przyłożyła się do pozyskania krajowi Rusi Czerwonej i obszerne już odzierżyła w niej posiadłości, miał w onych planach politycznych nadto interes familijny. Toż i wszyscy inni bracia i krewni, sownie w rzeczy wynagrodzeni później zato na Rusi, teźnęli w tej mierze jedną z Jaśkiem duszą i jednym interesem rodzinnym. Cała Leliwa pałała żarliwością dla Jadwigi, przodkując w tem reszcie wyliczonych powyżej kiejnotów małopolskich. Ile było tych rodów herbowych, i Topor Tęczyńskich i Szubińskich, i Starza Szafranców, i Róża, czyli Poraj Kurożwęckich, i młoda jeszcze Śrzeniawa Kmitów, wszystkie ujęły się wspólnie hasła Jadwigi, a trzęsąc Małopolską, mając jaką taką w wielkopolskich Grzymalitach podporę, mogły snadnie wziąć górę nad Nałęczami i Ziemowitem.

Jakoż tych to głównie rodów i herbów klejnotnicy małopolscy przyjęli w Sieradzu, w dzień przedostatni lutego r. 1383, tak pomyślnie postów węgierskich, oflarujących im, w imieniu matki Elżbiety, młodszą córkę, Jadwigę. Ponieważ jednak nie wypadało działać poosobnie, a w Sieradzu tylko garska możnowładnych Małopolan była przytomną, przeto odroczone odpowiedź ostateczną aż do zjazdu z większą liczbą szlachty ziem wszystkich, zwłaszcza Wielkopolski, w tymże samym Sieradzu dnia 28 marca, w sobotę po Wielkiejnocy. Tymczasem postanowili panowie małopolscy przerwać koniecznie wojnę domową, wrzucą ciągle pomiędzy stronnictwami wielkopolskiemi, a zdolną podnieść z czasem potęgę Nałęczów i Ziemowita. Wzięli się więc do dzieła panowie wojewodowie, kra-

kowski Spytko i kaliski Sędziwoj, z kasztelanem zawichojskim, Mikołajem z Bogoryi, w towarzystwie Krzesława Szczekockiego i mając z sobą pełnomocnicze listy królowej, udali się w imieniu Małopolan na pobojowisko wielkopolskie pod Kalisz, oblegany wciąż przez Nałęczów. Zażądali tam panowie deputaci krakowscy, aby obiedwie sporne strony zawiesili walkę domową, poddając wszystkie dzierżone przez siebie zamki wyznaczonej przez królowę, stronie pośredniej, t. j. Małopolanom. Było to nazbyt ciężkiem żądaniem. Stronnictwo ziemiańskie, t. j. Nałęcz i Mazowszanie, odrzucili takowe jednomyślnie. Zaledwie tyle nakoniec uzyskano, iż najwarowniejszy z grodów, kaliski, uwolniony od dotychczasowej załogi Grzymalitów i oblegającej go szlachty, przeszedł w tymczasową dzierżawę kasztelana kaliskiego, Jaśka, neutralnego rozjemcy.

Do dalszych kroków rozejmu nie stawało czasu Małopolanom. Należało bowiem przed blizkim zjazdem w Sieradzu porozumieć się jeszcze stanowczo z matką królową. Panowie małopolscy chcąc dopiąć celu, musieli krzątać się gwałtownie na wszystkie strony. Dlatego podzieliła się deputacya na dwa grona. Kasztelan zawichojski Mikołaj i Krzesław ze Szczekocina wyruszyli dalej do Wielkopolski, w celu przygaszenia reszty ognisk wojny domowej; wojewodzie zaś Spytek i Sędziwoj pojechali do Węgier na dwór królewski. Podczas gdy ci wchodzili tam w nieznanie bliżej umowy elekcyjnej, tamci zawarli istotnie w Starczynowie dnia 8 marca chwilowy pokój, mocą którego Domorat ze swymi Grzymalitami pozostał w posiadaniu zamku poznańskiego i niektórych innych grodów królewskich. Pośrednicy małopolscy widocznie sprzyjali więcej Grzymalitom, obrońcom dworu, a zatem i Jadwigi, niż Nałęczom, stronnikom księcia Semka. Zastawiła małopolszczyzna tym rozejmem szczęśliwie pierwsze z „sideł”, w które później wpadli przeciwni dworowi Wielkopolanie.

Wtem minęły święta wielkanocne i nadeszła przeznaczona na zjazd sobota. Ze wszystkich stron garnęła się szlachta do starego Sieradza, bielejącego zdala nowymi gmachami i murami, wzniesionemi przez Kazimierza W. po niedawnej pożodze i ruinie krzyżackiej. Wiadomość o świeżem przedstawieniu Jądwigi do następstwa na tronie, o życzliwych dla niej chęciach Małopolan, zniewalała wszystkie stronnictwa do obecności na zjeździe, mającym prawdopodobnie rozstrzygnąć ostatecznie sprawę berła polskiego. Stanęli tedy pilnie małopolscy Leliwici i Toporezykowie, zgromadził się tłum szlachty wielkopolskiej, popleczników Ziemowitowych, zjechali z arcybiskupem Bodzantą główni urzędnicy koronni i bawiący od kilku tygodni w Małopolsce posłannicy węgierscy. Przybył nawet sam „Ruski” Władysław, książę Opolski, wiedziony chęcią przeświadczenia się, czy w powszechnej zamieszce głosów nie podarzyłoby się przypadkiem ować zdania i berła. Po walnym konfederackim zborze w Radomsku przed czterema miesiącami było najważniejszy w tych czasach zjazd, przybierający wszelkie cechy wielkiego sejmiku elekcyjnego.

Atoli od czasu zjazdu w Radomsku zaszła nie-mała różnica w zdaniach wielu panów sejmowych. Z trzech dawnych doradców margrabiego Zygmunta tylko jeden Domarat trwał w bezwarunkowym posłuszeństwie dla dworu. Drugi, wojewoda kaliski Sędziwoj połączył się zupełnie ze stronnictwem narodowym, mianowicie z małopolskim jego odcieniem. Jeszcze dalej posunął się arcybiskup Bodzanta. Ten z opiekuna Zygmunтового, z jednej ostateczności przekinał się w ostateczność przeciwną, w jawny związek z Należczami i Ziemowitem. Zmiana ta wiąże się ściśle ze stosunkami Kościoła ówczesnej Polski i wpłynęła znacznie na bieg wypadków. Przychodzi tedy za-wiązać bliższą wiadomość z charakterem i czynami ówczesnego arcypasterza narodu.

Arcybiskup Bodzanta postąpił na stolicę gnieź-

nieńską z wielkorządztwa dóbr królewskich w księstwach krakowskim i sandomierskim. Zawdzięczał on to jedynie kłopotowi króla Ludwika z powodu elekcji nieprzychylnego dworowi Dobrogosta z Nowego dworu przez kapitułę na katedrę gnieźnieńską, o którą król wolał zgłosić się do papieża dla jednego z najzaufańszych dworaków, wielkorządcy krakowskiego Bodzanty. Jakoż został ks. wielkorządca potwierdzony niezwłocznie przez papieża na arcybiskupstwie gnieźnieńskim. Ten podwójny charakter, urzędnika świeckiego, gospodarza i biernego narzędzia cudzej woli, nie opuścił Bodzanty na stolicy arcybiskupiej. Gorąca zaś troskliwość o sprawy i korzyści światowe, połączona z ustawiczną zawistością od obcych wpływów, usposobiła go wielce do opuszczenia z czasem stronnictwa dworu i dworskiej za króla Ludwika cudzoziemczyzny, a przejścia na stronę księcia narodo-wego, Ziemowita. Światowe bowiem dobro kościoła miało się nieskończenie lepiej pod książęty narodowe niż pod jakimkolwiek cudzoziemskim lub zew-dzoziemczalym królem, jak np. Ludwikiem lub Zygmuntem. Wiedziało o tem duchowieństwo polskie z gorzkich długiego czasu doświadczeń.

W żadnym z krajów europejskich nie świeciła duchowieństwu tak szczęśna dola, jak w Polsce za dni Piastów. Bogate nadania dóbr ziemskich, zupełne wyzwolenie tych dóbr z pod wszelkich praw książęcych, sumienne uiszczanie się narodu ze wszystkich nale-żytości duchownych, mianowicie dziesięcin, wzniosły świecką fortunę kościoła do nader kwitnącej pomyślności. Z samego sądownictwa w wyzwolonych od władzy książęcej dobrach płynęły duchownym właści-cielom i sędziom „niezmierne sumy”. Dziesięcin nie pobierali księża nigdzie tak obficie i ściśle, jak w ziem-iach polskich. Ten rygor dziesięcinny miał nawet przeszkodzić korzystniejszemu rozwinięciu się rolnictwa krajowego. Trwał tak pomyślny stan aż do za-lania Polski w wieku XIII przez cudzoziemczyznę

teutońską, której zresztą duchowieństwo poprzedniem osłabieniem władzy książęcej samo po części wrota rozwarło. Odtąd, gdzie tylko teutonizm stale wkorzenił się, tam wszędzie fortuna kościelna gwałtownego doznawała uszczerbku. Każdy zniemczały książę, zapatrujący się na tryb rządów królewskich w Niemczech, na niemiecko-rzymskich cesarzów, kilkunastowiecznych śmiertelnych przeciwników i pogromców wszechwładzy duchownej w Rzymie, przynosił z góry nieprzyjazne usposobienia dla duchowieństwa. Podejmowane przezeń ściąganie osadników niemieckich, nadawane im „prawo teutońskie”, upowszechniający się z przybyszami niemieckimi obyczaj niemiecki, niszczyły skarbiec kościelny, w szczególności uszczuplały główne źródło intraty duchownej, dziesięcinę. Niemiecki bowiem zwyczaj opłacał dziesięcinę w pieniądzu, a takowa przemiana ziarna w wiardunki była powszechnie poczytywana za ruinę kościołów. Przeczo w razie sporu między książęciem a biskupem nie mógł książę większej biskupowi wyrządzić klęski, jak gdy zajechawszy dobra kościelne, porozpędzał z nich kmieci polskich, a poosadzał włościan niemieckich na prawie i zwyczaju niemieckim, przemieniając natychmiast snopy dziesięcinne w fertony, a zagartując cały „niezmierny” dochód sądowy dla swoich własnych sędziów sołtysich.

Co wszystko tem srożej krzywdziło sprawę kościelną, ile że za przykładem niemieckich osadników, za obyczajem niemieckim, szła w końcu także polska szlachta takich niemieczających okolic, na wzór swoich książąt coraz nieprzyjaźniejsza duchowieństwu, i mimo wszelkich zakazów i groźb duchownych, zmuszająca księży do spieniężania dziesięciny snopowej. Toż ledwie uwierzyć można, jak rzewliwe ztąd żale wznosi duchowieństwo tych krain polskich, w których teutonizm stanowczą wziętą przewagę. Były niemi przedewszystkiem Szląsk i opanowane od krzyżackich Niemców Pomorze. Ze Szląska w czasie sporu wro-

clawskiego biskupa Tomasza ze zniemczającym Henrykiem Probusem, czyli Łagodnym, atoli „łagodnym” tylko dla Niemców, przesyła zupełnie jeszcze polskie natenczas duchowieństwo na Szląsku raz po raz żałosną skargę do Rzymu, błagając o pomoc przeciwko teutonizmowi. W uczuciu własnego niebezpieczeństwa, przedzierającego się zwolna z zczudzoziemczających ziem pogranicznych w samą głąb Polski, wstawia się tamże za bracią szląską duchowieństwo środkowych biskupstw polskich, i z arcybiskupem gnieźnieńskim na czele pisze w r. 1285 z Łęczycy i z Krakowa do kardynałów i samego papieża listy błagalne, malujące jaszkrawo stosunek Kościoła polskiego do teutonizmu.

„Należy wiedzieć — wyraża się jeden z tych listów — że naród polski od czasu nawrócenia swego... uiszczal się zawsze wiernie i pobożnie z wszelkich należytości względem stolicy rzymskiej i duchowieństwa polskiego. Teraz zaś, z powodu napływu narodu niemieckiego, który już w wielu stronach Polski ciężko zawładnął, nietylko waszej świętobliwości, ale i nam wielka w prawach naszych dzieje się krzywda i szkoda. Kościołowi rzymskiemu dzieje się krzywda, ponieważ wskutek owładnięcia granic polskich przez książęta niemieckie, hołdowników cesarza, też owładnięte granice wcielają się do cesarstwa, przez co Kościół rzymski ponosi uszczerbek w swoim własnem zwierzchnictwie i panowaniu. Nadto garną się do Polski szlachta i osadnicy niemieccy, i zajmują miasta i inne miejsca, które były w posiadaniu Polaków i z których oni od każdej głowy opłacali czynsz Kościołowi rzymskiemu, t. j. świętopietrze, którego ci niemieccy szlachta i osadnicy opłacać zgoła nie chcą. Tak Kościół rzymski ponosi uszczerbek w swoich prawach, i straci je do szczytu, jeśli temu skutecznie zabieżono nie będzie. Nam zaś napływ tegoż narodu niemieckiego uszczupla swobody kościelne i prawa nasze, pobożnie zdawien dawna za-

chowywane przez Polaków, a niektóre z tych praw bywają wcale zaprzeczane przez Niemców, jak to okazuje się jawnie w składaniu dziesięcin, których jedni zgola nie dają, drudzy zaś nie według dawnego zwyczaju krajowego, lecz zwyczajem swego narodu niemieckiego. Ale i wiele innych jeszcze plag namnożyło się w kraju z przyczyny najścia Teutonów".

Z pomiędzy których plag doskwierało duchowieństwu narodowemu także opanowywanie klasztorów i dóbr klasztornych polskich przez zakonników niemieckich, nie przyjmujących do swojej społeczności żadnego zakonnika polskiego. Jednem słowem, stan duchowieństwa polskiego, zachowującego obediencję papieską, bywał pod rządami zniemczających ksiąząt „opłakańszym od stanu żydów”. Czego dla całej Polski lękając się, upraszali biskupi krajowi stolicę apostolską o rychłą pomoc, o klątwy, „ile, że już nawet inni ksiąźęta narodowi gotują się do podobnych względem Kościoła kroków, jak Probus”. Owszem, „już nawet za przykładem Probusa nie wzdragają się oni przywłaszczać sobie dziesięciny i posiadłości kościelne w całej Polsce”, przez co „jeśli stolica apostolska pomocy nie da, skończy się na tem, iż za przykładem tak srodze pognębnego kościoła ziemi szlaskiej cały też Kościół polski niechybnie runie”...

Nie przysłała pomocy z Rzymu. Wzięło się więc duchowieństwo samo do dzieła i uderzyło gwałtownie w szarpiący Polskę teutonizm. Wtedy to ustawy synodalne zabroniły beneficjów duchownych cudzoziemcom, wykluczyły od chleba kościelnego magistrów szkolnych nie umiejących po polsku, ujęły się za językiem ojczystym, obyczajem ojczystym. Znaczna część zasługi narodowego odbudowania Polski za dni Łokietka przypadła w ten sposób duchowieństwu. Nie uwłacza zaś wcale zasłudze, że tak zbawienny zapal duchowieństwa dla narodowości roztrliła w znacznej części obawa o dziesięcinę snopową.

Wszakże i teraz za dni arcybiskupa Bodzanty srożał jeszcze teutonizm w łonie Kościoła polskiego. W dwadzieścia i pięć lat po onym sporze Probusa i tych narodowych ustawach synodalnych zagarnął zakon niemiecki północną granicę Polski, Pomorze. Zaraz nastąpiła przemiana dziesięciny snopowej w pieniężną. Straciło na tem niezmiernie wiele duchowieństwo ziem polskich, mianowicie arcybiskupstwo gnieźnieńskie i biskupstwa poznańskie i kujawskie, posiadające intratę tego rodzaju w ziemi pomorskiej. Nowa dziesięcina pieniężna warta była ledwie dwudziestą część snopowej. Wszelkie dochody kościelne, biskupie, klasztorne, parafialne, na wieki wyniszczały. Tegoż samego należało lękać się niebawem i w głębi Polski, gdyby na jej tronie zasiadł ksiąźę teutoński. I groziło zaiste tem większe niebezpieczeństwo z tej strony, iż, jak to już złowieszczym duchem przepowiadano w owych listach do Rzymu, sami ksiąźęta narodowi przejęli się chęcią podkopywania założeń kościelnej. Wszyscy trzej ostatni królowie polscy, zacząwszy od Nankierskiego prześladowcy Łokietka i gwałciciela swobód duchownych w dobrach biskupich Kazimierza W., aż do najbardziej osławionego w tej mierze króla Ludwika, tego „tyrana” duchowieństwa Węgier i Polski, tego gnębiela klasztorów, a zdzierecy dóbr biskupich, najsmutniejszą w tej mierze pozostawili pamięć. Zwłaszcza zdumowieniem były król Ludwik dawał zastraszający przykład postępowania wszystkich cudzoziemczych ksiąząt na drodze ruiny swobód i dóbr kościelnych.

Dlatego stroniło duchowieństwo polskie ze wstętem od niemieckich kandydatów do tronu, i mając wybierać pomiędzy dwojgiem złego, skłaniało się raczej na stronę ksiąząt krajowych, w obecnej chwili Ziemowitową. Toć to i rywal biskupa Bodzanty, elekt kapituły gnieźnieńskiej Dobrogost, jedynie z tej przyczyny nie osiągnął arcybiskupstwa, iż był posądzony o sprzyjanie Ziemowitowi, a niechęć ku następstwu

zięcia królewskiego, Zygmunta. Dworak Bodzanta dał się wprawdzie użyć z początku za obrońcę Zygmunta, lecz gdy się raz ustalił na stolicy arcybiskupiej, gdy Zygmunt konferowaniem Czechowi probostwa zwierzynieckiego rzucił popłoch pomiędzy księży, ocknął się w nowym arcybiskupstwie dawny wstręt duchowieństwa ku książętom teutońskim. Mniemany przeciwnik Dobrogostów opuścił snadnie sprawę Zygmunta i razem z Dobrogostem został gorącym stronnikiem mazowieckim. W takim też usposobieniu, w myśli popierania elekcji Ziemowita, przybył arcybiskup na zjazd sieradzki. Sprawa Ziemowita urosła tym faworem duchowieństwa w nader groźne dla Małopolan niebezpieczeństwo.

Oprócz tego zyskiwał młodzieńczy Ziemowit coraz więcej stronników i współczucia u szlachty święckiej. Przytoczone dotąd powody tego pomyślnego dla Mazowszan obrotu rzeczy, jako to przywiązanie narodu do krwi Piastów, życzenie osadzenia na tronie polskim mężczyzny, zamiast niewiasty, nie były jedynymi. Zawierała się w nich dopiero jedna, uczuciowa połowa sympatyj mazowieckich. Miały one jeszcze drugą, nierównie realniejszą, materyjalną stronę dla szlachty. Jak małopolskie możnowładztwo w swoim zamięłowaniu w Jadwidze, tak i tłumy ubogiej wielkopolskiej i mazowieckiej szlachty w swojej stroniowości dla Ziemowita kierowały się interesem.

Interes ten spoczywał w charakterze staroksiążęcego rodu Mazowsza. Młody książę Ziemowit, jak większa część Piastowiczów mazowieckich, był głównie ksiązęciem szlacheckim. Nowomodne obyczaje i wyobrażenia onego czasu nie przedarły się jeszcze głęboko do Mazowsza. Liberalizm ówczesny, powszechne w Małopolsce prawo teutońskie, gęste w Małopolsce osadnictwo niemieckie, nieznane były w Mazowszu aż do połowy XIV stulecia, a odtąd jedynie w kilku rozwijały się miastach. Nowoczesna polityka Kazimierza W., tego miłośnika mieszczan-

stwa i chat wiejskich, wyszydzonego za to od rycerstwa przydomkiem „króla chłopów”; takąż sama polityka króla Ludwika, „który kochał się w Niemczech” i w handlu, a miał zwyczaj wyszukiwać sobie ludzi „pod strzechą sielską i wznosić ich do najwyższych dostojenstw”; takiż sam sposób postępowania teraźniejszego margrabi, a późniejszego króla i cesarza Zygmunta, który również sprzyjał najwięcej plebejuszom, a miejskimi, wiejskimi, cudzoziemczymi dorobkiewiczami rozbijał potęgę dawnej szlachty krajowej, te wszystkie wzory nie przemawiały do rozumu i serca książąt Mazowsza.

Nie nęcił ich też przykład osobliwszej skłonności ku miastom i mieszczaństwu, cechującej teraźniejszego władcę części Kujaw i Polski, Władysława z Opola. Ten, będąc jawnym nieprzyjacielem szlachetczyzny, stanowił np. w swych przywilejach miejskich, z widoczną żółcią ku szlachcie, aby „wszelki szlachcic, który zaciągnie dług u mieszczan Wyszogrodą (przezwanego tu z niemiecka Hohenburgiem), sądzony był przez mieszczan, a nie przez kogo innego (to jest nie prawem ziemskim)... każdy zaś szlachcic, któryby chciał zamieszkać w Hohenburgu, nie miał poczytywać się swobodniejszym od reszty spólmieszkańców, lecz ponosić równe z nimi ciężary”. Obcy tym „zagranicznym” wyobrażeniom siedemnastoletni junak Ziemowit był starym zwyczajem nie skąpy dla duchowieństwa, a zbrojną szlachtę kładł wyżej nad mieszczaństwo i kupców. Panując księztwu zaludnionemu samymi prawie tłumami drobnej szlachty, miał on wszelki powód okazywać się łaskawym tak licznej klasie narodu i obdarzał ją hojnie najwyższymi swobodami, tak zwanem „prawem książęcym”. Otrzymali je np. temliż czasy od książąt mazowieckich między innymi: kasztelan dobrzyński Andrzej, społeczość herbu Kościeszka, szlachta „genealogii i klejnotu Jastrzębiec, czyli Boleszyc”.

Kmieciom nie działo się źle na Mazowszu, ow-

szem, kraj ten miał być „przez długie wieki mniej srogim na ich swobody”. Atoli obowiązki względem panów musiały ściśle być uiszczane, a o ile mniej siół magdeburgskich, mniej z teutońska czynszowych osad widzimy na Mazowszu, o tyle wcześniej prowadzi tutejsze „prawo polskie” do ustalenia się później państwowości. Już za życia Ziemowita ogłoszony zostaje statut, mocą którego „każdy włościanin, czy to duchowny, czy świecki, winien obrabiać od całkowitego łanu dzień jeden, od połowy łanu pół dnia w tygodniu, kiedykolwiek pan go zawezwie”. Tem surowsi na złodziejów i gwałtowników, pozwalali książęta mazowieccy stawiać na nich częściej, niż gdzie indziej, „więzienia i szubienice”.

Najmniej jednak względów doznawali mieszczaństwo. Podczas gdy Opolecyk szlachtę w mieście za lada dług miejskiemu poddawał sądownictwu, książęta mazowieccy ustanawiali przeciwnie, iżby „żaden szlachcic, popełniwszy jakąkolwiek zbrodnię w mieście, albo w okręgu miejskim, nie był pociągany do sądów miejskich, lecz pozostawiony sądowi książęcyemu lub trybunałowi ze szlachty”. Ustanowienia tego rodzaju zapewniały wprawdzie Ziemowitowi przychylność szlachty, ale odstręczały mu mieszczaństwo. Bało się też mieszczaństwo książęcia Ziemowita „jak pioruna”. Już nie tyle wstrętu mieli do niego Żydzi, u których młody Piast zapożyczał się niejednokrotnie. Bo częste robienie długów, czy to u lichwiarzy Krzyżaków, czy u Żydów krakowskich, było, niestety, najszpetniejszą wadą tego narodowego księcia. Ale ponieważ w onych wiekach nierządności i zdzierstwa, żaden z monarchów i panów nie uniknął tej skazy, przeto nie umniejszała mu ona współczucia szlachty, przechylającej teraz usilnie koronę polską na skronie Ziemowitowe.

Osobliwszym zbiegiem wypadków nie pomagał Semkowi, ani współubiegał się z nim starszy jego brat, Janusz, książę na Czersku, ów „mądry” zięć

Kiejstuta, znany nam z zagarnięcia Podlasia w czasie ostatniej walki swojego teścia. Dojrzałych lat, ziemniejszej krwi, hamowany rozumem, nie mieszał się on zgoła do starań młodszego brata i wypadł z rąk Piastów berło, lecz rozmyśliwając raczej nad wewnętrznym urządzeniem swojego kraju, nad ogłoszonymi niebawem ustawami ziemskimi, zostawał nawet w przyjaznych stosunkach z przeciwnym bratu swemu dworem królewskim na Węgrzech. Zresztą miał Ziemowit jeszcze po swojej stronie niektóre książęta szlache. mianowicie Konrada, księcia na Oleśnicy, gotującego mu pomoc orężną.

Wspólne wsparcie tegoż bratanka Piasta i szlachty drobnej i duchowieństwa czyniło księciu Semkowi wszelką otuchę dostąpienia tronu polskiego, nabawiało przestrach przeciwników, zwłaszcza magnatów małopolskich, zgromadzonych teraz na zjazd sieradzki. W uczuciu bowiem swojej wznrastającej przewagi rozuchwalali się obecni tam chodaczkowie z Mazowsza aż do burd i do gwałtów. Mając głównie zawziętość do „Ruskiego,” do „Nadirspana,” czyli Władysława Opoleczyka, starającego się udaremnić zabiegi Ziemowita, lubo przez poślubioną sobie rodzoną siostrę Ziemowitową był szwagrem Mazowszana, gotowała się drobna szlachta pojmać i przytrzymać Opoleczyka. Udało się przecież panom możniejszym odwieść szlachtę od tego kroku, a jak to się powiodło, tak spodziewali się panowie dokazać jeszcze więcej wbrew „drobiażdżkowi.”

I bądź co bądź, o ile czynniki umysłowe bywają niekiedy skuteczniejsze od materyalnych, o tyle stronictwo możnowładcze, idąc teraz w zapasy z gminem szlacheckim, nieskończenie mniej przemyślnym wówczas od swoich przeciwników, mogło nie tracić jeszcze nadziei. Dopomagała mu w tem przeciwko tłumnej potędze Ziemowita znana łagodność plemienia i właściwa wszelkiemu tłumowi zmienność. O łagodności świadczyło np. tak długie i tak cierpliwe oczę-

kiwanie wymaganego od Zygmunta odjęcia wielkorządztwa Domaratowi; na zmienność, na dziecinna płochość całego społeczeństwa tamtej epoki własne onego czasu użalały się głosy. Ufali tedy panowie Małopolicy czasowi i gromadzili się wespół z resztą przytomnych w Sieradzu stronnictw, w dniu 28 marca, na stanowczą radę w kościele.

Niezmierne liczniejsza większość szlachty sejmowej, wchodzącej w progi kościoła sieradzkiego, była pewną wyboru Ziemowita. W takiej myśli wstępował tam przedewszystkiem arcybiskup Bodzanta. Zbierające się wokoło niego zgromadzenie sejmowe składało się z wszelkich znakomitości narodu. W środku zajął miejsce sam arcypasterz. Obok niego prałaci w stroju duchownym. Przy nich na miejscu czestnem zwracał oczy na siebie poważny książę Opoleczyk, mający w tej chwili zapewne ową spokojną mieszczańską minę, jaką mu na pieczęciach ówczesnych nadają skromnie ku ziemi spuszczone oczy, zwisające trzema gładkimi kosmykami wasy i broda, i wcale wygodny ubiór mieszczański o niezmierniej, w górę wykładanej czapce pilśniowej. Nieco dalej widziałeś wielko i małopolskich panów, mianowicie krakowskich Toporeczków Tęczyńskich, świecących czerwonymi szubami, a otoczonych gronem stryjców i popieczników herbowych. Dokoła stała drobna szlachta kożusznna, w orszakach jedno-herbowych przedstawiających tem samem różnicę ziem i województw.

W obliczu tego całego zboru wystąpiło najprzód dawne poselstwo węgierskie, oświadczając teraz po raz drugi w Sieradzu, jako królowa Elżbieta rozwiązuje naród z wszelkich obowiązków względem starszej królowej Maryi, a poleca krajowi młodszą córkę Jadwigę. Nad przyjęciem lub nieprzyjęciem tej propozycji miano się właśnie naradzać. Dlatego zostali posłowie węgierscy zawezwani na ustęp, a w całym kole sejmowem wszczęła się walka różnych gło-

sów i rad. Najpowszechniejszem zdaniem było, aby ponieważ którakolwiek z królowien węgierskich osiedzie na tronie polskim, każda będzie musiała podzielić tron z małżonkiem, porozumieć się najpierw względem tego małżonka, względem przyszłego króla. Małżeństwo zaś z przyszłą królową polską, t. j. tron polski, nie godzi się słuszniej i sprawiedliwiej nikomu, jak młodemu księciu Mazowsza Ziemowitowi.

Odezwał się przeciwko temu Władysław „Ruski.” Jego sprzeciwienie się oburzyło tak dalece gmin szlachty, iż rzucono się tłumnie ku miejscu księcia, chcąc go pokrzywdzić, chcąc „pojąć.” Zasłonili go atoli od napaści tłumu możni panowie, będący tego samego zdania, co „Ruski,” przeciwnikami Ziemowita. Łatwe przez nich uspokojenie gniewu braci szlacheckiej zagroziło na chwilę sprawie księcia Semka. Aby tedy nie dać ostygnąć zapalowi mazowieckiemu, powstał arcybiskup Bodzanta i zapytał „donośnym głosem,” czy chcą księcia Ziemowita mieć królem polskim? Odpowiedział mu gwarny okrzyk stojącej dokoła szlachty: „Chcemy i żądamy, aby przez was, księżu arcybiskupie, koronowany był królem polskim!” Teraz stronnictwo małopolskie ujrzało się zagrożonem. Taż sama „cieśń,” w której podczas zjazdu w Koszycach znaleźli się niegdyś Wielkopolanie, przyniosła obecnie panów krakowskich.

W tak niebezpiecznej chwili ocalił sprawę Małopolan i Jadwigi głos jednego szlachcica. Był nim małopoleczyk, Toporeczyk Jaśko z Tęczyna, syn dawniejszego wojewody krakowskiego, Andrzeja, kasztelan wojnicki, a tem samem blizki sąsiad Leliwitów z Melsztyna i Tarnowa, równie gorliwie sprzyjających Jadwidze. Mąż w pełni wieku, bo już od przeszło 15 lat kasztelańską zaszczycony godnością, światły i wymowny, jak tego dowiódł skutkiem obecnego przemówienia do szlachty, pobożny i cnotliwy, jak to okazuje się z wielu jałmużn duchownych i z wieloletniego zachowania królowej Jadwigi, wystąpił on teraz nagle

w pośrodek koła radnego i odezwał się do zgromadzenia: „Szlachetna bracio! Nie godzi się tak skwapliwa elekcyal Jesteśmy bowiem obowiązani zachować przyrzeczenie wierności, uczynione Jadwidze, córce króla Ludwika. Dlatego, jeśli przybędzie do nas na blizkie Świątki Zielone i zechce bawić w Polsce ze swoim mężem, i rządzić państwem, czekajmy jej przyjazdu. A dopiero, gdyby nie przyjechała, wybierzemy sobie króla, jak to ułożone jest między nami a nieboszczykiem królem Ludwikiem, mocą uroczystych paktów i dokumentów.

„Prawie wszyscy—najprzód panowie małopolscy, potem i Wielkopolsanie, dotknięci bolesnym zarzutem wiarołomstwa względem króla Ludwika, ulegli natęczeniu zacnego Toporczyka z Tęczyna. Wchodząc powszechnie w myśl jego rady, zaczęto ją szerzej rozwijać i uzupełniać, dodając różne żądania, jakie należało połączyć z przyzwoleniem na królową Jadwigę. Jedni kazali domagać się odzyskania Rusi Czerwonej, opanowanej najprzód przez Węgrów, a potem w części przez Litwę. Drudzy zaś, nieprzyjaciele „Ruskiego,” pragnęli przywrócenia koronie ziem nadanych przez króla Ludwika książęciu Opoleczykowi. W ten sposób dopiętemu szczęśliwie przyjęciu Jadwigi przez sejm sieradzki przyrosły ważne warunki, mające wszelki pozór późniejszych „paktów konwentów.”

Toż gdy wreszcie po wyczerpaniu się narad przywołani zostali posły węgierskie dla powzięcia ostatecznej odpowiedzi narodu, składała się ta odpowiedź z punktów następujących. Po pierwsze, królowna Jadwiga uznana zostaje królową polską, byle stanęła w Krakowie na blizkie Świątki Zielone. Powtóre, przyszła królowa Jadwiga ma póki życia bawić ze swoim mężem w królestwie polskim. Po trzecie, przyłączy matka-królowa ziemie Ruską nanowo do korony. Po czwarte, odzyska podobnie królowa i przywróci do stanu poprzedniego księztwa Dobrzyń-

skie, Kujawskie, Wieluńskie, tudzież zamki i miasta Ostrzeszów, Bolesławiec, Krzepice, Kłobucko, Częstochowę, Olsztyn i Bobolice, które jej mąż, król Ludwik, nadaniem onych Opoleczykowi oderwał od korony. Tylko w razie dopełnienia tych warunków, przyrzekają Polacy wierność Jadwidze. Inaczej, pomimo wszelkich układów poprzednich i dokumentów, przystąpi naród do wyboru króla polskiego.

Na tem zakończył się sejm elekcyjny w Sieradzu. Małopolsanie otrzymali zwycięstwo. Przewódcy stronnictwa mazowieckiego, między tymi sam arcybiskup Bodzanta, odjechali w słusznem oburzeniu na płochą zmienność szlachty. Nie mogąc spuszczać się na nią, umyślono gwałtowniejszym chwycić się środków. W poufnej naradzie między arcybiskupem Bodzantą a Ziemowitem zapadło postanowienie nie dopuścić Jadwigi do Krakowa, chyba jako małżonkę Ziemowitową. Potrzeba było ku temu zastąpić jedynie drogę krakowską i wziąć królową przemocą. Zdawało się to zwyczajnym ze wszechmiar krokiem, nie wzbudzającym podziwu ani w cudzoziemcach, ani w narodzie. Za granicą podobne zasadzki i gwałty należały podówczas do zjawisk każdodziennych, powtarzających się w życiu każdego prawie monarchy owych czasów, zaczawszy od Zygmunta ojca, cesarza Karola IV, pojmanego przez „kapitanów” weneckich, aż do francuskiego króla Karola VI, który temi właśnie laty z samej obawy popadnięcia w takąż zasadzkę nieprzyjacielską rozum utracił.

Nawet w oczach Polaków, a mianowicie wielkopolskich i mazowieckich zwolenników starego obyczaju narodowego, podobny zamach względem niewiasty uchodził za starodawny, uświęcony zwyczaj poślubin. Toć wszelkie pojmanie panny w małżeństwo działo się u Słowian pierwotnie tylko w kształcie poniewolnego porwania jej, któremu dopiero chrześcijaństwo potrzebą przyzwolenia panny młodej i ceremonią benedykcyi kapłańskiej nadało charakter obrzędu ko-

ścielnego. Postępował tedy Ziemowit po europejsku i po narodowemu, zamierzając porwać Jadwigę. Ale ponieważ panowie małopolscy niechybnie wzbroniliby mu podobnego zamachu, gdyby zamiar księcia rozgłosił się przed czasem, tedy ułożono w tym celu następny plan tajemny. Za kilka tygodni, t. j. około Zielonych Świąt, przypadających w r. 1383 na 10-ty dzień maja spodziewano się przybycia Jadwigi z Węgier. Wtedy panowie krakowscy wybierali się na przeciw młodej królowej, na uroczyste powitanie jej w Sądzu. W tę stronę, pod tym samym pozorem umyślił zdążyć arcybiskup Bodzanta. W jego licznym orszaku zbrojnym, prowadzonym wrzekomo dla tem większej okazałości, rzeczywiście zaś dla dokonania zamachu, miał ukrywać się książę Semko. Wpuszczony z arcybiskupem i wojskiem do Krakowa, spodziewał się mazowiecki Piast opanować najprzód stolicę, a potem porwać królowę...

Z wszechstronną zatem niecierpliwością oczekiwano nadejścia Świątek Zielonych. Na kilka dni przed świętami znani nam panowie krakowscy herbów: Topor, Leliwa i Poraj, wyruszyli na powitanie do Sądza. Z nimi spieszyli połączyć się spółnicy wielkopolscy: wielkorządca Domarat, wojewoda poznański Wincenty, z Kępy i inni. W tymże samym napozór celu ciągnął ku Małopolsce, ku Krakowowi zbrojno, dworno, arcybiskup Bodzanta. Towarzyszył mu najgłówniejszy zwolennik Ziemowitów, Bartosz, starosta odolanowski, z hufcem pięciuset kopijników mazowieckich. Obecność Bartosa z tak znaczną siłą orężną mogła już sama przez się ściągnąć podejrzenie na pochod arcybiskupa, choćby nawet nie wiadzano bynajmniej, że pomiędzy owymi kopijnikami ukrywa się sam Ziemowit. Ale i o tem zatajeniu się Semka głośne już brzmiały wieści.

Bo i ówczesne pokolenia, tylko w wyobraźni poetów żelazne i hartowne, w rzeczywistości zaś płuche i gadatliwe, kochały się więcej w słowach, niż

w tajnie uknutyh czynach. Ztąd tylko pogańska, niesłowiańska Litwa słynęła z małomówności i daru dochowywania tajemnic, a w słowiańskiej Polsce, w Mazowszu, „tajny plan Ziemowitów nietylko w pobliżu, lecz nawet w najodleglejszych stronach stał się powszechnie wiadomą tajemnicą.” Zaczem gdy arcybiskup d. 7 maja, t. j. na trzy dni przed zieloną niedzielą stanął z hufcem swoim pod murami Krakowa u bramy św. Floryana, mieszczenie krakowsey, równie jak mieszczenie wszystkich miast innych przeciwni Ziemowitowi, zatarasowali bramę, nie wpuszczając niebezpiecznych gości do miasta.

Arcybiskup i jego towarzysze znaleźli przyjęcie na przedmieściu, w dworcu proboszcza u św. Floryana. Sam to arcybiskup Bodzanta, będąc jeszcze proboszczem w Krakowie, wybudował niegdyś ten okazały dworec, w którym teraz rozłożyło się rycerstwo mazowieckie. Z tej warownej przystani spodziewano się jeszcze opanować znienacka Kraków. Zapewne dla zaopatrzenia się w pieniądze ku temu środki, wszedł Ziemowit skrycie w układy z żydami krakowskimi, pożyczając od nich znaczną sumę pieniędzy. Ale nie na to mieszczenie w ogólności, „jak pioruna” lękali się księcia Semka, aby mieszczaństwo krakowskie miało mu pozwolić czasu do zdobycia stolicy. Razem z nieprzyjazną Mazurom szlachtą krakowską postanowiło ono wyprzeć wspólnego nieprzyjaciela zbrojną ręką z pod murów miejskich.

Wyprawiono więc postów do arcybiskupa, niosących tak zwaną „odповідь” rycerską, t. j. wypowiedających spokój i bezpieczeństwo całemu orszakowi, a oznajmujących mu wojnę, jeśliby wkrótce nie opuścił przedmieść krakowskich. Pierwszej nocy Świątek Zielonych mieli mieszczenie uderzyć całą siłą na Mazurów Semkowych. Była pomiędzy Mazowszanami niemała z tej przyczyny obawa. Wszystko rycerstwo Ziemowitowe przywdziało w niedzielę za nadejściem wieczora zbroje żelazne, dosiadło koni i stanawszy

przed bramą dworca, czuwało przez całą noc pod bronią. Nazajutrz arcybiskup, Ziemowit i Bartosz Odolowski opuścili z rycerstwem przedmieścia krakowskie, cofając się ku Proszowicom.

Znów Małopolanie zwycięzko dobodli stronnictwu mazowieckiemu. A uchodziło obecne zwycięstwo krakowskie na rzecz niemałej wagi. Otrzymali mieszczanie krakowscy hojną za nie później od przeciwników Ziemowitowych nagrodę, w której przywilejowem zatwierdzeniu stało wyraźne przyznanie, jako „dość z siebie Krakowianie uczynili podówczas, strzegąc tak pilnie swej stolicy krakowskiej.” Ziemowit zaś, nie mogąc ukarać za to samych Krakowian, zapragnął zemścić się na kimkolwiek, choćby mniej winnym. Przypisywał on swoją niefortunność krakowską głównie staraniom osiemnastoletniego Spytka z Melsztyna, który zapewne, jako wojewoda krakowski, wpływał rzeczywiście najwięcej na postanowienie mieszczan krakowskich i na otrzymaną przez nich pomoc szlachecką. Dlatego przeziwko temuż Spytkowi obrócił się wszystek gniew Ziemowitów, gotując mu dotkliwą niebawem zemstę. Tymczasem, posuwawszy z Proszowic dalej wzdłuż Wisły, stanęła cała książęca i arcybiskupia drużyna w bezpieczniejszym dla siebie Nowem mieście Korczynie. Umyślono tam zatrzymać się tak długo, dopóki oczekiwana w Sądzu królowna Jadwiga nie wejdzie w granice polskie.

Wszelako oczekujący w Sądzu panowie oczekiwali napróżno. Minęły Świątki Zielone, a królowy nie było. Natomiast wrócił z Węgier w towarzystwie kilku szlachty węgierskiej, wojewoda kaliski i starosta krakowski Sędziwoj z Szubina, bawiący tam od swego poselstwa po pierwszym zjeździe sieradzkim. Przyniósł on zgromadzonym panom wiadomość, że królowa Elżbieta szczerze pragnęła przywieźć córkę do Polski, że nawet aż do Koszyc posunęła się już w tej podróży, gdy wtem niebezpieczne wiosenne wy-

lewy wód przecięły dalszą drogę. „Jeśli panowie Polacy koniecznie tego żądają — oświadczył Sędziwoj i towarzyszący mu Węgrzy — tedy królewska matka Jadwigi gotowa jest z narażeniem życia przedsięwziąć dalszą podróż do Polski. Gdyby atoli mogło stać się inaczej, wtedy życzyłaby sobie królowa widzieć się najprzód z najprzedniejszymi panami polskimi u siebie w Koszycach, dokąd ich też gwoli nowym umowom i postanowieniom zaprasza.” Dla większej zaś zachęty do wyprawy koszyckiej nadmieniono zeicha i głośno, jako nadzwyczajnie bogate dary czekają tam panów posłów. Bez wielkiej zatem trudności przystali magnaci na toż nowe poselstwo. Uboższa szlachta wróciła z niczem do domów, a panowie, po nadesłaniu z Węgier zażądanych listów glejtowych, zebrali się w grono dostojne, w którym na pierwszych miejscach kasztelan krakowski, Dobiesław Róży z Kurozwęk, wojewodowie: krakowski Spyttek z Melsztyna, kaliski Sędziwoj z Szubina i poznański Wincenty z Kępy, wreszcie wielkorządca Domarat z kasztelanem sandomierskim Jaśkiem z Tarnowa, i wyruszyli znaną przez góry drogą do Koszyc.

Właśnie dwoma tygodniami przed niedzielą Zielonych Świątek, t. j. około św. Jerzego, dnia 24-go kwietnia skończyła królowna Jadwiga lat dwanaście. Wtedy, według dawniejszych układów z dworem rakuzkim, zawieranych względem dziecinnych oblubieńców po kilkakrotnie za życia króla Lndwika, miało nastąpić rzeczywiste dopełnienie małżeństwa, z wypłatą przyrzeczonych sum posagu i wiana, t. j. 200,000 czerw. zł. ze strony Wilhelmorego ojca, Leopolda. Wszelako kilkuletni przeciąg czasu między chwilą owych układów a chwilą obecnego ich dopełnienia zmienił całą postać okoliczności. Wówczas mniemała rodzina, że Jadwiga z Wilhelmem usiadzie na blizkim obojgu tronie węgierskim, Marya zaś z Luksemburczykiem Zygmuntem, jako sąsiadem Polski, a potomkiem da-

wnych pretendentów do berła Piastów, obejmie koronę polską. Teraz wola narodu węgierskiego oddała koronę Węgier po śmierci króla Ludwika starszej królownie Maryi. Polacy zaś oświadczyli się stanowczo najprzód przeciwko narzeczonemu Maryi Zygmunutowi, następnie przeciwko wszelkiemu połączeniu koron węgierskiej i polskiej na jednej skroni, a wreszcie jeśli domagać się coraz wyraźniej, aby przyszła królowa polska, bez względu na dawne układy familijne, zawarła małżeństwo według woli narodu. To ostatnie żądanie sprzeciwiało się wszechmocnie Wilhelmowi, który jako książę obcy, odległy i niezbyt możny, nie wzbudzał żadnej u Polaków sympatii. Jeśli więc królowa Elżbieta nie chciała doczekać się usunięcia także młodszej córki Jadwigi od panowania w Polsce, należało nie dopuszczać dopełnienia małżeństwa między Wilhelmem a Jadwigą, mającego odbyć się właśnie w tej porze.

Jakoż, oprócz wzajemnego przywiązania młodzięższej pary, wszystkie zresztą okoliczności sprzyjały się przeciwko jej połączeniu. W matce Elżbiecie spostrzegliśmy już zdawna nieprzyjazne obudwom niemieckim zięciom usposobienie, za które w kronikarstwie niemieckiem odwdzięcza się królowej wcale niepochlebny obraz jej charakteru. Polacy zamysłali połączyć Jadwigę przemocą z księciem własnego wyboru, a obecność wojewody Sędziwoja z Szubina na dworze królowej Elżbiety w tym samym czasie, kiedy tam mijał termin dopełnienia małżeństwa rakuzkiego, zdaje się być skazówką, że na bezskuteczność tegoż terminu nie pozostały bez wpływu przeciwne Wilhelmu rady i wymagania polskie. Nareszcie sam ojciec Wilhelmów przyczynił się do rozchwiania związków z dworem węgierskim. Dwór ten zostawał podczas obecnej szczytów kościelnej w niezmiernem posłuszeństwie dla rzymskiego papieża Urbana VI-go, a królowa Elżbieta ubiegała się nawet osobiście bogatymi darami o szczególne względy tego papieża.

Rakuzki zaś książę Leopold w tak ważnej dla ówczesnych pokoleń sprawie chwycił się lekkomyślnie strony anti-papieża Klemensa, i od lat kilku ku powszechnemu zgorzeleniu wschodnich okolic europejskich w ścisłej spółkował się z nim przyjaźni, które to wszystkie okoliczności sprawiły, że gdy termin św. Jerzego nadszedł, żaden z warunków dawnej ugody małżeńskiej, ani wzajemna wypłata posagu i wiana, ani ostateczne pokładziny z Jadwigą nie wzięły skutku. Plan małżeństwa rakuzkiego nie został wprowadzicie zerwanym ostatecznie przez dwór węgierski, lecz dla Polaków postradał on od tej chwili ostatni cień ważności.

Ztąd jadąc obecnie do Koszyc, jechali panowie polscy na gotowe już dzieło uwolnienia się od Wilhelma. Jedyną jeszcze trudnością, nad którą Polakom radzić wypadło w Węgrzech, było podobne uwolnienie Jadwigi od Ziemowita. Temuż poświęcili panowie krakowscy wszystkich swój trud w Koszycach. Najpotrzebniejszym zaś środkiem zabezpieczenia królowny od księcia mazowieckiego, gdy on właśnie o gwałtownem uwięzieniu jej myślał i codziennie w siłę urastał, zdało się odroczenie przyrzeczonego przybycia Jadwigi do Krakowa. Jużto dla ujęcia Ziemowitowi sposobności do porwania Jadwigi w drodze przez Małopolskę, jużto dla dogodzenia życzeniom matki królowej, jużto wreszcie dla dowolnego tymczasem rządzenia się wszelkimi dochodami i pożytkami pozbawionej króla korony, odroczyli magnaci małopolscy przyjazd Jadwigi do wcale odległej pory, bo aż do całego półrocza. Dopiero w listopadzie na św. Marcin miała zjechać królowna i przywdziać uroczyście koronę.

Było to najmiłszym owocem obrad koszyckich dla królowej. Wszelkie bowiem okoliczności wymagały sprzeciwienia się niezwłocznemu odjazdowi Jadwigi. Jej wiek 12 letni, widoczne panów polskich

zamysły dowolnego rozrządzenia jej przyszłością i ręką, mnogość otwarcie przeciwko niej występujących nieprzyjaciół w Wielkopolsce i w Mazowszu, zresztą pretensje i nieprzyjaźń dworu rakuskiego w razie zupełnego zerwania ślubów małżeńskich — wszystko zniewalało matkę królową do jaknajdłuższego zatrzymywania córki przy swoim boku. Co więc tym razem na szczęście z łatwością uzyskano od Małopolań, odroczenie przybycia Jadwigi do Polski, to gotowa była Elżbieta w razie przeciwnym zrobić przedmiotem najniebezpieczniejszego sporu z narodem. Aby zaś tak długa odwłoka koronacyi nie przyniosła uszczerbku sprawie Jadwigi, wsparto ją różnemi środkami ostrożności. I tak, gwoździem ostatecznemu ucieszeniu wojny Nałęczów i Grzymałczyków przywiedziono starostę Domarata do złożenia nareszcie rządów Wielkopolski w ręce naznaczonego mu przez królową następcy, Pielgrzyma z Wągleszyna, synowca byłego biskupa krakowskiego Floryana, z zachowaniem Domaratu jedynie kasztelanii poznańskiej. Dalej, nie ufając wierności niektórych urzędników, postanowiono zaprowadzić stosowne w tym względzie zmiany. Osobliwie godziło się czuwać nad Kujawami, ziemią wpół ma zowiecką, tak snadnie przed laty ośmiu zawojowaną przez Władysława Białego. Poruciła zatem królowa w Koszycach rządy Kujaw jednemu z najdoświadczeńszych stronników, panu Ściborowi Mościcowi, któremu dotychczasowi rządcy tej ziemi, Pietrasz Małocha starosta kujawski i Wojtko syn Dobiesława z Kościeleca, musieli teraz w Węgrzech zdać swe urzędy.

Atoli te wszystkie środki zabezpieczenia tronu Jadwidze nie zadowolili jeszcze królowej. Chciała ona całemu rodowi swemu zapewnić Polskę. Zgromadzeni panowie pod urokiem złotej wdzięczności królowej zgadzali się na wszystko. Zaczem przeciw wyraźnemu brzmieniu poprzednich dokumentów wielkopolskich, warunkujących wieczysty rozdział koron węgierskiej i polskiej, ustanowiono teraz w Koszycach,

iż w razie śmierci Jadwigi korona polska spadnie dziedzictwem na jej starszą siostrę Maryę, małżonkę margrabiego Zygmunta. Na wypadek zaś śmierci Maryi, nie sprzeciwiają się Polacy objęciu korony węgierskiej przez królową polską Jadwigę, ale zezwolą owszem, aby Polska i Węgry pozostały tak długo połączone z sobą, aż póki jedna z młodych królewien nie dostąpi potomstwa, pod którem obie korony wrócą znowuż do dawnej rozdzielnosci.

Zmienione w ten sposób warunki paktów z królową, mianowicie odroczenie przyjazdu Jadwigi i możliwa unia koron, zadawały gwałt powszechnemu żądaniu kraju. To też znaczna część samychże posłów polskich w Koszycach oparła się tak samowładnemu krokowi. Jednakże wymienieni powyżej naczelnicy możnowładztwa małopolskiego: Toporezyk Sędziwoj, Leliwici Spytko z Melsztyna i Jan z Tarnowa, Róży Dobiesław z Kurożewek, tudzież wielkopolscy ich sprzymierzeńcy, terazniejsi kasztelan Domarat i wojewoda Wincenty z Kępy, niebaczni na żadne protestacye mniej możnej braci, rozrządzając losami kraju „wbrew woli i wiedzy szlachty, utrzymali przemocą ważność nowej z królową zgody”. Mimo oporu spółposłanników, bez względu na wiadomą niechęć narodu, została Jadwiga pod wymienionemi warunkami wśród szumnych uroczystości i godów dworskich obwołana przez nich królową polską. Ukarani panów za taką samowolność przykry zawód w nadziejach złotego myta królowej. „Oszukano ich — opowiada tamtoczesny kronikarz — gdyż tylko wielkie obietnice, a mało znaczące odnieśli dary”.

Najpożądańszą przecież nagrodą było udzielone im teraz przez królową Elżbietę pozwolenie dowolnego opiekowania się zamężciem młodej królowej. Przyznano panom polskim to prawo osobnym warunkiem nader cennego dokumentu o wielu przywieszonych pieczęciach, który stwierdzał dawną ugodę koszycką, ale nie doszedł, niestety, do naszych czasów. Tak

zbliżali się Małopolanie coraz pewniej do swego celu, a ponieważ uzyskana w Koszycach wolność wybrania męża Jadwidze była właściwie wolnością wyboru króla, przeto nietylko poszczególne życzenia chwili bieżącej szły tem w spełnienie, lecz cały skarbiec kardynalnych swobód krajowych z bogacił się jednym wielkim klejnotem. Tatrzański trakt do Koszyc stał się dla Małopolan prawdziwie drogą złotej wolności.

Ziemowit tymczasem wyglądał po nim napróżno podróznego dworu Jadwigi. Gdy się rozeszła wieść, że przyjazd królowny odroczone aż do św. Marcina, wzburzony zawodem nadziei książę Mazowsza przedsięwziął posiąść tron polski bez Jadwigi. Dopięcie tego zamiaru wymagało gwałtownej usilności, pośpiechu. Potomek chrobrych Piastów, którego niekiedy lękano się „jak pioruna”, zdolen był do kroków nagle, stanowczych. W całym stronnictwie mazowieckiem rozgorzała teraz niepoślednia chęć porażenia przeciwników grozą wojenną. Na wszelki opór rzucano postrach ognia i miecza, któremi miano zniszczyć do szczytu dwory i posiadłości nieprzyjacielskie. Zaczęto od jednego z głównych nieprzyjaciół, od krakowskiego wojewody Spytka z Melsztyna. Opuszczając Korczyn w celu opanowania dalszych zamków królewskich, kazał książę Semko obrócić mu w perzynę dziedziczne miasto Książ. Poczem ciągnąc przez ziemię Łęczycką, której szlachta zawarła teraz z księciem pewną pomyślną dla stronnictwa mazowieckiego ugodę, uderzono w tę stronę, kędy najprędzszą sprawie książęcej wróżyło powodzenie.

Były tą stroną Kujawy, połączone niegdyś przez długie lata z Mazowszem, a jeszcze od czasu Władysława Białego znane ze swojej przychylności dla Piastów. Jakoż miał już książę Semko tajnych sprzymierzeńców w ziemi kujawskiej. Należeli do nich osobiście dwaj główni urzędnicy: Pietrasz Małocha starosta kujawski i Wojtko Dobiesław z Kościelca, kasztelan brzeski. Podejrzani z tego względu u dwo-

ru i Małopolan, musieli obaj zdać w Koszycach urzędy Ściborowi, spieszącemu z Węgier do Kujaw. Atoli nim jeszcze nowy starosta przybył na miejsce, już stołeczny gród Kujaw, Brześć, popadł w ręce Ziemowitowe. Podał go z rozkazu Pietrasza Małocha dnia 22 maja r. 1383 Ziemowitowemu wysłańcowi Krzesławowi z Kościelca zięć i namiestnik Pietraszów, Dzierżko Grzymalczyk. Stanął wprawdzie kilką dniami później nowy starosta Ścibor pod zamkiem brzeskim i został nawet przez wrogich Semkowi mieszczan z niezmierną powitany uciechą, gdy jednakże w trop za nim nadciągnęli Mazurów pod wojewodą płockim Abrahamem Sochą, pan Ścibor, zagrożony z jednej strony od załogi zamkowej, z drugiej od Sochy, musiał, chcąc niechcąc, przychylić się do układów, zakończonych całkowitem opuszczeniem Brześcia i Kujaw.

Teraz w zemstę za przyjęcie Ścibora wypadł z zamku Pietrasz Małocha i powięził, okował, złupił przedniejszych mieszczan. Ledwie zaś Brześć zajęto, już i druga główna twierdza Kujaw, Kruszwica, przeszła w moc Semka. Tę niedawno przez szlachtę wspólnej dzierżawie Krzesławowego brata Wojtka z Kościelca i Jakusza Kuliga poruczoną, otworzył Abrahamowi Sosze, wojewodzie płockiemu, w niewiele dni po opanowaniu Brześcia z rozkazu Wojtkowego ojca a brata Dobiesława i Krzesława, spótgrododzierzca Jakusz. Bawiący w Koszycach Wojtko, świadom zamysłu tej zdrady, wracał umyślnie nadmiar leniwo do Kruszwy, aby przybyć do dom po jej poddaniu.

Tak łatwe owładnięcie ziemi kujawskiej dozwoliło młodemu Semkowi przybrać tytuł księcia Kujaw. Nadto skutkiem wspomnianego powyżej układu ze szlachtą Łęczycką przeszła teraz i Łęczyca w posiadanie Mazowszan. Obiedwie te zdobycze uścieliły się młodzieńczemu Piastowicowi ostatnimi już stopniami do tronu przodków. Przedsięwzięto posiąść go wreszcie, posiąść jakimkolwiek sposobem. A jako

w tej porze wszystko działo się głównie gwałtownością i postrachem, tak też sam tron królewski zamierzono wziąć szturmem. Wyszły tedy wici mazowieckie po całym kraju, rozkazujące wszystkim szlachcie królestwa stawić się na dzień św. Wita, t. j. 15 czerwca, w dwa tygodnie po całkowitem zajęciu Kujaw, na zjazd powszechny w Sieradzu. Miała tam odbyć się ostateczna ceremonia koronacji Semkowej. Kto nie przybędzie, a tem samem okaże się przeciwnym Ziemowitowi, temu zagrożono pożogą i doszczętnem zniszczeniem włości. Przybywających, przychylnych następstwu mazowieckiemu, czekały obfite łaski.

Zjechał też niemały tłum przyjaciół. Wszystkie głosy ówczesne mówią o nadzwyczajnej liczbie stronników Ziemowitowych. Niektóre wyrażają się nawet, że „wszyscy chcieli księcia Semka mieć królem polskim.” Atoli ci „wszyscy” była to sama „młodsza bracia” narodu, szlachta uboższa, chodaczki wielkopolskie i mazowieckie. Z możniejszych nadciągnęli tylko lękliwsi, obawiający się zemsty książęcej i pewnym okolicznościowym węzłem związani z Ziemowitem. Do tych ostatnich należał mianowicie arcybiskup Bodzanta, po Ziemowicie główna osoba zjazdu w Sieradzu. Przybył on wprawdzie w licznym towarzystwie duchownem, mając przy swoim boku dwóch biskupów, Ścibora płockiego i Mikołaja kijowskiego, Dominikanina. Lecz osobisty charakter arcybiskupa, znany z chwiejności małodusznej, nie dawał dostatecznej rękojmi powodzenia. Jakoż w ogólności nie sprzyjało niebo sprawie Semkowej. Zdawała się ona mieć wszelkie warunki bytu, a drobne z pozoru okoliczności zdołały podkopać ją z korzenia. Prawie „wszyscy” byli za młodym Piastem, a brak wsparcia ze strony możnowładców krakowskich, za inną idących gwiazdą, niweczył usilność „wszystkich.” Całe duchowieństwo otaczało młodego księcia swoją pomocą, a nieprzychylność miast, zawarcie mu bram

Krakowa i Gniezna, zmuszało Semka obchodzić swoją zamierzoną teraz intronizację w podrzędnym wojewódzkim mieście Sieradzu.

W stronnictwie mazowieckiem widzimy najpotężniejsze charaktery ówczesnej Polski, np. onego Bartosza z Wiszemburga, główny filar książęcy, tyłkrotnie oddawna napróżno obalany od dworu, a małoduszność sprzymierzeńca duchownego, arcybiskupa Bodzanty, udaremniała pomoc najpotężniejszą. Dopuszczał on zaraz w początkowej chwili zebrania, że gdy zgromadzona teraz w Sieradzu szlachta uboga miała przystąpić do obradnego wyboru Ziemowita, akt ten nie mógł odbyć się w głównym kościele sieradzkim, gdzie przed niewielu tygodniami utrzymała się szczęśliwie sprawa Jadwigi, lecz musiał poprzestać na ubocznym kościele dominikańskim.

Tam pod opieką gościnności zakonu, który z dawien dawna odznaczał się surowością wyobrażeń i zbliżał się tem samem do również surowego w pewnym względzie usposobienia piastowskiej i mazowieckiej staropolszczyzny, przy współudziale jednego z dostojników tegoż zakonu, biskupa kijowskiego Mikołaja — zgromadzili się ubodzy stronnicy Ziemowita i starodawnych podań ojczystych. Zgromadzili się, aby obwołać królem polskim i ukoronować młodego Piasta. Wszelako główny mistrz tego aktu, arcybiskup Bodzanta, cofnął się nagle od dopełnienia uroczystości. Zawiódłszy dwór królewski, zawiódł on teraz podobnie Ziemowita. Odradzili mu dopełnienia ceremonii koronacyjnej jacyś tajni zwolennicy małopolszczyzny, którzy zapewne tylko z obawy zemsty Mazowszan lub w chęci szkodenia Ziemowitowi przybywszy na zjazd sieradzki, potrafilি zachwiać słaby umysł arcybiskupa. Ztąd zamiast uroczystego ukoronowania Ziemowita skończyła zgromadzona w kościele szlachta na głośnem okrzyknięciu go królem, na zgiełkowym podniesieniu go w górę i osadzeniu w krześle wysokiem, przyozdobionem nakształt tronu.

Potrzeba tylko było korony, a ta ważna na wszelki wypadek chwila byłaby się stała chwilą stanowczą. Nad czem zastanawiając się, czujemy się mimowolnie wiedzeni do powtórzenia słów dawnego opowiadacza tych dziejów, który latami swego dziecięctwa sięgał ostatnich lat Ziemowita. „Gdy roztrząsnę bacznie wszystkie okoliczności historii Ziemowitowej — mówi on w lat kilkadziesiąt po tych wypadkach — jakieś zdziwienie, owszem, jakieś religijne uczucie ogarnia duszę, niepojmującą, jak się stać mogło, że lubo Ziemowit powszechną już zgodą obwołany był królem polskim, zapadły przecież na jego korzyść wyrok obalono z nie nieznaczących powodów, aby późniejsze zajęcie jego miejsca przez szczęśliwszego rywala zgotować mogło narodowi wcale odmienną przyszłość.”

Nie mogąc zdobyć korony, rzucił się Ziemowit w trzy dni po zjeździe sieradzkim do zdobywania dalszych grodów koronnych. Najpotężniejszym był Kalisz, od początku bezkrólewia upragniony cel pożądlivosti wszech stronnictw. Opanowanie Kalisza przy posiadaniu już Brześcia, Kruszwicy i Łęczycy, zdołało dać zupełną przewagę Ziemowitowi. Zabrano się więc wszelkimi siłami do oblężenia. Przewodził mu sam młody Piast. Przy nim kierował szturmami najdzielniejszy z przewódców mazowieckich, Bartosz Wissemburg, starosta odolanowski. Naciągnął jeszcze ku pomocy w 300 kopij szlązki książę Konrad na Oleśnicy. Ujęty ofiarą zamku Odolanowa, odstąpionego mu przez Bartosza, rozłożył się Szlązak z drugiej strony miasta Kalisza, opasanego w ten sposób dokoła od nieprzyjaciół. Lecz niechęć ku rządowi Ziemowita, tego postrachu miast, połączona z gorącym przywiązaniem do życzliwej miastom krwi Ludwikowej, natchnęła mieszczan bohaterską odwagą. Mimo utraty jednej baszty, bronili się Kaliszanie do upadłego, ufając pomocy Małopolan, która wistocie nieomieszkała.

Gwałtowne bowiem wspomnienie młodego Piastowicza poruszyło Małopolskę do tem gorliwszego odporu. Ale zdolniejsi do środków dyplomatycznych, niż wojennych, wcale nieskorzy do ofiar i wysileń, owszem, przyzwyczajeni do sprzedawania przeciwnikom nader zyskownie swoich względów i serc, uznali panowie krakowscy za rzecz stosowną użyć do tego oporu cudzych trudów. Udając tedy w Węgrzech, jakoby terazniejsza potęga Ziemowita przechodziła możność utrzymania się Małopolan i następstwa Jadwigi aż do jej spodziewanego przybycia w listopadzie, zażądano od królowej Jadwigi posiłków zbrojnych. Ten sam Zygmunt Luksemburczyk, którego niedawno tak bezwzględnie wyparowano z królestwa, miał obecnie na żądanie Małopolan przybyć w kilka tysięcy żołnierza ku poskromieniu Mazowszan. Prócz tego dopuszczono świeżo pokrzepionym Grzymalitom odnowić wojnę przeciw Nałęczom i duchowieństwu w Wielkopolsce. Dla siebie samych zachowali Małopolanie tylko pracę dyplomatycznego łudzenia Ziemowita układami pokoju aż do niespodzianego przybycia Węgrów. Nim się to jednak powiodło, runęła pierwszej sroga burza zemsty na wiarołomnego arcybiskupa Bodzantę.

Smutna zaprawdę rola padła w tych zamieszkach Bodzanie. Znieprzyjaźniwszy sobie dawniej królowę przejściem na stronę Mazowszan, znieprzyjaźnił on sobie teraz Mazowszan niedopełnieniem koronacji Ziemowitowej. W pierwszej chwili odwetu rzucili się wszyscy na niego. Dwór królewski przestraszył Bodzantę groźbą odjęcia arcybiskupstwa. Nieprzypuszczony do starostwa kujawskiego poufnik dworski, Ścibor Moście powetował sobie sromotne wyparcie z Brześcia nielitościwym splondrowaniem arcybiskupich włości, Turka i Grzegorzewa. Wielkopolscy Grzymalicy Wierzbęta ze Smogulea, Grzymała z Oleśnicy kostrzyński, i Wojtko z Świerżadowa kamieński kasztelanowie, oblegli arcybiskupie miasteczko Żnin,

tlómacząc się pogłoską, jakoby arcybiskup chciał Ma-
zurów wpuścić do Żnina. Inny hufiec Grzymalitów
pod Sędzimirem z Radzie, Jaśkiem z Waldowa i dwo-
ma Mikołajami z Szampolborku i Sabdus, głosząc już
wygnanie Bodzanty z arcybiskupstwa, opanował na
Pomorzu arcybiskupi gród Kamień. Mazowieckie
wreszcie podjazdy, wiedzione przez dwóch braci
z Kurowa, przez chorążego mazowieckiego Sławca
i wojewodę płockiego Sochę, spustoszyły do szczytu
dobrą kościelne, splondrowały Kwieciszewo, Ostrze-
szów, Złotków, Ostrowitę, Parlin większy, Parlin
mniejszy, Belki, Nestrowo. Pragnąc przynajmniej Żnin
uratować, pośpieszył arcybiskup osobiście do tegoż
miasta i okupił sobie spokój od oblegających je Grzy-
malitów podarkiem 45 grzywien i wypuszczeniem im
na cały rok wszystkich Pałuckich dziesięcin swoje-
go stołu.

Ale nie na tem koniec niedoli arcybiskupiej.
Zniósłszy te wszystkie klęski z podwójną boleścią,
gdyż cierpiał naprzód jako uszkodzony właściciel,
a nadto jako bolejący nad ruiną starannie uprawio-
nych włości gospodarz, został arcybiskup na nową
narażony przygodę. Wkrótce po okupieniu Żnina zje-
chali tam do arcybiskupa w drodze ze zjazdu węgier-
skiego w Koszycach terazniejszy kasztelan poznański,
Domarat, wiodący w swoim towarzystwie wojewodę
kujawskiego, Wojciecha Grzymałę z Oleśnicy, Wierz-
bietę i wielu innych stronników. Celem jego przyby-
cia był pewien sekret, który tylko samemu arcybisku-
powi mógł być zwierzony. W tajnej z tego powo-
du rozmowie z zatrwożonym arcybiskupem oświad-
czył kasztelan poznański, że królowa Elżbieta wraz
z margrabią Zygmuntem na wiadomość o arcybisku-
pim zamiarze otworzenia Ziemowitowi wszystkich
grodów duchownych z Żninem i ukoronowania go
królem, wysłali już posłów do stolicy apostolskiej,
żądając, aby papież Bodzantę, jako zdrajcę, złożył
z urzędu.

Arcybiskup struchlał na to oznajmienie. Upe-
wniał, że jest niewinnym, zaręczał, iż wszystkie za-
dawane mu wykroczenia są fałszem, ofiarował na to
przysięgę. Ale to wszystko nie wróżyło wielkiej po-
ciechy. Jedynym sposobem odzyskania wiary u dworu,
mniemał Domarat, było natychmiastowe oddanie
Żnina Grzymalitom. Mimo srogość projektu, chęć za-
bezpieczenia godności arcybiskupiej zniewalała Bodzan-
tę przemienie do ustąpienia. Lecz gdy arcybi-
skup przyzwalał, jakże boleśnie przyszło uczynić to
gospodarzowi, przerażonemu myślą o niewątpliwem
spustoszeniu Żnina pod rządem Grzymalitów łupież-
kich. „Jeśli dla usunięcia podejrzeń dworu — ozwał
się arcybiskup ze łzami w oczach — tobie, Domaracie,
oddam mój Żnin, spustoszą go twoi nieprzyjaciele;
jeśli zaś nie uczynię tego, ty sam i twoi spółnicy
zniszczyście go do szczytu.” Domarat odpowiedział, iż
stanie się tak niechybnie. „W takim razie — odrzekł
Bodzanta — wolę, aby to zniszczenie nastąpiło z two-
jej przyczyny przez Nałęczów, niż z przyczyny po-
dejrzeń dworu przeciwko mnie.”

Ale wierny zwyczajowi swojego czasu, niewy-
cierpanego w odwołkach i obradach, wyprosił sobie
u Domarata jeszcze noc całą do namysłu. Użył ar-
cybiskup tej zwłoki do narady z obecnymi kanonika-
mi. Jakimkolwiek przecież trybem obracano pytanie,
zawsze wypadała w końcu taż sama ostateczność: spu-
stoszenie Żnina przez jednych lub drugich nieprzyja-
ciół. Nie uradzono tedy nic lepszego nad założenie
warunku, aby przynajmniej nie całej zgrai Grzymali-
tów, a tylko jednemu z ich grona, kasztelanowi ko-
strzyńskiemu Grzymale, poruczony był tymczasowy
rząd Żnina. Spodziewano się tym sposobem zachować
sobie łatwość przekupienia jednego z rządcy i oca-
lić przeto bogdaj cząstkę dochodów żnińskich. Czego
atoli domyśliwszy się, nie przyjęli Grzymalicy wa-
runku, żądając nawzajem, aby arcybiskup przynaj-
mniej dwóch rządców, Grzymałę i Wierzbietę ze Smo-

gólcą, wwiązał w dzierżawę Żnina. Tak się też wreszcie stało, z dodatkiem solennej obietnicy Grzymalitów, iż żadnymi wycieczkami zbrojnymi nie będą poduszczać Nałęczów do pustoszenia dóbr żnińskich.

Takie ukaranie arcybiskupa, a osobiście towarzyszące karze odstrychnięcie się ukaranego od Mazowszan, było niemałą klęską dla sprawy Ziemowita. Zgotowali mu wkrótce Małopolanie jeszcze dotkliwszą. Podczas gdy wojska mazowieckie oblegały wciąż miasto Kalisz, Krakowianie wyglądali węgierskich przeciwników Ziemowitowi posiłków. Aby one jednakże nie przybyły za późno, należało zarzucić natychmiast tę fortunę mazowieckiej. W tym celu zmyślono przyjazne dla Semka chęci i przesłano Bodzancie prośbę o zjechanie z książęciem do Krakowa, gwoździ zawarcie przymierza i spólnemu naradzeniu się nad dobrem kraju. Przychylność Małopolan zdała się wszystkim tak cenną, odezwa krakowska tchnęła tak ponętną nadzieją blizkiego uzyskania całej ich przychylności, że arcybiskup Bodzanta, w duszy zawsze jeszcze stronnikiem Mazowszan, napozór jednawcą stronnictw, przybył niezwłocznie z książęciem do stolicy.

Wszczęły się tedy złudne między Małopolany a Ziemowitem narady, zakończone dnia 28 lipca układem, którego wszelkie korzyści płynęły wyłącznie dla Małopolan. Nie uzyskawszy w rzeczy żadnej z ich strony ofiary, obowiązał się Ziemowit powstrzymać się dobrowolnie w ciągu zwyciężkich zaborów swoich, i przez dwa następne miesiące nie podejmować żadnych kroków nieprzyjacielskich. Główny tego zobowiązania się warunek pociągał za sobą zaprzestanie dalszego oblężenia Kalisza. Jedno i drugie mierzyło wyraźnie do zguby Ziemowitowej. Atoli zadowolenie z przyjaznych stosunków z Małopolską ćmiło wszelki rozsądek. Nadbiegli do mazowieckiego obozu pod Kaliszem posłowie księcia z rozkazem, aby natychmiast ustąpić z pod murów miejskich. Napróżno do-

wódca oblężenia, żarliwy Nałęcz, Bartosz z Wiszemburga, opierał się rozkazowi, i przez osiem dalszych dni srodze wojował okolice. Znikł on wprawdzie na chwilę z pod Kalisza, lecz jedynie w tym celu, aby na wiadomość o zgromadzeniu się w Winnicy, czyli w Wińcu koło Miłosławia, znacznej siły nieprzyjacielskiej pod dowództwem nowego starosty wielkopolskiego napaść znienacka na zgromadzonych, uprowadzić wielu w niewolę, zabrać mnogo koni, rynsztunków i sprzętów obozowych, i bez najmniejszej straty wrócić szczęśliwie do obozu pod Kalisz.

Które to pomyślności wojenne za nic sobie w porównaniu z przyjaźnią Krakowian wając, pośpieszył młody książę osobiście do swego wojska pod Kalisz, i dnia 14 sierpnia zniósł oblężenie. Bartosz Wiszemburczyk, główny szermierz stronnictwa mazowieckiego, dawny wróg dworu, musiał ze zgrzytem rozpuścić wojsko zwyciężkie. Zniechęciło go to na zawsze do spółki ze stronnictwem mazowieckiem. Po tylkokrotnych wzmiankach o jego czynach nigdzie już odtąd nie ujrzymy Bartosza w obronie księcia Semka. Złożonemu teraz orężowi mazowieckiemu najpotężniejsze ubyło ramię. Sprawa młodego Piasta, powstrzymana przez arcybiskupa niedokonaniem koronacji w Sieradzu, wciągnięta przezeń w sidła układów krakowskich, stanęła nagle w pół biegu, zmartwiała pod urokiem podstępów Małopolan.

Ledwie bowiem ustała wojna, rozległ się na granicy Mazowsza szereg wojennego pochodu dwunastu tysięcy Węgrów, Wołochów, Jazygów, zbrojnych w kusze i łuki, prowadzonych przez margrabiego Zygmunta i arcybiskupa ostrzychomskiego Dymitra. Już oni za wiedzą Małopolan nadciągali ku Polsce, gdy w Krakowie zawierano układy z Ziemowitem. Już od czterech dni obozowała odsiecz węgierska pod miastem Sądзем, gdy nieświadomy niebezpieczeństwa Ziemowit rozpuszczał pod Kaliszem swe wojska oblężnicze. Najazd węgierski zastał go prawie zupeł-

nie rozbrojenym. Układy krakowskie okazały się jawną zdradą. Raziła ona tak dalece wszelkie uczucia uczciwości, że część samychże Małopolan, niewtajemniczona w podstęp układów krakowskich, osobliwie Sandomierzanie, oburzyli się z tego powodu przeciwko Krakowianom.

Zanosilo się nawet na ciężką o to zwadę pomiędzy szlachtą obudwu ziem małopolskich, z których jedna utrzymywała, iż należy dotrzymać Ziemowitowi rozejmu, druga zaś starała się okazać, iż ten rozejm przez samegoż Ziemowita zerwany został. Poczytano mu za takowe zerwanie ośmiodniową ze strony Bartosza Wiszemburczyka przewłokę obłączenia Kalisza po dokonaniem już zaprzysiężeniu rozejmu. Nie uniewinniło to wprawdzie poprzedniego przez Krakowian zagajenia układów z Ziemowitem, podczas gdy wojsko węgierskie naddożyło; wyraźna jednakże korzyść z tego podstępu dla ogólnych widoków małopolskich uśmierzyła wkrótce oburzenie Sandomierzyków. Nie nawykli do zbyt ścisłych skrupułów, uspokoiłi Krakowianie i swoje i Sandomierzan sumienie złożeniem winy pierwszego o złamanie rozejmu na Mazowszan, a resztę zarzutów przygłuszyła wrzawa świeżo wznowionej wojny, coraz pomyślniejszej dla Małopolan, coraz zgubniejszej dla Ziemowita.

Żołdactwo węgierskie złożone było z najróżnorodniejszej, po części jeszcze nawpół pogańskiej dzicy. Oszczędzając kraj Ziemowitego brata Janusza, spokojnego hołdownika korony, rozpostarli Węgrzy tem okropniejsze spustoszenie po siolach Mazowsza Semkowego, mianowicie w okolicach Rawy, Sochaczewa, Gostynia. Wzmiankowana już dawniej srogość narodu zakarpackiego dopuszczała się wszelkich okrucieństw, na jakie tylko zdobyć się może wojna. Płonące powszedy wsie, porabowane dwory, złupione kościoły, zbezczeszczone relikwie, przywiązały „wieczyste przekleństwo” do pamięci obecnego najazdu węgierskiego. Z Węgrami ciągnęły, niestety, i wojowa-

ły pospołu zastępy Małopolan, hufce krakowskie i sandomierskie. Bezbronność Mazowszaną, który, rozpuściwszy wojska zaciężne, nie był w stanie zgromadzić nagle dostatecznej siły odpornej, zamieniła wojnę w bezprzeszkodne pądrowanie całej ziemi Semkowej.

Łatwy zaś tryumf Węgrów i margrabi Zygmunta pobudzał dumę gorliwych stronników dworu do również srogiego teraz prześladowania Mazowszan i Nałęczów. Celował w tem osobliwie dawny poufnik i obrońca Zygmunta, kasztelan poznański Domarat. „Chcąc w obliczu Węgrów i młodego margrabi rozpostrzeć ponad siły okazałość swojej potęgi”, a wierzy zawsze swoim konneksyom niemieckim, zaciągnął naczelnik Grzymalitów tłumy zbrojnych Sasów, Pomorzan, i osadziwszy je w arcybiskupim Żninie, łupieżł z nimi w drugiej dzierzawie Ziemowitowej, w opanowanych temi czasy Kujawach. Tak usilnym zamachom opierał się ze strony Mazowszan i Nałęczów tylko jeden podjazd dorywczy. Był to raczej nowy cios zemsty, wymierzony przeciwko fałszywemu przyjacielowi, arcybiskupowi Bodzancie, sprawcy nie-szczęsnego rozejmu krakowskiego, niż przedsięwzięcie wojenne, zdolne powstrzymać nieprzyjaciela. Połączyli się główni naczelnicy stronnictwa mazowieckiego ze szlachtą z okolic Pałuk i innych ku wspólnemu uderzeniu na Żnin, wstrętny im jako posiadłość arcybiskupa i jako warowne przytulisko grzymalickich zaciągów z Saksonii i Pomorza. Wszelako, mimo wszystkich spólnych wysileń, nie zdołano wziąć grodu. Zamiast Żnina, zburzono tylko bezbronne siola arcybiskupie, arcybiskupie folwarki żnińskie, arcybiskupią wieś Biskupice, arcybiskupie i grzymalickie dobra na trakcie gnieźnieńskim, wreszcie arcybiskupi dwór w Gnieźnie.

Ta nowa rana gospodarczemu sercu Bodzanty dopełniła miary jego obosiecznych klęsk i udręczeń. Zmłowała się nad nim Opatrzność i pozwoliła mu

odzyskać przedmiot tylu smutków i trosk. Rozżalony ostatnią pożogą swoich folwarków, nie mogąc żadnymi prośbami i poselstwami wydobyć Żnina z rąk Grzymalitów, udał się arcybiskup osobiście do margrabi Zygmunta, gotów do wszelkich kroków pokuty i upokorzenia się, byle tylko wyzwolić Żnin od żoldactwa. Znajdował się margrabia Zygmunt natenczas w Kujawach, pod miastem Brześciem. Po kilkutygodniowej bowiem łupieży w Mazowszu Ziemowitowem przystąpiły wojska węgierskie i polskie do oblegania miast głównych, a naprzód Brześcia. Usprawiedliwienie się i przeprosiny arcybiskupa zostały uprzejmie od Zygmunta przyjęte. Przekonał się nawzajem arcybiskup, że owe pogroźki i zabiegi dworu u papieża względem odjęcia mu arcybiskupstwa były podstępny wymysłem Grzymalitów. Pozwolono mu też odebrać sobie tak zdradziecko wydarty Żnin.

Chodziło tylko o sposób, jakimby tego dokazać. W tym wypadku umyślił Bodzanta oddać Domaratowi wet za wet, podstęp za podstęp. Żadnem tedy nowem żądaniem nie ostrzegając Grzymalitów, oczekiwał arcybiskup spokojnie, aż Domarat z jednym z tymczasowych zarządców Żnina, Grzymałą z Oleśnicy, opuścił w 40 kopij Żnin, udając się do obozu Zygmunтового. Wtedy tajni wysłańcy arcybiskupi weszli w umowę z rajcami i miejską ludnością Żnina, utrapioną podejmwaniem licznej załogi niemieckiej. Panowie przyrzekli wszelką przeciw załodze pomoc, gdyby arcybiskup przybył nagle do miasta i chciał je zająć na siebie. Czem ośmielony Bodzanta, stanął niespodzianie z niewielkim poczem zbrojnych pod murami swego ukochanego Żnina.

Mieszczanie otworzyli mu bramy i przyjęli go tak przyjaźnie, że załoga niemiecka nie ważyła się stawić oporu. Ale jakiż widok przedstawiała oku pańskiemu zamożna niegdyś siedziba arcybiskupia, kwitnące niegdyś gospodarstwo tutejsze! Wszystkie folwarki były spustoszone, role niepoobsiewane, stodoły

próżne, barany i nierogacizna pobite, owce sprzedane, nie zgola nie pozostawili łupieży. Aby się zbyć ich czempredzej, aby się uwolnić od pozostałej reszty załogi, mającej w ręku jakieś zapewnienia późniejszej wypłaty żołdu, wykupił je arcybiskup od Niemców za 50 grzywien gotówką, prosząc o jak najprędsze wyjście. Żoldactwo ociągało się, lecz nareszcie piątego dnia po zjechaniu arcybiskupa zostawiło go w spokojnem posiadaniu miasta i okręgu żnińskiego. Przywołany z Gniezna kanonik, ks. Jarand, nowoustanowiony zarządca Żnina, miał zająć się wskreszeniem dawnej jego świetności gospodarczej.

Takie przywrócenie arcybiskupa do dóbr zajętych i łaski dworskiej torowało drogę podobnemuż sfolgowaniu zawziętości przeciw młodemu księciu Mazowsza. Zadane mu dotąd klęski czyniły go na długi czas niezdolnym do nowych zamachów. W ogólności całe stronnictwo narodowe, o ile obrońcy Ziemowita na tę nazwę zasługiwali, jawnie omdlało. Wyliczona powyżej mnogość dowódców przy napadzie Mazowszan i Nałęczów na Żnin, wspólnie z bezkutecznością napadu okazują, jak szczupłymi siłami rozporządzał każdy z dowódców, jak licznej potrzeba było spółki, aby jaką taką podjąć wyprawę. Do blizkiego przybycia Jadwigi nie mogły siły Mazowszan urosć z łatwością. Mogli więc Węgrzy bez lęku zaniechać dalszego dobywania Brześcia z resztą grodów Ziemowitowych i przyzwolić na zawieszenie broni z Mazowszem.

Pośrednikiem między dworem królewskim w osobie margrabię Zygmunta a młodym Piastem wystąpił pod Brześciem stary, zniemczający Piast, znany „miłośnik pokoju”, szwagier Semkowy, niezbyt życzliwy wzmaganii się w Polsce zbrojnej potęgi Zygmunta, Władysława księżę na Opolu i części Kujaw. Zgodzono się na rozejm półroczny, mający trwać od

chwili obecnej aż do przyszłych świat wielkanocnych. Przez wzgląd na potrzebę dalszych wtedy układów z Ziemowitem, pozostawiono go aż do tego czasu w dzierżeniu zajętej przed półroczem części ziemi kujawskiej z niektórymi innemi miastami i grodami, jak np. Kraszwica i Mogilno. W który to sposób ochroniwszy Małopolan od Ziemowita, wrócili Węgrzy i Zygmunt, „obarczeni bogatemi łupami i wieczystem przekleństwem”, napowrót, z kąd przyszli, do Węgier.

W tę samą stronę zwróciły się w uspokojonej teraz na chwilę Polsce wszystkich oczy i myśli. Nadchodził bowiem dzień św. Marcina, a z nim termin przyjazdu młodzieńczej królowny do Krakowa. Dla zupełnego ubezpieczenia matki-królowej względem przyrzeczonej Jadwidze wolności powrócenia po koronacji w Krakowie na trzy dalsze lata do Węgier, zebrał wojewoda kaliski i generalny starosta krakowski, pan Sędziwoj z Szubina, grono najznamienitszej młodzieży, po największej części swoich własnych bratanków, i w towarzystwie kilku innych panów krakowskich, mianowicie kasztelana sędmierskiego, Jaśka z Tarnowa, odjechał z młodzieńcami do Węgier na dwór królowej, aby ich tam pozostawić w zakład powrotu Jadwigi po koronacji. Królowa Elżbieta bawiła podówczas wcale daleko od granic polskich, obrawszy sobie tę porę do zwiedzenia południowych prowincyj, w szczególności nadadryatyckiej Dalmacyi. Tam w mieście Jadrze, czyli Raguzie, stanął przed nią Toporeczyk Sędziwoj z zakładnikami, prosząc o zgodne z układami koszyckimi wyprawienie córki do Polski. Królowa z tych samych pobudek, które już w Koszycach nakazywały jej odwlekać jak najdłużej odjazd królowny, oświadczyła przeciw wszelkim oczekiwaniom, iż nie może w tej chwili rozłączyć się z Jadwigą.

Ta odpowiedź obruszyła niewchodzącego w pobudki królowej Sędziwoja. On, w powstrzymaniu królowny, widział jedynie szkodę swojego kraju.

W nagrodę najwytrwalszej wierności doznawali Polacy od królowej raz po raz przykrych zawodów. Już najprzychylniejsi stronnicy dworn tracili wreszcie cierpliwość. Osobliwie Toporeczyk Sędziwoj, najrozuśniejszy z przewódców małopolskich, przenoszący zawsze rzeczpospolitą nad zaślepienie osobistych widoków i konneksyj, zaczął powątpiewać o możliwości utrzymania dalszych stosunków z dworem węgierskim, czem zatrwożona królowa weszła w tem ściślejsze związki z innymi panami krakowskimi, zwłaszcza Leliwitą Jaśkiem z Tarnowa. Ten okazał się bezwarunkowo oddanym sprawie królewskiej. Ułożono znowu między dworem a Leliwitą z Tarnowa, obowiązującą go do spiesznego przed Sędziwojem powrotu do Krakowa, gdzie ma objąć natychmiast zamek krakowski, dotychczas pod strażą generalnego starosty Sędziwoja będący, i otworzyć go nadesłanym przez królowę ro-
tom węgierskim.

Już Jaśko w podróż wyruszył, gdy mądry Toporeczyk Sędziwoj powziął wiadomość o podstępie. Wypadło więc uprzedzić koniecznie Leliwitę w Krakowie. Lecz chcąc już odjechać z swymi zakładnikami, ujrzał się Sędziwoj z całą drużyną podróżną przyaresztowanym u dworu. W takim niebezpieczeństwie sprawy publicznej nie pozostało staroście nic innego, jak poświęcić młodzież koronną, swoich własnych bratanków, mściwemu gniewowi matki-królowej i z narażeniem życia własnego umknąć w pogoń za Jaśkiem. Nie ufając zresztą szczęściu własnemu, wysłał pan Sędziwoj naprzód gońca do Polski, mającego na wszelki sposób prześcignąć Jaśka. Ten zaniósł Krakowiakom surowy rozkaz starosty, aby w żadnym razie nie wpuszczali Węgrów do zamku, chociażby nawet otrzymać mieli pewną wiadomość, że starostę Sędziwoja żywcem spalono w Węgrzech. Późem wyprawił Sędziwoj cichaczem konie przytrzymanych młodzieńców w drogę przed sobą i kazawszy je rozstawić

wzdłuż całego traktu do Polski, zajął się przygotowaniami do ucieczki...

Powiodła mu się ona szczęśliwie. Rozstawne konie uniosły go wiatrem do Polski. W przeciągu jednej doby stanął Toporeczyk konno z Dalmacyi w ziemi krakowskiej. Sześćdziesiąt mil, jak nam społeczny świadek donosi, a mało co późniejszy opowiadacz dodaje: 60 mil węgierskich, większych niżli niemieckie, ubiegł w 24 godzinach gorliwy zamek krakowski zarządcą. Służyły mu do tego konie, wprawione podówczas do biegu środkami umiejętności i zabobonn, między innymi namazywaniem nóg szpikiem z goleni jelenich, a zagrzewana go żarliwość sprawy publicznej, spoczywającej w Małopolsce na barkach kilkunastu możnowładnych spółzawodników. Powitany radośnie w bezpiecznie dochowanym zamku krakowskim, podniósł starosta przed panami małopolskimi głośną skargę przeciwko dworowi węgierskiemu. Zawtórzył jej powszechny głos jawnego nakoniec zniecierpliwienia i niechęci. Uczynili już Małopolanie dla królowej wszystko, co tylko mogli. Powstrzymując w kościele sieradzkim wymowę Jaśka Tęczyńskiego blizki już wybór Semka, broniąc temu Semkowi wszelkiego przystępu do Krakowa, przyzwalając w Koszycach na nową zwłokę koronacji Jadwigi, zwodząc Semka pośrednim rozejmem w Krakowie, pustosząc wreszcie wspólnie z Węgrami krainy mazowieckie, posunęła się Małopolska w swoim wylaniu dla dworu po za wszelkie granice godziwości. Tak wierne służby wymagały skorszego ze strony królowej uwzględnienia życzeń narodu, nadesłania wreszcie Jadwigi. Przeciwny postępek dworu sprawił jawne dlań zozębienie. Zaszła nader niebezpieczna dla Jadwigi zmiana w umysłach. Z Jadwigą cała przyszła Polska znalazła się w niebezpieczeństwie.

Zapowiedziany już do Lelowa zjazd panów małopolskich został po przybyciu Sędziwojowem odwołany, i w chęci nieznacznego zbliżenia się ku Wiel-

kopolsce, na dzień 2 marca r. 1384 do miasta Radomska przeniesiony. Nieobecny zwyczajnie na zjazdach małopolskich arcybiskup Bodzanta, niemiły Krakowianom dawny zwolennik Semków, brata się z nimi w Radomsku. Grożąca rząd dworowi niepomysłność zmusza królową Elżbietę do szukania sobie coraz potrzebniejszych sprzymierzeńców w samej rodzinie Ziemowitowej. Zdarza się na szczęście takowy w osobie rodzonego brata Ziemowitowego, onego „rozumnego” Janusza, księcia mazowieckiego na Czersku, Warszawie i Zakroczymie. Dokumentem z dnia 20 grudnia r. 1383 obdarza go królowa dostojnością domownika dworu królewskiego, z corocznym na żupie bocheńskiej dochodem 2400 zł. węgierskich, za które książe Janusz przyrzeka Elżbiecie „we wszystkich potrzebach i trudnościach przeciw jakimukolwiek spółzawodnikowi” dostawić pomoc trzydziestu lub więcej kopijników. Nadto idąc za podszeptem niektórych grzymaliwickich Wielkopolan, wyprawiła królowa później w tych „potrzebach i trudnościach” młodego Luksemburczyka, gwoli objęciu rządów namiestniczych w Krakowie. Atoli śpieszny jego pochód ku Polsce zastał większość Małopolan teraz wcale inaczej usposobioną. Przywitano go jeszcze po tamtej stronie Karpat w tenże sam sposób, w jaki pierwotnie po śmierci króla Ludwika pożegnano go z tej strony gór. Dowiedziawszy się o nadciąganiu Zygmunta ku granicom, założyła szlachta małopolska dla przecięcia mu drogi zbrojny obóz pod Sączem. Ztąd wyprawiono doń posłów z upomnieniem, aby nie wkraczał do Polski, ile że go sobie ani królem, ani rządcą królewskim nie obrali; a jeśli się nie cofnie, tedy uderzą nań zbrojną ręką. Zygmunt musiał z po za gór układać się z Krakowianami. Wszelkie przez królową w ostatnich czasach zamierzone środki chybiały. Sprawa Jadwigi zachwiała się w najgłębszych podwalinach.

Im bliższe jednak niebezpieczeństwo groziło ro-

dzinie Andegaweńskiej, tem trudniej było wymagać od królowej, aby dotychczasowe przeszkody w nadesłaniu królowny nie nabawiały jej podobnegoż niepokoju i nadal. Od śmierci króla Ludwika przybyło niespełna dwunastoletniej królownie dopiero półtora roku, zbyt mało zaprawdę do ochronienia jej na tronie od niewoli w ręku przemocy. Sami Polacy objawiali coraz otwarciej zamiar samowolnego władania losem swojej młodocianej królowny, a osobiście rozporządzenia jej ręką, bez względu na dawne skłonności i dawne związki, czem zagrożona, a ciągle jeszcze nierozstrzygnięta sprawa małżeństwa rakuzkiego narażała matkę-królowę w razie wysłania Jadwigi do Krakowa na powiększenie otaczających ją zewsząd niebezpieczeństw węgierskich domiarem pocisków i zamachów rakuzkich. Zresztą, oprócz nader groźnych opiekunów królowny, Małopolan, widziała Elżbieta większą połowę Polski, Wielkopolan, Mazowszan, Ziemiowita, jawnymi przeciwnikami Jadwigi. Nie dziw tedy, że królowa tak uporeczywie wzbraniała się oddać córkę Polakom. Macierzyńskie jej serce miało jedynie wybór między utratą korony dla Jadwigi lub bolesnem poświęceniem jej bezwzględnemu zrządzeniu losów i ludzi.

W tak niebezpiecznym składzie okoliczności uwiła sprawa Jadwigi już tylko na gorliwej pomocy jednego rodu małopolskiego. Podczas gdy większość Polski nie wyznawała nigdy współczucia dla Jadwigi, gdy ogół stronnictwa małopolskiego ostygł już dla niej, widzimy nareszcie tylko jedną z dwóch głównych społeczności herbowych Małopolski, i to właśnie nowszą społeczność Leliwę, do ostatka wierną dworowi. Jak bowiem następstwo Jadwigi było w ogólności zjawiskiem nowego dla Polski czasu i obyczaju, jak tylko Małopolanie, zwolennicy nowoświeczczyzny, sprzyjają temu zjawisku, tak też w obecnem zobojętnieniu dlań Małopolan im starożytniejszym jest który z rodów małopolskich, tem głośniejsz budzi się w nim nie-

chęć ku dworowi, a sympatya ku stronnictwu staroświeczczyzny; im nowszym który, tem uporeczywsza wierność skłania go do wytrwania przy nowej sprawie. Ztąd dawniejsi Toporezykowie odstręczają się wreszcie na chwilę wraz z swoim przewódcą Sędziwojem z Szubina od popierania dworu; nowsi zaś, Leliwici, mianowicie Melsztyńscy i Tarnowscy, służą Jadwidze za ostatnią spójnię z narodem. Świadkiem Jadra, jak ściśle poufnictwo łączyło Leliwitę Jaśka z Tarnowa przeciw własnym współziemianom małopolskim ze sprawą i rodziną królewską. Również do ostatka wiernym i oddanym dworowi obaczmy wkrótce jego brata, Spytkę z Melsztyna.

Za pomocą tak wytrwałych obrońców, szukających w tem głównie i nie napróżno swojej własnej korzyści, uzyskał dwór węgierski jeszcze niektóre przyzwolenia od szlachty. I tak, na owym zjeździe w Radomsku dnia 2 marca 1384 skłoniono się przesłać królowej Elżbiecie przez jedynego szlachcica Przecława Wanwelskiego, jako ostatniego już posła, ostatnie upomnienie, aby pod utratą korony wyprawiła córkę do Polski w przeciągu dwóch miesięcy. Jeśli Jadwiga do tej pory nie stanie w Polsce, przystąpią Polacy niewątpliwie do nowego wyboru. Ponosiła Jadwiga w razie takiej elekcji niemalą zapewne stratę, ale szkodowali na tem podobnie i Polacy, osobiście Małopolanie, najbardziej zaś możliwe domy krakowskie, zagrożone teraz w osiągnięciu swoich świetnych widoków za pomocą ręki Jadwigi. Dlatego, mimo wszelkie zarzekanie się dalszych poselstw, nie zabrakło później jeszcze i chęci i osób do nowego orędownictwa. Aby przecież uspokoić rozdrażnienie przeciwników najbezwzględniejszych, związano się publicznie ślubem rycerskim nie wyprawiać więcej żadnego posła do Węgier, ogłaszając każdego człowiekiem bez czci i wiary, ktoby takowe poselstwa doradzał albo spełnił.

Zaczem pewni, że po tak stanowczem oświad-

czeniu Jadwiga na św. Stanisław nieochybnie przybędzie, zjechali panowie małopolscy, Toporezykowie i Leliwici, wojewoda kaliski, a oraz starosta krakowski Sędziwoj z Szubina, wojewoda krakowski Spytko z Melsztyna, Jaśko z Tarnowa kasztelan sędomirski, Piotr Szczekocki kasztelan lubelski, jako też inni na zwykłe miejsce powitania do Sądcza. Wszakże w odpowiedzi na oświadczenie Przecława Wanwelskiego wyprawiła królowa do Polski nie Jadwigę, lecz (jak o tem wyżej nadmieniono) margrabiego Zygmunta z wojskiem i tytułem gubernatorskim. Ten, otrzymawszy od panów i nadbiegłej tymczasem szlachty zbrojnej owo surowe wezwanie do odwrotu, zażądał przez wyprawionych do siebie gońców polskich, aby przynajmniej kilku panów krakowskich zjechało do niemu do Lubowli. Chce albowiem radzić z nimi względem losu onych młodzieńców polskich, mniemanych zakładników powrotu Jadwigi do Węgier, zostawionych przez Sędziwoja w rękę królowej, a przez nią w więzieniu dotąd trzymany. Takie odezwanie się do uczuć rodzinnych odniosło pomyślny skutek. Udał się do Zygmunta w Lubowli Sędziwoj z Szubina, dotknięty najboleśniej losem młodzieńców, swoich po większej części bratanków, pomiędzy którymi żał kronikarzom osobiście Maćka, młodego podkomorzego kaliskiego. Do Sędziwoja przyłączyli się obaj przewódcy Leliwiców, wojewoda Spytko z Melsztyna i kasztelan Jaśko z Tarnowa. Po długich układach, w których panowie polscy żądali uwolnienia młodzieży, Zygmunt zaś w imieniu królowej domagał się ostatniej zwłoki na desłania Jadwigi, stanęła wreszcie zgoda, obowiązująca królowę do rychłego uwolnienia młodzieńców, Polaków, zaś do dalszego za to oczekiwania Jadwigi przez krótki jeszcze przeciąg trzech tygodniowy, aż do Świątek Zielonych, przypadających w tym roku na 20 maja.

Zgromadzeni w Sądczu ponownie przychyłili się do tej ugody. Ponieważ ona jednak nową stawiała

termin, przeto okazało się rzeczą potrzebną, zdaje się nawet konieczną, oznajmić królowej powszechne przyzwolenie szlachty krakowskiej na tę ostatnią odwołkę. Podjął się tego poselstwa z ramienia panów sandeckich skory do każdej wycieczki za Karpaty wojewoda krakowski, Spytko Melsztyński, z kasztelanem lubelskim Piotrem Kmitą Szczekockim. Dla tem mocniejszego przez nich zapewnienia królowej, że odezwa obecna jest już nieodmiennie ostatnią, związali się wszyscy panowie szlachta nowym ślubem wzajemnym i obietnicą pisemną, jak tylko do blizkich Świątek Zielonych czekać będą królowy. Jeśli zaś nie zjedzie do ostatniego dnia świąt, tj. do czwartku, natenczas przysięgają sobie, wsiąść społem na koń i nie spocząć pierwiej przy ognisku domowem, aż póki sobie nie obiorą księcia, któryby panował koronie polskiej.

Już wojewoda krakowski i kasztelan lubelski mieli z tem wybrać się w drogę, gdy nagle jeden z obecnej szlachty, Przecław Wanwelski, dawniejszy poseł do Węgier, wyskoczył w pośrodek koła obradnego, wołając: „Panowie bracia! Niedawno temu wyprawiliście mnie z ostatniego zjazdu w Radomsku w poselstwie do królowej jejmości z prośbą o przysłanie królowy. Upewniono ją wówczas, iż żadnego odtąd posta nie będziecie wyprawiać więcej do Węgier. Tymczasem teraz uchwalacie znów poselstwo, czyniąc mnie kłamcą. Nie mogę tedy zezwolić na to i proszę, abyście odtąd nikogo już w posły nie wyprawiali, inaczej nietylko ja, lecz i wy wszyscy hańbę kłamców ściągniecie na się.” Zgromadzeni panowie uznali sprawiedliwość tego rycersko-honorowego *Nie pozwalam*. Przeniesiono cofnięcie całej uchwały poselskiej nad pogwałceniem słuszności głosu jednego. Dane wojewodzie Spytkowi i kasztelanowi Szczekockiemu pełnomocnictwo poselskie zostało natychmiast odwołane, a nadto wyszedł zakaz, aby nikt ze szlachty nie śmiał udawać się do Węgier.

Ale gorliwych poufników dworu, Leliwitów, nie zdołał powstrzymać zakaz podobny. Osobliwie młodszego, już teraz 19-letniego wojewodę Spytkę z Melsztyna, ciągnęło serce za góry. Godzi się o tem bliższa wiadomość. Żył tam przyszła jego małżonka, piękna Węgierka Elżbieta, poznana i pokochana w pobliżu dworu Jadwigi. Była ona córką możnego „barona,” czyli dostojnika węgierskiego „Wojdefiomrich,” t. j. tyle, co „Wojdafi Emryk,” czyli z węgierska „wojewodzie Emeryk.” Pomiędzy dostojnikami ówczesnej korony węgierskiej słynie osobliwie wojewoda i potomek wojewodów, Emeryk, nazwiskiem rodowodem Bubeek, piastujący temż czas godność węgierskiego starosty Rusi Czerwonej. Oprócz tego rusko-starościńskiego sąsiedztwa Bubeków z pobliskimi Leliwitami z Melsztyna i Tarnowa, napotykamy jeszcze wiele innych śladów wspólności między pomienioną rodziną węgierską a naszymi obudwoma domami małopolskimi.

Bubekowie należeli od czasów Łokietkowych do przyjaciół i stronników korony polskiej, doznającej od nich znamienitej przeciw zachodnim cudzoziemcom pomocy zbrojnej, za którą przodkowie teraźniejszego starosty ruskiego, Emeryka, odnosili od Władysława Łokietka nader pochlebne dokumenty i posiadłości. Tenże starosta Emeryk, zaprzyjaźniony przez swoją rodzinę w takiż sam sposób ze szlachtą krakowską, jak nasi Leliwici przez swoje posiadłości w Rusi Czerwonej ze szlachtą jego starostwa ruskiego, okazuje się nadto wyznawcą tej samej opinii politycznej, o jaką teraz walczyli panowie z Melsztyna i Tarnowa. Mianowicie celował on żarliwą nienawiścią ku wygnanemu z Polski Zygmuntovi Luksemburczykowi i przodkując później całemu anti-teutońskiemu stronnictwu w Węgrzech, nie mniej niebezpieczne, niż teraźniejsi polscy nieprzyjaciele Zygmunta, podniecał mu rozruchy. Będąc zresztą banem Dalmacyi, wojewodą siedmiogrodzkim, a po Władysławie Opolczyku

nawet palatynem, czyli wielkim hrabią węgierskim, jaśniał „starosta całego państwa Ruskiego Emeryk” tytuł zaszczytami i bogactwami, co jego sąsiedzi Leliwici. Możemy tedy przyjąć za pewne, że w córce tego to „wojewodów potomka,” Emeryka, w możnej starościance ruskiej, rozmiłował się młodzieńczy wojewoda krakowski.

I trudno było zaiste uczynić wybór szczęśliwszy. Wdzięki starościankinęciły oko, a zawiązane przez nią powinowactwo ze starościńskim domem Rusi Czerwonej dogadzało zamysłom ambicyi familijnej. Pragnąc bowiem Rusi Czerwonej dla Polski, a starostwa i dóbr ruskich dla siebie samych, uzyskiwali Leliwici tąż koligacją nadzieje jak najłatwiejszego po Bubekach następstwa w ich zyskownym urzędzie ruskim. Owszem, właściwa ówczesnemu urzędowaniu samowładność, a nawet dość często dziedziczność urzędników, pozwalała spodziewać się Leliwitom, że gdy przyjdzie czas odzyskania Rusi Czerwonej, gdy Leliwici będą mieli zająć w niej najwyższe dostojenstwa i posiadłości, władający tamże starosta węgierski Emeryk przez wzgląd na korzyść rodziny zięcia swojego nie zechce opierać się przemocnie posięściu Rusi przez Polskę i rodzinę zięcia swojego. Równie więc ważną dla kraju, jak pożądaną dla oblubieńca, była zata-trzańska swadźba młodego pana z Melsztyna, i niedziw, że Spytko dla niej biegał tak chętnie do Węgier na dwór matki-królowej. Jakoż i teraz bez względu na odjęcie pełnomocnictwa i zakaz dalszych podróży za Karpaty, pospieszył młodzieńczy wojewoda samowolnie nad Dunaj, jako ostatni znany nam poseł w sprawie Jadwigi, zapraszając ją nieodzownie na Zielone Świątki do Polski.

Atoli i te ostatnie zaprosiny nie skłoniły jeszcze matki królowej do wydania córki Polakom. Nastąpiło to dopiero w cztery miesiące później, w początkach października po odbytych jeszcze przez Mało i Wielkopolskę dwóch nieznanych nam bliżej zjazdach sej-

mowych. Na pierwszym, odprawionym przez Małopolan w Krakowie śród lata r. 1384, uchwalono ku położeniu raz końca temu oplakanemu stanowi kraju, złożyć w święto Narodzenia N. Panny, d. 8 go września, powszechny sejm narodowy, na co jednak nie przystali Wielkopolanie. Na drugim zjeździe, odbytym przez samych Wielkopolan, we dwa tygodnie po tejże uroczystości N. Panny, około 22 go września, miano już przystąpić do estatecznego wyboru króla, gdy wreszcie Jadwiga pojawiła się w Polsce.

Stał się ten upragniony wypadek tem potrzebniejszym, im sroższy bezrząd rozpostarł się temi czasami po całym kraju. Jak w powietrzu przed wschodem dnia, podniosła się w Polsce bezpośrednio przed wzniesieniem Jadwigi „tak okropna zamieszka, jakiej od wieku wieków nie pomni pamięć ludzka.” Dośćby już było wyobrazić sobie zawiechrzenie powszechne z opowiedzianego tu nawału zjazdów, najśmę zagranych, wojen domowych. A ileż to jeszcze bądź koniecznych ztąd wynikłości, bądź przypadkowych przygód i nieszczęść powiększało burzę obecnych czasów. Aby zrozumieć nadzwyczajną radość z przyścia Jadwigi, należy bogdaj przelotnie rzucić okiem na pojedyncze chmury tego zamętu, nad którym wreszcie zajaśnieć ma światła postać trzynastoletniej królowej.

Już samej mnogości tegoczesnych sejmików towarzyszyła niemała liczba utrapień. Nawet późniejsze czasy pokoju publicznego uskarżają się niekiedy na uciążliwość zbyt ciężkich zjazdów obradnych. O ileż srożej ciążyły one w teraźniejszych rozruchach całej szlachcie ubogiej, odrywanej niemi pod utratą znaczenia szlacheckiego od obrony domu i uprawy zagonu — gniotły one całą najechaną okolicę wszelkimi plagami obłożenia nieprzyjacielskiego, utrzymywały kraj cały w ustawicznym ruchu i zgiełku. Najbliższemu dalej następstwem powszechnego wzburzenia i rozterku z ciągłych zjazdów i wstrząśnień

wojny domowej były różnego rodzaju gwałty, zajazdy i rozbroje.

Oto np. Grzymała z Oleśnicy z kasztelanem kujawskim, Wojtkiem młodszym, uprowadzają mieszczańom Łekneńskim stado koni z pastwiska. Mieszczańie bieżą w pogoń za łupieżcami, lecz wpadłszy w zasadzkę, muszą tył podać, i gnani wzajemnie od nieprzyjaciół, naprowadzają ich na swoje miasteczko Łekno, które wkrótce przez najeźdźców w perzynę się obraca. Oto Dobiesław z Gołańczy i pobratani z nim dzierzawcy grodu Ujścia na wiadomość, że pan Przeclaw Jakuszowic z Gołuchowa gości z matką Anastazją w swoim bogatym dworze Welińskim, wyprawiają zbrojną drużynę, aby go pojmać i złupić. Podjazd nie może zdobyć mocno obwarowanego dworu i podpala budynek, z którego wyskakujący z płomieni Przeclaw razem z matką i czeladzią dostaje się w niewolę, podczas gdy konie z całym dobytkiem dworskim idą w podział pomiędzy Dobiesława i braci, zyskujących tą sprawką do tysiąca pięciuset grzywien. Oto wreszcie Sędziwoj Świdwa porywa i więzi podobnym sposobem pana Mikołaja z Jastrowa. Zato bracia obudwóch jeńców, Jeracz z Siedleca, brat Przeclawa Gołuchowskiego, i Janko z Szamotuł, brat Mikołajów, mszcząc się na bracie Sędziwojowym a spółniku Dobiesława z Gołańczy, Marcinie ze Zwonowa, którego obaj na gościńcu poznańskim napadają, śmiertelnie ranią i również w niewolę biorą.

Rozgałęziały się wprawdzie tym sposobem zwady obecne po całym kraju, ale nie były przeto wpływem osobliwszej srogości pokoleń tamtoczesnych, ani też wielkiego rozlewu krwi nie sprawiały. Chodziło głównie o okup, o rumaki pod wierzch, o bramy „na rzeź.” A co orężem zdobyto na przeciwnikach, to zwyczajnie w wesołej biesiadzie spożyło się z przyjaciółmi. Toć sam teraźniejszy generał-starosta wielkopolski, pan Pielgrzym z Wągleszyna, głośny na całym kraj pasibrzech, jedynie dlatego podejmował wo-

jenne na pozór wyprawy przeciwko Mazowszanom, albo Szlązakom, aby „nie mogąc już dla zrujnowanej fortuny sutych wyprawiać biesiad,” łupić mógł pochodami swojemi włości kościelne ku nowym z tego ucztom i godom. Ztąd w całą wrzawę tegoczesnych napadów, rozbojów i gęstych „zwołań,” czyli okrzyków herbowych „Łodzia!” „Nałęcz!” „Grzymała!” i t. p., któremi kmiecie siół napadniętych zwoływali się ku pogoni nieprzyjaciela — miesza się do połowy brzęk hucznych biesiad.

Wśród takiego brzęku w kasztelu wolborskim wysłannik starosty sieradzkiego Drogosza, Jakusz Gučkowski, mając opanować warowne miasteczko Wolborz, bankietuje za stołem z rządcą kasztelanii wolborskiej, księdzem kanonikiem władysławskim Henrykiem, a tymczasem orężna jego czeladź wchodzi spokojnie do kasztelu i już go nie opuszcza. Nieco później znany nam kasztelan nakielski, Świdwa, zawzięty stronnik Nałęczów, ucztuje przyjaźnie z owym stronnikiem Grzymalitów, lecz nadewszystko z przyjacielem wesołych biesiad, starostą Wielkopolskim Pielgrzymem, a tymczasem Grzymalita Domarat pustoszy mu włości koło Szamotuł. Która to niefortunna biesiada stała się Świdwie jedynie karą za dawniejszy nader pomyślny napad na inną ucztę, t. j. na stypę, wyprawioną przez pana Jeracza Mrocza z Obornik na cześć zmarłej wójtowej z Obornik Januszowej. „Chcąc smutek żałoby bogdaj w części zamienić w pociechę rozweselenia,” podjął Jeracz zgromadzonych wówczas przyjaciół sutą do późnej nocy biesiadą, po której nazajutrz obudził śpiących gości najazd Nałęcza Świdwy z tłumem stronników, zakończony niewolą gospodarza ucztę i wszystkich biesiadników, śmiercią wójta obornickiego Janusza, zrabowaniem wszelkiego mienia, nawet sukien, pościeli i „klejnotów” niewieściech. Wszystkie łupy podobne szły podziałem i marnotrawstwem w rozsypkę po całym kraju, i jeszcze po wielu latach przypominano sobie z podziwem,

że za czasów łupieżkiej zamieszki po śmierci króla Ludwika można było kupić „wołu albo krowę za dwa grosze, barana albo owcę, a nawet kozia (kozę zaś niezawodnie) za trzy szelągi.”

Do tak obfitego żeru zlatywali z dalekich stron drapieżnicy. Mianowicie ze Szlązka wdzierali się książęta i rycerstwo po łup do Polski. Zniemczała szlachta głogowska pustoszyła bezkarnie ziemię Wschowską. Książę Konrad na Oleśnicy pod pozorem wspierania Ziemowita, czychał na Odolanów, a tymczasem zdradą owładnął Poniec, który, nie mogąc być zatrzymanym długo przez zgrają napastniczą, został przynajmniej spalony przez nią. Owszem, z nader odległych ziem zapomniane postacie zmierzają teraz do Polski, domagając się władzy nad nią. Takie uroszczenie prowadzi z benedyktyńskiego klasztoru w Dywionie znanego wichrzyciela Władysława Białego po raz któryś na ziemię polską, Anti-papież Klemens VII uzbraja go zupełnem rozwiązaniem ze ślubów zakonnych i gorącą zachętą do zdobycia sobie królestwa Piastów, któremu według podsunionych przez Białego słów bulli Klemensowej — „od wieku wieków nie panowały nigdy niewiasty.” A ponieważ anti-papież Klemens dawniej napomknionym sposobem sprzymierzony był z ojcem rakuzkiego oblubieńca naszej Jadwigi, awanturczym ksiązęciem rakuzkim Leopoldem, przeto dana Władysławowi Białemu przez anti-papieża podniećta do zawiechrzenia Polski ułatwia niejako rakuzkiemu książętku drogę do jej korony i nową przeszkodę uspokojeniu kraju i zamysłom panów małopolskich podnosi.

Jakoż wistocie opuścił Biały temi czasy swój klasztor i przedarłszy się drogą nowych przygód do Polski, miał swojemi uroszczeniami powiększyć jej zamęt teraźniejszy. Lecz upadek Piastów w osobie samego Ziemowita, z tylu względów bliższego sercu i koronie narodu, niż rozkapturzony Władysław, odjął mu wszelką możność uzyskania stronników, nawet

rozgłosu. Powszechnem tedy milezieniem przyjęty i pożegnany, ciągnie mnich „Biały” napowrót do swojego klasztoru i cały żywot w błędnej sterawszy włóczędze, umiera w podróży w mieście Strasburgu. Wszakże nawet po śmierci spoczynku zwłokom swoim nie dając, kazał umierający zawieźć je do Dywionu. Tam one po dziś dzień, leżą uczczone świeżo odgrzebanym nadgrobkim i corocznem za duszę „króla Lancelota” nabożeństwem żałobnem.

Liczbę tylu różnorodnych najeźdźców wzburzonej Polski pomnożył inny, straszniejszy gość, powietrze. W dwadzieścia lat po swoich ostatnich odwiedzinach wróciło ono z owym niespokojnym muichem benedyktyńskim znów od zachodu nad Wisłę. To też głównie osoby duchowne, prałaci i kanonicy, t. j. ludzie najwykwintniejszego wówczas sposobu życia, doznawali jego srogości. Zgodne w tem z dżumą w r. 1361, która także stanom możniejszym i życiu łakotniejszemu największą zadała klęskę—zadowolone z bagnistej atmosfery Polski ówczesnej, jako swego najmiłszego żywiołu, zabijało powietrze stąbnych, a pogrobowców zaproszało w mniemane przytulki bezpieczeństwa, w okolicy górzyste, w lasy, po całym kraju. Mnożąc przeto ruch i rozterk powszechny, rozprzegając właściwym sobie trybem najściślej węzły społeczne, przyczyniała się dżuma pełną garścią do zalania kraju ostatecznemi bałwanami zamętu.

Jakoż rozkietnął on do tego stopnia wszystkie umysły i sprawy ludzkie, iż jeden z klasztornych współuczestników tej burzy dostrzegł w niej wcale niespodziewane na owe czasy zjawisko, o którym na wpół z podziwem, nawpół z przestрахem donosi co następuje: „Magnaci i szlachta gnębią się wzajemną grabieżą i pożogą, i jest nawet takich niemało w Królestwie Polskiem, którzy do tego dążą, aby nie mieć żadnego króla, lecz sobie samym przywłaszczając dobra koronne i obrócić wszystkie, według upodobania, na swój własny pożytek. Ztąd uciemiężenie ubo-

gich, upadek sprawiedliwości, dowolne powodowanie się nie tak słusnością i rozumem, jak raczej popędami chwilowego zachcenia.

Może dopiero z obawy wzmiankowanego tu zamysłu przeistoczenia Polski w zupełną rzeczpospolitą możnowładczą—zamysłu na wszelki wypadek jedyne-go w swoim rodzaju o tak wczesnej porze dziejowej—skłoniła się królowa Elżbieta do nieociągania dłużej wyjazdu córki nad Wisłę. Stało się nareszcie zadość tak długiemu oczekiwaniu narodu—wzeszła na wzburzonym niebie Polski poranna gwiazda Jadwigi.

XI. PRZYJŚCIE JADWIGI.

Wjazd przez góry. — Widok kraju. — Okolice Tatrzańska. — Pogórze i Powiśle. — Zamki pańskie. — Rycerskość. — Polor zagraniczny. — Wpływ cudzoziemczyzny. — Dwory i dworki. — Pożycie i obyczaje szlachty drobniejszej. — Mniejsza różnica między szlachtą a kmieciem. — Wyobrażenia nowoczesne. — Pospólność i rozdzielnosc. — Wieś polska. — Kmieć zamożniejszy. — Lepszy byt klas „robotnych”. — Wieś magdeburska. — Plebania. — Gospodarstwo plebańskie. — Starania i zasługi duchowieństwa około gospodarstwa krajowego. — Klasztory. — Urzędy i urzędnicy prawa książęcego i ziemiańskiego. — Kasztelani i starości. — Wojewodowie, podkomorzowie, sędziowie. — Urzędy nadworne. — Wszyscy sądzą. — Sumiennosc publiczna. — Wojewoda mazowiecki Andrzej Ciołek. — Biskupowie. — Żupy krakowskie. — Dochody publiczne. — Miasteczka. — Położenie Krakowa.

Już Polacy wszelką prawie nadzieję ujrzenia Jadwigi na ziemi swojej stracili, gdy w pierwszych dniach października r. 1384 nadbiegły starożytnym traktem tatrzańskim, drogą świętej królowej Kingi, naprzód doniesienia o jadącej królownie, a wkrótce

potem nadszedł sam dwór podróżny. Złożony z długiego rzędu powozów dworskich i pańskich, otoczony strażą zbrojną i konnym orszakiem towarzyszącej szlachty węgierskiej, zajmował on szeroką przestrzeń gościńca. Zamykał go zaś nieprzejrzały szereg podwód i bryk pakownych, wiozących królewską wyprawę Jadwigi, bogatą w gotowe złoto i srebro, w drogocenne kamienie i klejnoty, w kosztowne naczynia, szaty, kobierce i złotogłowy.

Właściwym przewodnikiem całej podróży był kardynał-arcybiskup strygoński i „najwyższy kanclerz” królestwa węgierskiego z czasów Ludwika, Dymitr, sędziwy, bliski zgaśnięcia starzec. Czcigodny wiek, mnogoletnia wszechwładza u dworu Ludwikowego, wreszcie wysoki, a tym wschodnim stronom Europy wcale jeszcze obcy stopień dostojęństwa kardynalskiego, zniewalały wszystkich do głębokiej dla niego czci. Piastował kardynał Dymitr nadto godność papieskiego legata w Polsce, znał Polskę z podjętej w zeszłym roku zbrojnej z margrabią Zygmuntem wycieczki w ziemię krakowską, a przeto i względem Polaków, zwłaszcza duchowieństwa polskiego, służyła mu zwierchnicza poniekąd władza. Przy jego boku, jako drugi opiekun królowej, znajdował się biskup czanadzki Jan, pamiętny Polakom z przeddwuletniego poselstwa od królowej Elżbiety w czasie zjazdu w Wiślicy.

Pod opieką tych obudwóch kapłanów, wśród świętej służby szlacheckich matron i panien, już to konno na bogato przystrojonym bachmacie, zwyczajnym wówczas środkiem podróżowania kobiet, już to w dużej „kolebce” o złocistych ozdobach i kilku podtrzymujących ją z boku pajukach, jechała trzynastoletnia królowa polska. Dla niepokojów domowych w Węgrzech, wymagających obecności Elżbiety przy boku starszej córki Maryi, nie mogła matka królowa towarzyszyć młodszej córce do Polski. Młoda jednakże

królowa polska, dłuższym pobylem w Wiedniu przyzwyczajona do rozłączenia z matką, a żywym obdarzona umysłem, nie okazywała żalu ze swego samotnienia. Broniła tego sama powaga królewska, która takie do korony wychowane dzieci wcześniej przybierać umiały, starając się, ile możliwości, radośnym okiem powitać nowe królestwo. W podobnym zaś położeniu roztaczający się teraz przed Jadwigą widok krajiny polskiej musiał być tem ciekawsze wzbudzać zajęcie. Po blisko pół tysiącu lat stał się ten widok i dla nas równie nowym i obcym. Obeznanym więc z głównymi różnicami obudwóch walnych dzielnic ówczesnej Polski, świadomi odgrywających się w nich wypadków, przypatrzmy się teraz z przybywającą Jadwigą poszczególnym rysom krajobrazu i położenia towarzyskiego, jakie dostrzedz możemy na obliczu stołecznej krajiny polskiej, ziemi krakowskiej, od strony gór.

W tatrzańskim bramie Małopolski, w odbudowanym przez Kazimierza W. zamku Czorsztyńskim, siedział temi czasy z cudzoziemcami grodzieniec, książę Opolski Bolko. Nie zawiścili mu Polacy kasztelanstwa w tym grodzie, przyczepionym jak komin, czyli znany i u nas *szorsztyn* niemiecki, od którego prawdopodobnie wziął nazwę, u szczytu olbrzymiej skały, a otoczonym wokoło piętrami gór, jeszcze dzikszych w onym wieku, niż za dni naszych. Niektóre okolice sandeckie, jak np. poblize Muszyny, porastały wprawdzie dość gęsto osadami ludzkimi, jakich razem z Muszyną tuż po przybyciu Jadwigi otrzymał kilkanaście w darze od króla biskup krakowski Jan. Atoli o większej części okolic, mianowicie Czorsztyńskiej, jako też owej, która się rozpościera między Myślenicami a oboim Dunajcem, prawił biskupie rozporządzenia z czasów Kazimierzowskich, iż „są nader dzikie i puste”, że „niezwyczajnie długie mrozy gnębią ziemię tameczną”, że „tylko

przez bardzo krótki czas w roku można tam pracować około roli". Przeco litując się tak opłakanego stanu mieszkańców, umniejsza im biskup dziesięcinę do trzech skojców od każdego łanu na św. Marcin.

W ogólności wszelka rola uprawna była w tych stronach górskich niezbyt dawną nowiną, zawdzięczającą swój początek szczęśliwym czasom Łokietka i Kazimierza W. Przed tymiż obudwoma królami słynęły w całej ziemi Sandeckiej, z wyjątkiem świątyn w Sądczu i cysterskim Szczyrzycu, tylko dwa parafialne kościołki: w Ludzimierzu i Biegonicach. Od czasu obudwóch Piastów ostatnich aż do końca stulecia stanęło naraz 21 nowych kościołów, z których do samegoż Kazimierza odnosi się 15.

Nawet opuściwszy już Tatry i posunawszy się z Jadwigą ku otwartej, wesołej przestrzeni kraju, postrzegamy wszędzie ten sam charakter młodzieńczości. Wzdłuż całego pogranicza Węgier i Rusi, od Myślenic i Czorsztyna aż po Zmigrod i Biecz, od Bieczy aż po San, ku stronom Lublina, Sieciechowa, Łukowa, wszędzie zielenią się nowiny. Mieszkańcom ziem lubelskiej, łukowskiej, sieciechowskiej upływa właśnie 30-letni przeciąg uwolnienia od wszelkich dziesięcin, jakiego przed 27 laty, ze względu na zupełne opustoszenie tych krain od napadów tatarskich i litewskich, udzielił im krakowski biskup Bodzanta. Owszem, cały obszar kraju między Karpatami a Wisłą zaludnił się i zabudował właściwie dopiero za panowania obudwóch Piastów ostatnich.

Toć dopiero od czasów Łokietka i jego syna, zwłaszcza za staraniem Kazimierza W., nastały tu zamki i miasta Tarnów, Melsztyn, Łańcut, Lanckorona, Robezyce, Baranów i Nowy targ. Dopiero za dni Kazimierzowskich obmurowały się Dobrezyce, Czehów, Jasło, Stary Sącz, Myślenice, Krosno i inne. Z 226 kościołów, należących do całej dzisiejszej diecezji Tarnowskiej, zwierzchniczki wszystkiego kraju od Ta-

trów aż po Wisłę, a świadomych daty swego powstania, wznosiło się do czasu Łokietka tylko 36. W wieku Łokietka i Kazimierza W. przybyło ich znoważ prawie dwa razy tyle, bo 70. Wszystkie następne stulecia razem zaledwie już tylko podwoiły liczbę dotychczasową.

Ale im uboższą gdzieś w uprawę ludzką, tem bogatszą była kraina małopolska w płody i powaby natury. Po tamtej stronie Wisły w zgórzach Olkuskich, a nawet w niektórych zakątkach Karpat, rodziły się, jak wiemy, kruszce kosztowne. Po tej stronie rozwierał się coraz przestronniej podziemny skarbiec Bocheński. Wzdłuż Wisły ciągnęły się złotonośne niwy Proszowskie, tuczne pastwiska Opatkowskie. Bujna roślinność małopolska, okrywająca ziemię rozkosznymi sadami, winnicami, zapaszystymi gajami modrzewiów i innych żywicznych a bezprzerwanie zielonych lasów, nawet w zimie nie traciła barwy wiosennej. Po szmaragdowym tle kraju płynęły szeroko wezbrane, spławne w statutach rzeki Dunajec, Wisłoka, San.

Wybrzeża rzek pojedynczych zaludnione były osadami szlachty jednego i tegoż samego herbu, powstałymi z rozrodzenia się jednej lub kilku rodzin pierwotnych, obdarzonych niegdyś nowym herbem i pustymi obszarami wybrzeża. Tym sposobem nad Dunajcem, czyli, jak go zastarodawa zwano „Drużyną”, roznieżdziła się szlachta herbu Sreniawa albo Drużyna, szczytając się temi czasy wojewodą sandomierskim Piotrem z Lipia, Jaśkiem Kmitą „z Wiśnicza”, wreszcie przodkami wyszłych ztąd później Stadnickich, Lubomirskich i innych. Po oboim brzegu Skawiny, od okolic Kalwarii aż głęboko w góry węgierskie, władali zdawien dawna Radwaniec, słynni swoim przywiązaniem do korony Bolesława Pudyka. Wzdłuż wyższej nareszcie Wisły około Tyńca brzmiało w liczących, odwiecznych wsiach, ile razy na gwałt wo-

łano, herbowe godło, czyli powołanie Toporezyków: Starzał Starzał albo Stary koń! Stary koń!

Pomiędzy temi włościami, na wzgórzach odosobnionych, wznosiły się zamki samotne. Oddalone dumnie od chat wieśniaczych, służyły one za siedzibę możnowładcom krakowskim. U wierchołka powiewał proporzec herbowy, znak niepodległości rycerskiej, a dokoła głównej czworokątnej budowy biegł zygakiem gruby, wysoki mur. Niekiedy opasywały zamek w znacznej od siebie odległości dwie ściany z głazu, o niskich kamiennych bramach, ozdobionych rzezaniami w ciosie herbami, obwarowanych z ubocza sześćcio lub ośmiokątną basztą, a u góry olbrzymią kratą żelazną, czyli grzebieniem, spuszczanym na nieprzyjaciół. Oprócz tego bywał mur zewnętrzny podparty wałem, czyli przekopem, oblany zewnątrz fosą szeroką lub falami płynącej obok rzeki. Przez fosę prowadził w czasie potrzeby zwodzony most, po rzece ciągnął się most zwyczajny, w chwili niebezpiecznej zrywany.

Na wieży, albo czasami u szczytu osobnej wewnątrz zamku strażnicy, zwykle najwarowniejszej części całego gmachu, nie mającej u dołu żadnych drzwi, opatrzonej jedynie wązkim w górze otworem, do którego włączono po drabinie, czuwała straż zamkowa, oznajmująca trąbką przybycie gości. Natenczas kładł się po fosie most, otwierała się wązka, sklepiona brama, a jeśli zamek opasany był dwoma murami, wstępował przybysz naprzód w rozprzestrzeniający się pomiędzy niemi dziedziniec pierwszy. Tam znajdowały się masztarnie, stajnie, obory, mieszkania licznej czeladzi dworskiej, budynki gospodarskie. Mijając je, zbliżał się gość pomiędzy obudwoma murami do bramy drugiej, ozdobnej znowuż rzezaną tarczą herbową, a otwierającą się umyślnie w przeciwnym od poprzedniej kierunku, aby nieprzyjaciół po

zdobyciu pierwszej bramy, nie rozbił tym samym za-pędem wniścia drugiego.

Dopiero na drugim dziedzińcu witał przybysza widok głównej budowy. Bywała ona pospolicie drewniana, brunatna, tylko gdzieniegdzie jakąś białą basztą, jakimś kamiennym wzmocniona narożnikiem. W takim razie rzadki w niektórych stronach materiał ciosowy i rzadszą jeszcze pod one czasy cegłą zastępowały „wiekuisto trwające” tramy z modrzewia lub dębowe, które w potężną ujętą ścianę, utwierdzano albo podmurowaniem kamiennem, albo wpuszczanemi w ścianę słupami muru. Całkowicie z ciosu albo z cegły wzniesione zamki lśniły już to czerwonym zgoła murem, już to powłoką z cegiełek polewanych, w szachownicę złożonych. Od nich to i od różnobarwnej dachówki szpiczastego dachu świecił zamek pański śród promieni letniego słońca dalekim dokoła blaskiem. Zresztą chodziło mu przedewszystkiem o warowność, do której w głównym gmachu stosowały się nawet małe drzwi, wązkie i rzadkie okna, utrzymujące ustawiczny mrok wewnątrz komnat, wreszcie szerokie piwnice i nadzwyczajnie rozległe podziemia, w razie napadu kryjówki najkosztowniejszych skarbów, a niekiedy i ludzi.

W takich to zamkach ustronnych, nacechowanych zawsze pewnemi śladami gustu cudzoziemskiego, mieszkała najmożliwsza i najpolerowniejsza część szlachty małopolskiej, przedstawiająca podobne ślady cudzoziemczyzny w swych obyczajach. Jak zawsze, tak i wówczas były te cechy zagraniczne przedmiotem zgorznienia dla klas niższych, dumnego zadowolenia dla właścicieli. Zawierały się one zaś w jednym cudzoziemczem słowie „rycerskość”. Jeśli w czasach późniejszych wyrazy „rycerstwo, stan rycerski”, obejmowały całą szlachtę, inaczej było teraz. W wieku Jadwigi widziano w „rycerstwie” takież sam wyższy stopień porządku społeczeńskie-

go, jaki później przyznany był stanowi senatorskiemu, a z jakim teraz nie mógł iść w porównanie gmin prostej „szlachty”. Toż nawet zwyczajne formuły prawne odróżniały rycerstwo a szlachtę, rozumiejąc pod pierwszym „baronów”, „panów”, królestwa, pod drugim zaś owych ubogich szlachciców, ziemian, władków, którzy częstokroć nawet nie wiedzieli, jakiego są herbu, czyli klejnotu, albo go wcale nie mieli. Oprócz takiej różnicy miana, nie stawało wprawdzie ustawodawstwo ważniejszych zresztą przegród pomiędzy pojedyncze warstwy stanu panującego. Powszechna równość szlachecka doznawała zdawien dawna żarliwej obrony ze strony szlachty ubogiej. Atoli tem widoczniejszą była obyczajowa różnica obudwóch klas.

Z cudzoziemska ubarwiona wyższość klasy rycerskiej polegała głównie w obyczajowym zastosowaniu się możnych panów krajowych do owej świetnej instytucji średniowiecznego zachodu, która swą dostojnością przechodziła poniekąd godność królewską, a dorównywała kapiańskiej, do instytucji rycerstwa, czyli szwaleryi. Zdarzało się nam już po razy kilka mówić o średniowiecznem rycerstwie, a mianowicie o jego mniej świetnych stronach, jego szkodliwych albo śmiesznych objawach, potępianych trzeźwym rozumem narodowym. Nadto czasy naszej powieści pochyliły szwaleryę zachodu powszechnie już do upadku, okazując, niestety, zupełną przewagę jej przywar nad zaletami. Jednakowoż ani obecne skażenie się rycerstwa za granicą, ani połączone z niem zdrożne, niedorzeczne zjawiska, nie powinny uprzedzać nas przeciwko rzeczywistej piękności idealnych jego pierwiastków. Owóż dając niekiedy unieść się do naśladowania zdrożności szwaleryi zagranicznej, naśladowała możnowładcza rycerska klasa szlachectwa małopolskiego w swoich z cudzoziemska utrefionych zwyczajach osobiście piękną jej stronę. Wspomniawszy

więc dawniej o złych skutkach podobnego naśladownictwa, godzi się teraz nadmienić o zaletnych. Ujrzymy w tej wzmiance pierwszą zorzę późniejszych obyczajów szlacheckich, praktykowanych przez cały naród w tak wielkich i wspaniałych rozmiarach.

Gdy więc uboga szlachta wielkopolska przestawała na swoich chodaczkach, na czarnej, skórzanej zbroi i pięciu groszach od każdego policzka, wielmożni panowie małopolscy zbroili się, stroili, wiedli żywot z cudzoziemska, według ustaw i wyobrażeń szwaleryi zagranicznej ku powszechnemu przykładowi późniejszych ojczyzny swojej pokoleń. Zaczem przywdzieli na się ciężką zbroję żelazną, wzięli w rękę zagraniczną dźidę rycerską, a na ramię szczyt zagraniczny, szermowali w okolu turniejowem o nagrodę rycerską, i przyswajając swemu potomstwu te wszystkie nowe przybory i zwyczaje, dali im nowe na przyszłość miana. I tak zbroję nazwano z cudzoziemska rynsztunkiem, albo płatami, a zbrojownika płatnerzem, dźidę giewią, szczyt tarczą, albo pawężą, drużynę hufcem, przewodniczącego jej junaka rycerskiego na podobieństwo zagranicznego wyrazu *reke*, jakoby z polska rakiem, okole szrankami, dankiem nagrodę. Na podobieństwo zagranicznych ozdób rynsztunkowych, składających się z ogromnych pióropuszków, skrzydeł u hełmów i dzwonek do szerczenia postrachu za pomocą swego brzęku i szumu, przypięli sobie panowie rycerze małopolscy orle skrzydła do barków, najfantastyczniejszą później ozdobę husaryi narodowej.

Upodobawszy sobie dalej hełmowe ozdoby, czyli z niemiecka klejnoty rycerstwa zachodniego, przybrali wielmożę rycerzcy do swych dawnych herbów podobne hełmy i oznaki na hełmie, i nazwali te zmienione tak herby z cudzoziemska klejnotami, a siebie samych klejnotnikami. Widząc, jak zazdrośnie rycerstwo zachodnie przywłaszczało sobie zaszczyt no-

szenia sukien czerwonych, postroili się panowie polscy w takież szaty szkarłatne, pierwowzór późniejszej karmazynowej odznaki starożytnego szlacheństwa. Wzbronienie onej przez króla byłoby równie ciężko bolało, jak niegdyś ukaranie spiskujących przeciw królowi Przemysławowi Nałęczów i Zarebów odjęciem prawa używania sukien szkarłatnych. Względnie do uchwał synodów starodawnych, wzbraniających długim utrefionym kędziorom przystępu do kościołów, i zgodnie z odpowiednim temu zwyczajem najprzykładniejszego rycerstwa, podgalała albo podstrzygała rycerska szlachta polska włosy nad czołem, co później odnoszono do okoliczności powrotu Kazimierza „Mnicha” do Polski. Jak pasowanym rycerzom zachodnim, tak i rycerskiemu panu polskiemu, wisiał u szyi do późnych czasów złoty z kosztowną spinką łańcuszek, i tkwił na palcu sygnet herbowy, nieodzowne znamiona dostojnego szlacheństwa.

Wymagało toż szlacheństwo dalej podobnegoż zastosowania się nie tylko w stroju, lecz osobiwie w postępkach do zagranicznego ideału prawych rycerzy. Pierwszym ich obowiązkiem była obrona wiary, do której chcąc okazać gotowość w każdej chwili, miało dawne rycerstwo zachodu zwyczaj powstawać w kościele podczas czytania Ewangelii i dobywać orężów z pochwy, co późniejsze rycerstwo polskie tak święcie i tak długo zachowywało. Obok tej powinności religijnej cenił sobie prawdziwy rycerz najwyżej prawo wymierzania sprawiedliwości. Ztąd dostojność rycerska wiązała się nierozzerwanie z dostojnością sędzi w swym domu, na swoim kawałku ziemi. Toż jak każdy rycerz zagraniczny, tak i nasi rycerzowie Toporczykowie protestowali się przed Bogiem i przed królem Kazimierzem, że nikt z ludzi żyjących nie ma prawa sądzić ich kmieci, jak tylko oni sami, panowie Toporczykowie i Starze. A co król Kazimierz osobną uchwałą dokumentową przyznał rycerzom Toporu

i Starzy, to później każdy szlachcie za swój niezaprzeczoną poczytywał przywilej.

Trzeba wreszcie znać z blizka czasy i obyczaje rycerskie, mianowicie również obowiązkową ich hojność, owszem najszałeńszą rozrzutność, aby zrozumieć, ile ścisłego w tej mierze powinowactwa zachodziło między szwaleryą zagraniczną a późniejszemi obyczajami Polski szlacheckiej. Prawy rycerz według przepisów swego zakonu nie powinien był mieć w czasie pokoju ani zamku, ani podwoi u bram mieszkania. Dom jego miał być domem wszystkich rycerzy. U stołu jego znajdowało się zawsze kilka miejsc próżnych, którym zatknięte nad bramą hełmy, znak obecności gospodarza, coraz nowych, nieznanym zwabiały gości. Dla okazania towarzyszom turniejowym swego szacunku i przywiązania, godziło się możnemu rycerzowi zasiać przeorane po gonitwach pobojuwisko kilkudziesięciu tysiącami srebrników, a posługując na cudzym dworze, kazać sobie źle poprzipinać klejnoty u stroju swego, aby je z pojedynczą umyślnie gubić za sobą. Nie przypominaż to owych miejsc próżnych, które przy stołach szlachty naszej czekały jakichś „Panów zagórskich”? lub owych podków złotych, które posłowie królów naszych gubili po bruku rzymskim? Bezstronne zastanowienie się nad tem obudza poniewolną uwagę, że niemają część gościnności staropolskiej, a zapewne całą niegdyś rozrzutność pańską należy położyć na karb obyczajowego zastosowania się do wymagań szwaleryi średniowiecznej, a co my pod tym względem poczytujemy za przyrodzoną cechę narodowości, było tylko błyskotnym nałogiem stanu pewnego.

Bądź jak bądź, zacniejszym na wszelki wypadek od marnotrawstwa wzorem obdarzyły szlachtę naszą obyczaje rycerskie, ucząc ją niezłomnej wierności słowu danemu, staranności o moralną nieposzlakowaną kroku każdego. Rychle u nas przyjęcie się takiej moralności sprawiło, że w tymże samym statucie, któ-

ry na jednej karcie dla jednego stanu narodu, tj. dla ubogich szlachciców wielkopolskich, taksuje policzek karczemny według liczby palców policzkujących, na drugiej karcie dla rycerstwa małopolskiego lada słowo sromotne jest uważane za obrazę śmiertelną, jakoby kto zabił rycerza. Ztąd za słowa porywcze „Nie wykuglujesz tak u mnie, jakoś u innych kuglował” zażądał w wieku XIV p. Jazdko z Chorzyszowa zadośćuczynienia od pana Marcina Dobrzyńskiego — a ów znany nam Przecław Wanwelski zerwał uchwałę całego zgromadzenia Sandeckiego, aby na dworze węgierskim nie zadano mu kłamstwa. Toż przez wszystkie wieki następne *verbum nobile* słynęło ze świętości nienaruszalnej.

Którąto sławność i moralność rycerską nieustannie podniecać pragnąc nadzorem, przyjmowały możliwe rody Polskie XIV stulecia rycerski zwyczaj najściślejszego czuwania nad postępami swoich bratanków. Utrzymywano w tym celu osobne księgi z opisem spraw i czynów całej rodziny, układane przez biegłych w piórze heroldów, którym każdy rycerz zagraniczny stosownie do przysięgi przy swoim pasowaniu, obowiązany był zdawać liczbę ze wszystkich przygód, tak szczęśliwych, jak nieszczęśliwych, tak zaszczytnych jak niepoehlebnych. Jakoż owa księga czyli „Kronika spraw Toporezyków”, w którą ci klejnotnicy zapisywali przystojne i nieprzystojne sprawy bratanków swoich, była właśnie tylko pomnikiem zwyczajów wspomnianego. A jeśli który podejrzaney sławy klejnotnik chciał zasiąść do stołu z prawymi rycerzami, tedy spotykała go też sama obelga, wykluczająca z wszelkiego zacnego towarzystwa, którą nasze rycerstwo małopolskie wniosło teraz do kraju, aby cała późniejsza szlachta polska karmiła nią ludzi złej sławy. Krajano przed nimi obrus, czyli właściwie serwetę, którą każdy szlachcic wraz z łyżką i nożem

miewał zwykle przy sobie i podścielał u stołu pod swoją misę.

Do tegoż nakoniec wzoru rycerstwa zachodniego zastosowało się całe wychowanie młodzi szlachetnej. Dążyło ono głównie do jak najrychlejszego wdrożenia chłopięcia w życie czynne. Gwoli temu oddawano za granicą wyrostka nader wcześnie w dom cudzy na dwór pana możnego. Tam bywał panicz francuski, albo niemiecki do lat czternastu paziem, następnie na lat siedem, często jednakże na całe życie germkiem, wreszcie niekiedy, acz nie zawsze, rycerzem pasowanym. Taż sama kolej wychowania pod cudzym dachem, wprowadzana do kraju przez teraźniejszych możnowładców rycerskich, powtarzała się u nas na dworach pańskich, pod nazwą różnowiekowych stopni pacholąt, dworzan i samowładnych niekiedy panów. Jak na dworze rycerskiego możnowładcy zachodu bawił tłum różnego rodzaju dorosłych giermków, przeznaczonych do wielorakiej usługi pana i pani, tak wskutek teraźniejszego w Polsce zaszczytu się obyczajów podobnych, roił się później na dworze każdego magnata naszego również liczny tłum dworzan, towarzyszących wszędzie panu i pani.

Ci zato w dowód swej opieki i łaski, a nie w oznakę służbowej niewoli i poniżenia, pozwalali dworzanom przybierać „kolor” herbu pańskiego, czyli tak zwaną „barwę”, znaną i szanowaną powszechnie po średniowiecznych dworach polskich i zagranicznych, owszem, nawet w stosunkach kochanka do kochanki, pod zaszczytną wtedy nazwą „liberyi”. Żadną usługą nie zalecił się bardziej młody giermek feudalnych dworów zachodu, jak wprawmem krajczostwem przy stole, mianowicie zręcznem, w powietrzu rozebraniem upieczonego kapłona, bażanta, niekiedy nawet pawia, które to różne ptaki odgrywały nieraz bardzo uroczyste role u stołu biesiad rycerskich. Po-

dobnejże zręczności, poczytywanej później za tak niezbędną warunek wychowania kawalerskiego, przyuczali się teraz szlacheccy wychowawcy zamków rycerstwa małopolskiego, oddając się zresztą zwyczajnym zawodowi swemu ćwiczeniom, jak dosiadywaniu rumaka, kruszeniu kopii, miotaniu ciężkich kamieni i t. p.

Po kilku latach wynagradzał rycerski pan zachodu giermka swojego udzieleniem mu dostojności rycerskiej, a czynił to w sposób szczególny, znany dobrze obyczajom dawnego wychowania polskiego. Dotykał go albowiem po trzykroć orężem po ramieniu, albo wyzwał go owym policzkiem rycerskim, jakim po terażniejszym w Polsce przedstawiało się upowszechnieniu się obrzędów i zwyczajów rycerskich, naśladując po swojemu starodawną ceremonię szwaleryi, usamowalniał później pan polski swoich dworzan, ojciec polski dojrzalego syna swojego. Z czasem przyémiło się zgoła pierwotne znaczenie i pochodzenie podobnych obrzędów starodawnych, niegdyś rycerskich. Ale podczas, gdy one u narodów zachodnich powszechnemu uległy już zaniechaniu, Polska, jakkolwiek nieświadomie, zachowywała jeszcze długo wiele z tych pięknych w pierwiastku swoim rysów, dziwiąc niemi same ludy zachodnie, przypatrujące się w tej mierze z ciekawością narodowi naszemu, jakoby żyjącemu onych wspomnieniu.

Takimi to obyczajami rycerskimi zakwitło towarzyskie życie owych możnowładczych zamków samotnych, jak np. Melsztyn, Wojnicz, Tęczyn, Ossolin. Nie stanowiła przecież ta rycerskość wszelkiej treści życia naszych panów zamkowych. Przeciwni w tym względzie swoim wzorom zachodnim, magnatom zagranicznym, utopionym całą duszą w wyłącznej praktyce obyczajów szwaleryi, obojętnym zresztą na wszystko, co nie było wojną, uczcą, turniejem, mieli nasi możnowładcy wszelkie przybory i ceremonie szwaleryi

jedynie za strój prywatny, pod którym w duszy wcale inne było natchnienie i dążenie. Uwaga ich zajmowała się głównie sprawami kraju, które, ile możliwości, na wyłączną korzyść swego stanu obrócić chciało. Myśl ich płonęła widokiem owych wielkich planów społecznych i narodowych, dla których obecnie tyle gwaru i zamieszek działo się w Polsce, a które w końcu jedynie przez zasługę podobnych zabiegów pańskich tak wspaniałym uwieńczyć się miały skutkiem.

Ztąd lekce sobie ważąc osobiste popisy i obrzędy rycerskie, nie tracąc czasu w gonitwach i turniejach, stroniąc od harców i zajazdów prywatnych, trawili możnowładcy zamkowi wszelki prawie żywot w odbywaniu wieców sądowych, zjazdów sejmowych, wycieczek poselskich do Węgier i tym podobnych usług publicznych. Tylko te sprawy publiczne nie dozwoliły bujniejszego u nas rozkwitnienia rycerstwa. Zresztą bowiem, tak w czasach poprzedzających wypadki naszej powieści, jako też w dalszym jej ciągu, tak w przykładzie owego niemieckiego rycerza-mnichy, Władysława Białego, jako też późniejszych krucyat rycerskich przeciw Tatarom, późniejszego szukania przygód w rycerskiej służbie u książąt postronnych, okazuje szwalerya jawne ślady swego u nas istnienia. I tak do przytoczonych już pojawów zeudzoziemczenia, połączonego wówczas zwyczajnie z przesadną obserwanecją szwaleryi, możemy dodać tu wiadomość o jakimś panu polskim, słynącym w kronikach francuskich, jako wizerunek doskonałego rycerza.

Właśnie w latach naszej powieści związał on się ślubem rycerskim nosić przez lat pięć, aż do spełnienia jakiejś świetnej przewagi rycerskiej, „dość długi” łańcuch złoty, upięty dwiema złotemi obrączkami u łokcia lewej ręki i u kolana lewego. Nie znajdując zaś w Polsce dostatecznego uznania podobnej

„imprezy” i zasługi rycerskiej, wybrał się nasz rycerz o złotym łańcuchu za granicę, na dwór francuski. Tam miał on zapoznać się osobiście z kwiatem szwaleryi europejskiej i znaleźć godnych spółzawodników, którzyby turniejową z nim walką uwolnili go od kajdana złotego. Wszakże mimo tak jaskrawych wyskoków pojedynczych, ogół zamkowych panów polskich przestawał jedynie na domowym przystrojeniu życia wyobrażeniami i obyczajami szwaleryi, a publiczną ofiarę z tegoż życia niósł wcale innym zamysłom. Dla nich zaniedbywał on wieńca doskonałości rycerskiej, zdawał nawet większą część zarządu majątności domowych na swoich starostów, włodarzy i sołtysów, a żył głównie *wiecem*, sejmem i najmilszym ze swoich planów, myślą uzyskania Polsee Litwy i Rusi...

Tymczasem obok pańskich zamków samotnych, w pobliżu osad włościańskich, wznosiły się inne siedziby szlacheckie i inne panowało w nich życie. Były to one modrzewiowe dwory mniej możnych panów krakowskich, które jeszcze w wieku Zygmunta wzbudzały podziw swoją starożytnością i misternością. Na niskich, potężnych ścianach z tramów olbrzymich wspinał się dach wysoki, kopułkowaty, wsparty na filarach gankowych. Dokoła domu ciągnęły się budynki gospodarskie i bujny, jak zwykle w Małopolsce, sad i pasieka. Dokoła budynków i sadu biegło ogrodzenie z okazałą bramą pod daszkiem, niełatwą do wyłamania. Nie było w takim dworze wiele złota i srebra, niezbyt obfitego i w zamkach pańskich. Powszechna ubogość i prostactwo owoczesnego świata, lubiąca rozwieszać wszystkie swoje skarby i klejnoty na ciele pańskim, a tem samem mamiąca nas nieproporcjonalną świetnością jednej strony obrazu, nadawała, zwłaszcza wewnątrz tych dworów, widok wieśniaczy.

Brakowało im nawet okien o szybach szklanych,

które jeszcze o wiele później, w wieku XVI w samych pałacach pańskich, jako nader kosztowny sprzęt i ozdoba cenione, wyjmowano zwykle z zawiasów, gdy pan na dłuższy czas z domu wyjeżdżał. Zastępowały je przezroczyste błony z pęcherza i okiennice drewniane. To powiększało tembardziej mrok niskich komnat o drewnianych, a po większej części brunatnych ścianach. Ale im mniej blasku i złota, tem więcej zieleni i zapachu miały dwory ówczesne. Zamieszkałe w nich pokolenia, kochając się wzrokiem swoim w barwach jaskrawych, smakiem swoim w mocno korzennych przyprawach, pragnęły i powonienie również drażniącym zadowolić pokarmem. Brak sztucznych pachnideł zniewalał uciekać się do woniących ziół, a bujna roślinność wytrzebionych dziś lasów, osuszonych dziś moczarów, w nieprzebranej dostarczała ich obfitości.

Rozkoszowano się więc wszelkimi sposobami w tej woni zielnej. Przy każdym święcie majono ściany domu gałęziami, wieńcami, palmami święconymi. Aż do późnych czasów woniały w każdej komnacie rozrzucone codziennie po podłodze gwoździki, majeraek, czernuszką. W zanadrzu tkwił nieustannie pęk ziół pachnących. Na zimę zachowywano sobie w tym celu miętę, boże drzewko, piołuny. W lecie ceniono nad wszystko różę, o której tyle wzmianek w najdawniejszych znachodzim czasach, której zapach bywał tak namiętnie lubioną rozkoszą, że, jakśmy już raz nadmienili, jeden z biskupów polskich umarł z jej nadużycia. Nie mogąc zakonserwować kwiatu na zimę, przyprawiano z róży wodę pachnącą, która służyła do skrapiania podłogi, do nacierania rąk i lic. A nie przestając na tem wszystkiem, kadzono jeszcze zgęsta lebiódką, miętą, jałowcem i dobierano nawet szczególniejszego rodzaju dREW do palenia na ogni-

sku domowem, u którego rodzina grzała się najmilej przy płonących polanach bzu i sośniny.

Sielski pan dworu takiego miewał kmieci czynszowych i roboczych, „ogrodników” poddańczych na mniejszych gruntach, wreszcie czeladź najemną. Dochód niesły mu czynsze niemieckie, daniny „polskie”, sprzedaż zboża, młyny, karczmy, pasieki, stadnina, obora, towar myśliwski. Zatrudnienia rolnicze nie miały jeszcze bynajmniej tak stanowczej przewagi w troskach i zyskach gospodarstwa ziemiańskiego, jak później. Czy ziemianin, czy nie, mniej obchodziło; główną rzeczą były czynsze i stado. Jakoż tylko z tych dwóch rubryk dochodów nakazywał statut wiślicki składać liczbę opiekunowi, administrującemu spuścizną małoletnich. Reszta intraty i majątku poczytywała się, według wyraźnego przypuszczenia ustawodawcy, za rzecz obojętniejszą. Zprzysporzonych czemkolwiek owoców gospodarskich utrzymywany bywał jaki taki przybór wojenny, opędzały się wydatki dzieścinne, większe od nich winy i opłaty sądowe i największe—jałmużna pobożna, składana w powszednich podówczas oblatkach ołtarzowych, groszu odpustnym, ofiarach na msze i kupnie nabożeństw żałobnych, upominkowych i innych.

Zresztą, jeśli pan dworu pragnął znaczenia obywatelskiego, tedy zdawał gospodarstwo małżonce, rubasznej szlachciance w butach, kożuchu i rańtuchu, która, jak swoim strojem nie różniła się znacznie od mężczyzny, tak też zdawien dawna nawykła zastępować mężczyznę w zarządzie domem. Sam zaś jeździł jako świadek po wiecach sądowych i zgromadzeniach obradnych, uzyskiwał jaką darowiznę, albo godność u dworu, a gardłował przeciw onym magnatom zamkowym, nie pozwalając im brać góry nad szlachectwem i głosząc zawsze starodawną równość obojga. Albo też porzucał wcale progi domowe, wyrzekał się zgoła pożycia familijnego i wypuściwszy grun-

ta folwarczne kmieciom, pobierając kiedy niekiedy tylko czynsz od nich, żył rzemiostem rycerskim, jako wolny ochotnik, wojujący bądź to pod sztandarami królewskimi, bądź pod chorągwią książąt ościennych za granicą, najczęściej w Węgrzech.

Jeśli w końcu smakowało mu bardziej życie domowe, natenczas oddawał się gospodarstwu, spędzał kmieci z ról dawnych, przyłączanych teraz do gruntów pańskich, polował na odyńce i sarny, szczwał chartami zające po polach kmiecych, wadził się z myśliwskimi sąsiady o granicę łowiska, a jeszcze częściej wyprawiał obyczajem litewskim sute biesiady. Obfitując osobiście w dostatek jadła, powtarzały się one z rozlicznych powodów i pod rozlicznymi nazwami nadzwyczaj często, trwały nieraz po kilka dni i miały ztąd nader wielką wagę w ówczesnem życiu domowem. Niekiedy też zaglądał nasz pan dworu nawet do karczmy i pijał tam, albo grywał w kostki z ubogą szlachtą i kmiećmi. Nie było w tem nic złego, gdy pan czynił to w własnej karczmie. Tylko zabawa w cudzej gospodzie przynosiła uszczerbek sławie szlacheckiej, a w razie burdy między kmiećmi i szlachtą przepadał basarunek za policzki od kmiecia.

W ogólności ścieliła się takiemu szlacheckiemu domatorowi równie łatwa droga do wyższych, jako też niższych szczebli życia społeczeńskiego. Rycerska ambicja wiodła z czasem do województw i kasztelanij; życie karczemne, gra w kostki, zwłaszcza z szulerami niemieckimi na zastaw ziemski, wyzuwała często i ze sławy i z dóbr dziedzicznych. Natenczas były pan wsi i dworu albo osiadał na zagonie szlachectwa chodackowego, albo, co nie daj Boże, wypuszczał z ręki ostatni kawałek ziemi i utraciwszy z nim prawo oręża, wzięwszy się do szynkowania piwa po miastach, stawał się włóczęgą, „gołotą”, „obdartusem”, niknął z rzędu szlachty krajowej. Naj-

szczęśliwsi z takich rozbitków ocalali swoje szlachectwo w zaciężnej służbie wojskowej, już to za granicą, już u dworu możnych panów krajowych, próżnej wprawdzie lustru szwaleryi ochotniczej, lecz chroniącej wistocie znaczną część szlachty od uronienia do stojności klejnotnej.

Wahał się zatem w ten sposób stan naszych panów dworskich pomiędzy niższą a wyższą warstwą narodu. Przenikały go ustawicznie z jednej strony wpływ modnej cudzoziemszczyzny rycerskiej, z drugiej miłe wspomnienie dawnej prostaczej staroświeckości. Była przecież pewna nowoczesna zasada, do której w takim wahaniu się obustronnem Ignął stanowczo możny „ziemianin” małopolski, t. j. zasada rozdzielnosci majątkowej, wprowadzająca w miejsce dawnej solidarnosci wielkich spółek herbowych, czyli rodów — wznoszenie się pojedynczych małych, cząstkowych rodzin. Wszechwładna niegdyś u Słowian i jeszcze po tę chwilę miła ubogiemu szlachectwu wielkopolskiemu pospólność dawna, uległa naprzód u Małopolan, a następnie u całego młodszego pokolenia wszystkich stron Polski surowej, rozumującej cenzurze. Zgadzała się z wynikią ztąd reformą prawodawstwa w Wiślicy, czyniono dawnemu obyczajowi spólnego życia zarzuty, które nawet dzisiaj mogłyby pod pewnym względem znaleźć zastosowanie.

„Taka pospólność — powtarzano za statutem Wiślickim — jest tylko macierzą rozterku a niezgody. Gdyż mając wspólnie zawiadować majątkiem, poruszają się bracia rodzeni częstokroć ku wzajemnej mierzącejce i kłopotom niemałym. Przez co gwoili uwarowania się zwady, a może nawet uszkodzenia żywota ubogiego, najlepiej bywa dla członków rodu, gdy żyją we własnych, osobnych domach, z przynależącą każdemu cząstką majątku, uczyniwszy rozdział pomiędzy sobą. Ubezpieczając tem spokój domowy, zyskiwa nadto każdy ojciec rodziny większy pochoł do pracy

i powiększania majątku, do naprawy gospodarstwa, do przywożenia pustych dotąd obszarów ku intracie i pożytkowi, podźwigania starych budynków, stawiania nowych, czemu wszystkiemu dawna pospólność stała wciąż na zawadzie. Cóż bowiem pomogły pracowitemu ojeu rodziny wszelkie starania, skoro po szczęśliwie dokonanej naprawie gospodarstwa, po przymnożeniu dochodów, mógł zgłosić się lada niedbały, zmułny a rozpuszczony w swojej roztropności bratanek i domagać się spółki, a w razie odmówienia, prześladować procesem. Z którego to powodu wielu ojców rodziny wciągało się od wszelkich ulepszeń imienia i od domów też budowania, zostawiając majątki w dawnem opustoszeniu.”

Mądrze więc ustanowił prawodawca, aby przeciw zaprowadzonemu raz rozdziałowi majątków, chociażby takowy nastąpił bez pozwolenia królewskiego, nie mogła być wnoszona żadna sprawa, ani protestacya sądowa, skoro reszta stryjców rodowych przez trzy lata i trzy miesiące zachowała milczenie. Jakoż korzystał ogół możniejszej szlachty małopolskiej z tej nowoczesnej ustawy i tworząc mnogie domy oddzielne, grodził coraz wyraźniejszy przedział między sobą a swoją uboższą bracią i ludem.

Te dwie ostatnie klasy, szlachta chodackowa i rzesza kmiecia, mieszkaly zwyczajnie obok siebie w obrębie właściwej wsi. Słyszac atoli o wsi XIV stulecia, musimy oddalić od siebie pojęcie wsi dzisiejszej. Dziś każda wieś jest prawie bez wyjątku rolniczą. Inaczej było w wieku XIV, kiedy rolnictwo stanowiło tylko jedną z wielu innych gałęzi gospodarstwa. Wówczas bywały wsie, które albo wcale nie trudniły się rolnictwem, albo za podrzędne poczytywały je zatrudnienie. Przy większej lesistości kraju miały osady, które wyłącznie żyły i opłacały się różnorakiem łowiectwem. Przy gęstych i bujniejszych łąkach i pastwiskach istniało wiele wsi, zajmujących

się jedynie pasterstwem, chowem koni, pszczelnictwem. Przy większej obfitości wód utrzymywało się wiele osad z samegoż rybołówstwa. Tylko niektóre wsie, acz coraz liczniej mnożące się, miały głównem przeznaczeniem rolnictwo.

To nadawało zapewne daleko więcej jeszcze różnaitości ówczesnemu życiu wiejskiemu, lecz wiele też smutnych ciągnęło za sobą następstw. Mianowicie dawał się czuć wynikający ztąd brak zapasów zbożowych. Wsie nie-rolnicze, wsie łowieckie, rybołówcze, pasterskie, tylko swoim własnym, albo pewnym ubocznym dogadzały potrzebom. Stosunkowa nieliczność wsi rolniczych, zwłaszcza w latach nieurodzaju lub wojen, bywała zwykle przyczyną, że produkowana przez nią ilość ziemiopłodów nie wystarczała życiu powszechnemu. Tej to właśnie okoliczności przypisać należy tak częste w onych czasach głody, drożyzny. Zresztą rolnicza, czy nie-rolnicza, kochała się każda wieś polska w wygodnem, przestronnem rozpostarciu się po przestrzeni. Według starosławiańskiego zamięłowania w szeroko rozrzuconych mieszkaniach tej jeszcze za czasów Jagiełłowych głównej między krajowemi a niemieckimi wsiami różnicy, składały się osady polskie z odosobnionych zagród, rozpostartych małowniczo po całej okolicy i jak za dawnych wieków pogaństwa stykały zawsze koniec jednej osady z początkiem drugiej.

Ztąd można było później dwie, a nawet trzy takie wsie połączyć snadnie w jedną, mieszczącą w swoich szeroko rozległych krańcach najróżnorodniejsze żywioły społeczne. Mieszkała tam drobna szlachta w swoich zagrodach szlacheckich, siedzieli wolni jeszcze kmiecie na łanach „kmiących”, tulili się pomiędzy niemi ubogie chaty ludzi służebnych i rzemieślników wiejskich. Pomiedzy zagrodami stały otworem niemiecko nazwane i niemiecko urządzone „karczmy, lub szynki, których, przy wolnem gdzieniegdzie prawie

wyszynku, bywało niekiedy bardzo wiele, czasem po 20 i 30 w jednej wsi. Na ustroniu wreszcie, nad wodą szumiał pośród zamożnych budynków i okopów nadzwyczajnie intratny podówczas młyn, wartujący nierzadko tyle, co cała wieś.

Pomiedzy mieszkańcami tych różnych zagród sielskich zachodziło temi czasy, pomimo widocznej zmiany na korzyść zamożniejszych, daleko bliższe jeszcze, niż później, powinowactwo. Jak z jednej strony szlachcie zagrodowy, byle nie zapomniał swego herbu i zawołania, mógł łatwo dostąpić swobód, „które przystoją dziedzicowi” i zostać z czasem „wielmożą”, a bywał nazywany tylko „rolnikiem”, „włościaninem”, tak z drugiej strony każdemu kmieciewi zamożniejszemu ścieliła się nietrudna droga do zaszczytu szlachectwa. Najpospolitszem było wielokrotne przez kmieci nabywanie sołtystw, które podobnie często przez szlachtę zakupywane, równały poniekąd obiedwie klasy mieszkańców, stając się dla bardzo wielu późniejszych rodzin szlacheckich jedynym tytułem szlacheckości. Nie mając zaś środków do nabycia sołtysostwa magdeburskiego, bywał kmieć „włodarzem”, czyli „polskim sołtysem” u pana dóbr na prawie krajowem osadzonym, który to obowiązek gospodarczy, nazwany niekiedy „ekonomstwem”, albo wójtowstwem, a pozwalający przybierać nawet tytuł „starosty” pańskiego, wiódł z czasem już to do adwokacyi, czyli wójtowstwa w mieście, już to do jednego z kilku rodzajów dzierżaw ówczesnych, kończących się zwyczajnie na wprowadzeniu potomków kmiecyh w poczet szlachty krajowej.

Ale nawet bez sołtysostwa i włodarstwa nie miał się kmieć pod względem pożycia towarzyskiego i wygod każdodziennych o wiele gorzej od szlachty średniej. Tak we wsiach magdeburskich, jako też polskich, używał on wszelkiej wolności rozporządzania swoim losem, a mianowicie swobody przenoszenia się

kiedykolwiek z miejsca na miejsce. W codziennych zatrudnieniach około domu i roli wyręczała go bardzo liczna w owych czasach ludność „najemna”. Zresztą, dzierżawiąc nie raz wsie całe od dziedziców, pijąc po przyjacielsku z kasztelanami, albo grając w kostki ze szlachtą karczemną, a z księdzem plebanem, dla przechowanej zwyczajnie w kmiecem gumnie dziecięcy snopowej, w przyjaznem żyjąc porozumieniu, zostawał kmieć na stopie pewnej prostaczej równości z bezpośrednio wyższymi nad sobą stany, nieodróżnionymi odeń zresztą ani subtelniejszem ukształceniem umysłu, ani o wiele świetniejszą powierzchownością. Naukowa bowiem ogląda, tak uboższej szlachty, jako też kmiecia, była zarówno żadna. Obaj chodzili w tym samym tołubie, sieraku, lub grubem suknie krajowem, dostarczaniem powszechnemu użytkowi nadzwyczajnie wielką liczbą fabryk i foluszów sukienych, wożonem przez kmieci, jako zwyczajny towar wiejski na targ do miasta, a produkowanem w związku z nierównie obfitszą, niż dzisiaj, hodowlą i strzyżą owiec. Często na rolniku za pługiem postrzegano w XIV wieku ślady nowej mody w ubiorze, upstrzonym szeroką barwistą czapką z długim kutasem i budzącym przeto zgorszenie moralistów onego czasu.

Chata wieśniacza nie miewała wprawdzie nigdy komina, rzadkiego podówczas w najzamożniejszych krajach europejskich, lecz codzienna strawa wieśniacza nie obchodziła się zwykle bez mięsa i dzbana piwa, a nawet uboższej klasie ludu, odbywającej robociznę na pańskiej niwie, wysyłano w pole na obiad „piwo, baraninę i chleb”, albo „piwo, wieprzowinę i groch”. Dla dogodzenia takim potrzebom codziennego podówczas życia wiejskiego miewała najzamożniejsza wieś swoje targi, swych rzemieślników, mianowicie: kowala, rzeźnika, piekarza, krawca i szewca, utrzymujących kramy z odpowiednim towarem. W tym względzie czasy mniejszej oświaty umysłu, a osobliwie,

czasy mniejszej liczby ludności, a tem samem większej ceny i wartości każdego życia i każdej ręki ludzkiej, były czasami daleko pomyślniejszej doli zewnętrznej, daleko troskliwszego pielęgnowania ciała. Dobry byt, pomyślność — jak to jeden z nowszych pisarzy słusznie nadmienia — były wtedy u nas więcej ogólne; dostatki były mniej kolosalne, ale sięgały więcej warstw społeczeństwa”.

I okazuje się to nietylko w Polsce, lecz w całym świecie ówczesnym. Nawet takich krajów dziejopisowie, gdzie dola niższych klas społeczeństwa zdaje się obecnie tak pomyślna, jak nigdzie indziej, widzą się zmuszeni do przyznania, że przed kilku wiekami była też dola o wiele fortunniejszą. „Smutno pomyśleć — mówi jeden z tych zagranicznych uczonych — że klasy rękodzielne, zwłaszcza trudniące się rolnictwem, mają dziś mniej środków do życia, niż w wiekach średnich... Jakoż sprawiłoby mi wielką pociechę, gdybym się mógł przekonać, że położenie uboższych warstw społeczeństwa rzeczywiście nie pogorszyło się.” Tymczasem wszelkie kombinacje porównawcze przeświadczały o przeciwności, a dalsza uwaga tegoż pisarza, iż w jego ojczyźnie ludność krajowa powiększyła się od onych czasów pięciokrotnie, podczas gdy ziemia odpowiednio potrzebie stosunkowej nie wydaje dziś pięć razy tyle, co niegdyś, rzuca niemałe światło pojaśnienia na przedmiot.

W Polsce, oprócz tej populacyjnej przyczyny, działała jeszcze przyczyna inna, uwydatniająca się z całego ciągu powieści naszej, widoma mianowicie od czasów układu koszyckiego, t. j. przyczyna powszechnego przeobrażenia społecznego na korzyść klasy możniejszej. Jeszcze długo wprawdzie istniały zabytki i wspomnienia szczęśliwszego niegdyś bytu ludności wiejskiej. „Podział posiadłości ziemskich, umiarkowane powinności, wolny ruch ludności rolniczej,

wielka liczba drobnych własności i wynikająca ztąd swoboda rolnictwa, sama wreszcie dziewiczość i bogactwo natury" — nie dawały przeważnie się naraz szali niepomyślności. Lecz z każdym dziesiątkiem lat wzmagająca się zmiana na gorsze. Zwłaszcza uzyskane przez szlachtę przywłaszczenie wszelkich obowiązków i danin kmiecyh, tudzież podobne zagarnięcie sądownictwa nad ludem w siółach niemagdeburskich, przyczyniło się najwięcej do zubożenia ludu rolnego. Dopełniła się miara niedoli zaborem ról włościańskich i osadzeniem na nich ludzi służebnych, przyczem zapewne nie jeden swobodny niegdyś kmieć dla pozostania na dawnej grzędzie przyjmował twarde warunki swego projektowanego następcy, zamieniał się w „chłopa” i wraz z potomkami swoimi na coraz gorsze odtąd narzekał czasy. I coraz liczniejsze tłumy uciśnionego ubóstwa oblegały odtąd w świątyni krakowskiej grobowiec Kazimierza W., a „gorącami łzami zimny kamień zlewając, przywoływały cienie opiekuna ludzkości ku swojej obronie.”

Nieco odporniej uległy temu smutnemu losowi wsie magdeburskie. W malowniczym obrazie różnorodnych siół owoczesnych był to jeszcze jeden nowy rodzaj osady wiejskiej, nacechowany odrębnym charakterem i wymagający osobnego tutaj wspomnienia. Najwydatniejszą właściwością prawdziwej, przez rodowitych Niemców założonej wsi teutońskiej, było skupienie siedlisk. Podczas gdy starodawna wieś polska zwyczajnie po szerokiej rozlana była przestrzeni, wieś niemiecka skupiała się w nierównie ciśniejszym, a przez to samo warowniejszym obrębie. Wynikając z właściwego tym kolonistom popędu do organicznej, towarzyskiej łączności, nadawało to ich osadzie pewną konsystencję i krzepkość, jakiej nie posiadała żadna wieś polska, wiązała je daleko ściślej w jedną silnie uorganizowaną gminę, niż ówczesne wsie nasze. Co do zewnętrznego widoku ciągnę-

ła się wieś teutońska jednym długim rzędem budynków, wznoszących się już to na wcale nowem karczowisku wśród lasu, już to na gruncie dawnej, opustoszałej wsi polskiej.

W pośrodku osady sterczał wysoki pał, w który przy zakładaniu kolonii wbijano tyleż kołków, ile lat swobody, czyli „woli” od wszelkich czynszów i obowiązków otrzymywali nowi mieszkańcy. Tamże stała zagroda sołtysa, który po upływie każdego roku w obecności całej osady jeden kołek wybijał z pała. Gdy już wszystkie wyjęto, stawał się sołtys poborcą pańskich i kościelnych dochodów, które dla dziedzica, zamiast polskich danin i robocizny, składały się z czynszu po kilka, najwięcej kilkanaście rocznych groszy od domu, dla plebana zaś miasto dziesięciny snopowej z małdratu i srebrnika. W razie popełnionego we wsi złoczynstwa, urzędowy poborca zgromadzał wiejskich ławników i w wysokiej szpiczastej czapce niemieckiej, z laską sądową w ręce, zasiadał pomiędzy nimi na trybunale. Według wyraźnego przepisu prawa magdeburskiego, winien on był przybierać na tenczas minę okrutną, „siedzieć jak lew rozsznoby, a prawą nogę założyć dumnie na lewą.” Z oznaczonej wyrokiem kary, czyli „winy”, dwie trzecie części szły zwyczajnie na rzecz dziedzica, trzecią brał sołtys.

Dzięki statutowi wiślickiemu, zastępującemu teutońskie pojedynki sądowe i próby boże dowodami nieposzlakowanych świadków, zniknął wprawdzie w mieszkaniach sołtysich coraz powszechniej dawny rynsztunek sądowniczy, jako to: miecze i kije do pojedynków, sztaby żelazne do rozżarzania w ogniu, woda wrząca, obręcze i tym podobne narzędzia męki. Natomiast uzbrajały się sęstwa magdeburskie nie rzadko tem chciwiej w kotły, patelnie, panwie, beczki, tudzież resztę naczyń „przydatnych do piwowarstwa”, i uwzględniając narodowe potrzeby i skłonności osad

teutońskich, mieścili zwyczajnie pod jednym dachem trybunał sprawiedliwości i browar z szynkiem. Nawet brzmiący z początku w tych osadach język niemiecki poszedł z czasem w niepamięć, a wprowadzone temi koloniami pijaństwo, według świadectw samych Niemców tak przeciwne dawnej trzeźwości Słowian, nie uległo żadnej zmianie miejsca lub czasu. Za wytrzebione przez kolonistów lasy i gaje, małopolskie rozkrzewiło się po całym kraju karczmarstwo i szynkownictwo...

Zbawienniejszy wpływ wywierała na okolice plebania. Był to drugi dwór, siedziba drugiego „pana” wsi. Przeciw właściwemu bowiem panu, czyli dziedzicowi osady, stawiały ówczesne pojęcia równego mu w niej „pana kościoła”, acz zwyczajnie był to tylko skromny, drewniany, ubożuchny kościółek. Owszem, czemże w porównaniu z księdzem, którego nazwa przez długie jeszcze lata w intytlacyach jak „Wielki Xiądz Litewski”, znaczyła tyle co książę, był ów rubaszny, kożuchem tehnący pan świecki! Pódezas gdy ten za pan-brat przestawał z kmieciem wolnym, pijał i grywał w karczmie, tamten, czczony i poważany od wszystkich, przodkował wszystkim i wszędzie, rozrządzał z Zawiszą Kurożwęcim koroną, albo stroniąc od dworu i spraw publicznych, rozmiłowany w życiu wiejskiem, panował dokoła sławą niezrównanego gospodarza, rolnika.

Właściwych spraw i obowiązków duchownych dopełniały w wieku XIV głównie niektóre zgromadzenia zakonne, jak np. Dominikanie i Franciszkanie. Ogółowi świeckiego, a nawet i zakonnego duchowieństwa należy się u nas między innemi i ta jeszcze zaleta, iż zwłaszcza pod jego ręką podniosło się gospodarstwo krajowe, mianowicie rolnicze. Jeśli uboższy pleban musiał żyć z dziesięciny i hojnych dochodów oltarzowych, tedy „pan kościoła” zamożniejszego, lub bogato w włości uposażony opat, zajmował się nie-

kiedy gorliwiej uprawą ziemi, niż dusz. Gdy świecki gospodarz onych czasów gospodarzył ladajako starodawnym zwyczajem, dbającym raczej o myśliwskie „łowisko”, o stadninę, o czynsz kmiecy — duchowny gospodarz XIII i XIV wieku, człowiek uczony, przejęty nowoczesną myślą podniesienia gospodarstwa rolnego, oddający się z pewnym rodzajem entuzjazmu praktyce tego pomysłu i nieskończenie z tego względu zasłużony krajowi, wierzył przede wszystkim w radło, pług i motykę. Patrzac tedy obojętnie na ponęty ambicji dworskiej, na cierniową drogę mądrości i sławy szkolnej, służył on — jak kronikarz o jednym z prałatów ówczesnych pisze — „za wzór staranności światowej, i całą duszą trudom rolnictwa oddany, w tuczności gleby i rosie nieba szukał błogosławieństwa.”

Jakoż łatwiej mu to przychodziło, niż ziemianinowi świeckiemu. Tak bowiem sam zawiadowca kościoła, jako też kmiecie duchowni, byli z „prawa kościelnego” wolni od wszelkich służebności publicznych, mianowicie od obowiązku wojny, nawet od pospolitego ruszenia przeciw Tatarom. Ta swoboda stała rolnictwu duchownemu za żyzną glebę i hojną rosę, gdyż łagodniejsza z tej przyczyny dola poddanych kościelnych przysparzała gospodarującemu duchowieństwu najpotrzebniejszego w gospodarstwie żywiołu, t. j. rąk ludzkich, osadników. Chętnie zaluźniał kmieć ówczesny dobra kościelne, zbiegał nawet do nich z dóbr świeckich, a skoro jeszcze który z przemyślniejszych gospodarzy duchownych pozwolił sobie, jak jeden z późniejszych arcybiskupów lwowskich, „zwabiać kmieci” do swoich włości, garnęły mu się zewsząd tłumy ludu pracowitego.

Natenczas za rozliczne dogodności, jakie odnosił poddany dóbr kościelnych, mógł pan duchowny pociągnąć go nawet do ściślejszego, niż gdzieindziej, pełnienia obowiązków służebnych. Przynajmniej w takich

to duchownych układach z nowymi osadnikami zdarzają się najwcześniejsze wzmianki o pewnej stale uregulowanej robociznie, o poszczególnych daninach i daremszczyźnie. W jednym miejscu wymawiało sobie duchowieństwo od kmieci po 1 dniu robocizny w lecie, a 2 albo 3 dni w jesieni. Gdzieindziej obok czynszów i osepów dziesięcinnych, żądano już pewnej liczby kurcząt w dodatku, stanowiono powinność kilkakrotnych co roku podwód do miasta. Szczęśliwym trafem przechował się z wieku XIV inwentarz danin i robocizny kilku wsi polskich, należących niegdyś biskupstwu lubuskiemu. Ułożony w ostatnim roku po- mienionego stulecia, jest to zapewne najdawniejszy u nas pomnik tego rodzaju. Owoż, opisując jedną wieś duchowną w Sandomierskiem, dzisiejsze Jałowej, prawi inwentarz:

„Jałowas ma łanów 21. Z tych 2 należą do sołtystwa, z których sołtys winien odbywać służbę na koniu wartości 3 grzywien. Czynszu płaci kmięć każdy 30 jaj. Tudzież 2 sery. Tudzież 2 kury. Stacy królewskiej płaci kmięć każdego po 4 grosze, ilekroć król zjedzie do Opatowa. Tudzież 3 ćwierci owsa, 2 kury, 2 sery i 10 jaj. Tudzież winien kmięć każdy obrobić na zimę pod 2 miary pszenicy, albo jęczmienia i obsiać ziarnem biskupiem; tyleż na lato. Tudzież winien kmięć każdy pracować 2 dni około zbioru oziminy. Tudzież 2 dni około zbioru jarzyny. Tudzież winien pracować 2 dni około siana. Tudzież 2 dni w rybakach. Jest też karczma, płacąca 22 skojców czynszu. I ma też biskup roli 2 łany, opłacające dziesięcinę, i ogród i rybnik. Jest też w Jałowasie włościanin jeden, który na teraz z 2 łanów płacić winien 2 grzywny bez 1 kwartnika (8 denarów). Summa czynszów 4 grzywny i 3 wiardunki. Summa opłat za stacye 1½ grzywny i 4 grosze. Summa za stacye 19 korcy owsa. Tudzież 28 kur za stacye. Tudzież 9 kop i pół kopy jaj. Tudzież 28

serów i 28 kur. A dziesięcina biskupia warta 28 grzywien.”

Gdy młode pokolenie powieści naszej zestarzeje się, nabędą podobne inwentarze duchowne jeszcze więcej rozmaitości, z coraz liczniejszymi szczegółami dania i robót. Natenczas w pierwszej połowie XV stulecia, jak z podobnegoż wiadomo inwentarza, kmiecie w Kaszowie „płacą pół grzywny czynszu, dają po 12 jaj, 4 kapłony, 2 sery, odrabiają *jutrzyiny* w Piekarach i obowiązani są zorać, zasiać, zebrać i zwieźć. Zagrodnicy zaś płacą czynszu 6 groszy, robią 2 dni na tydzień, dają kapłony, jaja, sery, dorabiają jeszcze po 2 dni ciągłe, obowiązani są w początkach żniw użąć każdy kop 5, poczem aż do Bożego Narodzenia robią 3 dni około oziminy. Zre- zztą wożą 3 dni siano i inne rzeczy do miasta, a nasuwają się *dworscy*.” Wespół z takimi zagrodnika- mi ciągłymi pracują kościołowi jeszcze pie- szacy i przychodzą mu w pomoc różne nadliczbo- we rodzaje robocizny, czyli tak zwane *powaby* i *oprawy*.

Przy tylorakim zasiłku uprawiał pan duchowny lub jego „wojski” z wzorową pilnością grunty ko- ścielne, siał zdawiadawna jarzynę i oziminę, używał rozmaitych narzędzi gospodarskich, jako to pługów, półpługów, radeł, bron, motyk i t. p., zapuszczał umiejętnie ugory, dbał o należyty pognój, gospoda- rzył w 3 pola. Zebrana szczęśliwie krestencya bywa- ła w czasach niebezpiecznych przechowywaną w refe- ktarzu i tamże bezpiecznie wymłacała się. Nagroma- dzone z danin kury i jaja sam gospodarny pan, uprze- dzając w tem późniejszego poetę filozofa z Sanoka, areybiskupa lwowskiego, Grzegorza, własną przeliczał ręką. Tak drobiazgowy nadzór skupiał w dobrach duchownych niezwykajne w onych wiekach dostatki i zapasy. Już stem i kilkudziesięcią laty przed wy- padkami naszej powieści, a zatem w czasach nie-

skończenie mniejszej uprawy i zamożności gospodar-
czej, można było jednym nieprzyjacielskim napadem
na folwarki biskupie uprowadzić po 475 koni, 575
wołów, 1,176 krów, 3,174 owiec, 1,260 wieprzów.
„O cieleńta — prawi wydany z tego powodu wyrok
polubowno-sądowy — nie chcemy wcale się upo-
minąć.”

Było więc z czego, za przykładem ówczesnych
arcybiskupów gnieźnieńskich, wysyłać poćcie słoniny
okrętami za morze i ładować szkuty pszenicą. Jaka
„zdawierendawna” płynęła Wisłą do Gdańska. Kto
w odleglejsze strony handlować nie chciał, temu na
miejscu w Krakowie płacono temi czasy korezyk
pszenicy po złp. dzisiejszych 7, żyta po 5, jęczmie-
nia 4, owsa 2. Para koni kosztowała 400 złp., para
wołów roboczych 100 złp., cieleń tuczne 6, prosię 2,
kapłon i para kurcząt 1 złp., para jaj 1 grosz, gar-
niec masła około 5 złp. Przeciwno takim, coby ten
towar gospodarski przywłaszczyć sobie chcieli bez
targu, przeciw złodziejom i pogranicznym najeźdź-
com, pozwalały przywileje książęce budować we
wsiach kościelnych zamki warowne, śpichrze ufortyfi-
kowane.

Wszakże chociaż gdzieś przypadkowo od łotrzy-
ków stała się szkoda, wynagradzało się to rozle-
głością przedsiębiorstw ekonomicznych. We wszy-
stkich gałęziach przemysłu ziemiańskiego panowała
pod ręką gospodarzy duchownych trudna do opisania
skrzętność i pracowitość. Tam mniej użyteczne osa-
dy kmiecie zamieniano w folwarki dworskie, albo osa-
dzając kmieci w folwarkach, przeistaczano je we
wsie. Owdzie dla zapobieżenia wylewom, dla rybni-
ków, dla lepszego rozgraniczenia, kopali gospodarze
duchowni nowe koryta rzekom, mianowicie bystrej Wi-
śle koło Staniątek. Wszędzie zaprowadzano winnice.
Chcąc umiejętniejszych przysposobić sobie włodarzy,
utrzymywano nawet jakieś szkoły wieśniacze, w któ-

rych młodzież uboga od starych kmieci pobierała nau-
kę wiejską.

Gdziekolwiek skutkiem burzy wojennej lub z in-
nych przyczyn wyludnione zostały wsie, opustoszało
całe pole, tam przyzwany w pomoc rządcą duchowny,
jak np. poznański kanonik Szczepan w 24 wsiach bi-
skupstwa wrocławskiego nad Prosną koło Kępna przy-
wracał uronioną intratę. Zmarły niedawno arcybiskup
gnieźnieński, Jarosław, zastał w kluczu łowickim
wszelkiego dochodu 1 grzywnę, a po latach dwudzie-
stu kilku niósł Łowicz 800 grzywien, nie licząc w to
czynszów w ziarnie. Zasługa tak pomyślniej ameliora-
cyi odpłacała się zarządcom cudzych dóbr, jak np.
owemu kanonikowi poznańskiemu, Szczepanowi, po-
łową przyrobionego dochodu. Lepiej zagospodarowa-
ne dobra bywały dzisiejszym sposobem wydzierżawia-
ne księdzu przez księdza.

Pozostał nam formalny kontrakt dzierżawny, za-
warty w r. 1264 między biskupem kujawskim, Ma-
ciejem jurysdatorem, a owym arcybiskupem Jarosła-
wem dzierżawcą. Za 40 grzywien rocznego czynszu
wypuszcza biskup biskupowi na lat 13 wszystkie swo-
je wsie w kasztelanii Łagowskiej. Wypłata dzieje się
regularnie w święta Bożego Narodzenia. Szkody z gra-
dobicia i napadów wojsk zagranicznych, osza-
cowane przez sędziów polubownych, ponoszą w ró-
wnej części strony obiedwie. W razie wygnania ju-
rysdatora (przez sąsiednich Krzyżaków) z innych dóbr
biskupstwa kujawskiego, ma dzierżawca za słusznem
wynagrodzeniem ustąpić ze swojej dzierżawy. Przy
ekspiracyi kontraktu należy dobra wydzierżawione
zwrócić w tym samym stanie, z tym samym inwenta-
rzem, z ozimym i wiosennym zasiewem, jak je objął
dzierżawca. Zresztą, ilekroć jurysdator przejeżdżał
będzie przez dobra kasztelanii Łagowskiej, winien
dzierżawca podejmować go z całym dworem przez dni

trzy albo cztery. — Oprócz wspomnianego powyżej układu „do połowy” przyrabianych dochodów, oprócz wyszczególnionego tu kontraktu o pewnym stałym czynszu corocznym, zdarzał się jeszcze pewien rodzaj dzierżawy, czy raczej rządu „do rąk wiernych.” Jednym z takich zarządców gospodarskich był w dobrach królewskich ziemi krakowskiej za sławnego króla gospodarza, Kazimierza, teraźniejszy arcybiskup Bodzanta, zapewne lepszy gospodarz, niż statysta.

Za najlepszy jednakże dowód wzorowego gospodarowania duchownych mogą posłużyć zbierane przez nich skarby pieniężne. Bez uwłaczania różnym innym źródłom dochodów, płynęło bardzo wiele gotowizny z samegoż gospodarstwa. Wydobyta z ziemi, wkładano ją znowuż w ziemię, w zakupno dalszych włości, zwłaszcza dogodnie położonych przysiółków. Po między niewielką piśmiennymi zabytkami ekonomiczno-finansowych czynności onego czasu jakże wiele dokumentów poświadcza nam takie coraz szersze rozpowszechnianie się dóbr księży! Ileż podobnych dokumentów pozostało po jednym biskupie kujawskim Gerwardzie, poprzedniku owego jurysdatora Łagowszczyzny! Rok w rok zakupuje on i nabywa różnymi sposobami coraz nowe wsie i obszary. Zaledwie w r. 1301 nabył dwie wioski darem, a 3 zamianą, już od r. 1306 do 1312 przysparza on biskupstwu je dną „przez pana Boga”, a 6 nowych zastawem, w dalszych zaś latach 15 wchodzi w posiadłość 20 świeżych włości, uzyskanych bądź to drogą procesu, bądź kupnem, bądź zastawem. Po tylu jego nabytkach pozostały przypadkowo pamiątki dokumentowe; ileż innych bez żadnego minęło śladu! Bo też Kujawy, ojczyzna biskupa Gerwarda, a w ogólności Wielkopolska, to najdawniej zaludniona, najwcześniej politycznie uorganizowana, najlepiej uprawnna część kra-

ju, także w gospodarstwie wzorowym przodek trzymała.

Wszakże i w lesistszej, pasterskiej Małopolsce nie zbywało na przykładach również szczęśliwego do-robku gospodarskiego. Cóż za szacowną w tej mierze pamięć pozostawił wzmiankowany już dawniej proboszcz miechowski, Stanisław, skupujący zwolna wszystkich mniej zamożnych sąsiadów, wydzierdzicający ubogą szlachtę w Brzuchani. Właśnie w czasach przybycia Jadwigi wyprzedają mu się tamże ze swoich części rodzeni bracia, Stanisław i Mieczysław. Mało co później zbywa mu swoją część szlachetny Mikołaj, przezwany Mączka. Wkrótce czyni toż samo Jakób, hardego przezwiska Sobie-pan. Po niedługim czasie płaci proboszcz sześciu innym braciom 100 grzywien za nowe kupno, wylicza później komu innemu 60 za coraz dalsze nabytki, a w właszczywszy się tym sposobem w całą prawie Brzuchanię, wkupuje się następnie w pewne części w Pstroszycach, Lgocie, Falniowie i t. d. Ale choćby całą Miechowszczyznę zakupił, jakże daleko mu jeszcze do reszty zamożniejszych panów duchownych, a cóż dopiero do pana, jak arcybiskup „św. cerkwi gnieźnieńskiej”, któremu już przywileje Kazimierzowskie wyliczają około 250 różnych miast, wsi, folwarków i t. d.

Niepróżno więc na równi z panem wsi stawiano „pana kościoła”. Trafiły go wprawdzie różne nieuchronnie z fortuną połączone kłopoty. Chłopi przyległych wsi, osadzonych na prawie polskiem, zazdroszcząc swobodniejszego bytu swoim sąsiadom kościelnym, ciągnęli z nimi niezgodą, ciągłymi gwałtami i burdami rozpędzali mu kmieci. Czy to dwór królewski w przejeździe, czy rycerstwo krajowe w pochodzie wojennym, czy wreszcie nieprzyjaciół grasujący po kraju — wszystko cisnęło się tłumnie w kopce bogatych włości duchownych po hojne przyjęcie, wygodne leże, obfitą łupież. Dobroczytna przecież swo-

boda, przyswieceająca siołom kościelnym, goiła z łatwością każdą ranę zadaną, zapełniała bujnym wkrótce, porostem każdą szczerbę zniszczenia, a gdybyśmy byli z naszą młodocianą Jadwigą spojrzeli w podróży po Małopolsce na jej nieuprawne ziemie i sioła, najpiękniejszym zapewne widokiem byłyby nas zajęły liczne włości rozległego biskupstwa krakowskiego.

Gdzieniegdzie w długiem paśmie tych fortunnych posiadłości duchownych, jakby dla okazania nieustępującej nikomu wszechpotęgi ich panów, wznosił się wspaniale istny zamek kościelny — klasztor warowny. Główną bowiem cechą ówczesnych gmachów klasztornych była ich wojenna obronność. „Klasztory polskie służą zarówno ku wygodnemu pomieszczeniu pobożnych, jakoteż ku obronie mieszkańców” — prawi jeden z uczonych biskupów polskich. Wszędzie też krzyż zbawienia jaśniał w nich z pomiędzy baszt i wałów warowni. Jak opat Tyniecki nazywany był niegdyś „opat stuwsioły”, tak konwent Franciszkanów i Klarysek w Sieciechowie, to przedmurze przeciwko Litwie i Ordzie, „dwunasto-basztowym” zwał się klasztorem. W tychże samych stronach leżący klasztor w Przeworsku, najeżony był od samego nastania prochu i armat rzędem ogromnych dział, moździerzy i tym podobnych machin śmiertelnych.

„A jeśliby się zdarzyło — czytamy w buli papieskiej do przeorów przeworskich — iżby bracia zakonnici, broniąc się od nieprzyjaciół, strzałami ze swoich bombard kładli niekiedy trupem wrogów pogańskich, lub nawet zglądali ze świata Chrześcijan, przewodniczących poganom i dopuszczali się przeto wykroczenia przeciw regule swego zakonu i powołania — natenczas dyspensa papieska nakazywała prowincyałom rozgrzeszyć poniewolnych przelewców krwi. Śród częstego zaś huków bombard klasztornych musiały milczeć Muzy. Nadzwyczajnie też mało zabytków i świadectw uczoności klasztornej przeszło z onych

czasów do naszej wiedzy. Podczas, gdy cała prawie średniowieczna literatura krajowa urosła pracą świeckiego duchowieństwa, zwłaszcza bliższych dworowi dostojników kościelnych, gdy zakonne duchowieństwo klasztorów zagranicznych tyle pomników uczoności przekazało wiekom późniejszym, po naszych Benedyktynach i Cystersach XIV stulecia pozostały tylko małoznaczne zapiski kalendarzowe.

Bardziej więc oku podróżnika, niż chciwemu nauki umysłowi imponowały ówczesne gmachy klasztorne. Zresztą dopiero nad Wisłą, wzdłuż całego jej biegu, rozwijał się okazały łańcuch starożytnych klasztorów jak: Tyniec, Mogiła, Staniatki, Koprzywnica, Zawichost — przednie czaty dalszych Sieciechowów, Andrzejów, S-to Krzyżów, Wąchocków, Łędy, Mogiln i t. d. Oko wjeżdżającej od Tatr do Małopolski Jadwigi spoczęło chyba na Staro-Sandeckim klasztorze Franciszkanek, nie dosięgając opustoszałej właśnie temi czasy siedziby Cystersów w Szczyrzycu. Bliższą wewnątrz klasztornych znajomość powieźmie dostojna córka Ludwika w Krakowie u Franciszkanów, gościennych gospodarzów jej schadzek z miłym gościem rakuskim. Tamże i my nieco dokładniej klasztornemu przypatrzemy się życiu.

Teraz społem z Jadwigą spieszyć nam do Krakowa. W miarę, jak młodociana królowa zbliżała się do stolicy, zajeżdżali jej drogę wszyscy znaczniejsi urzędnicy korony i łączyli się z dworem wędrownym. Zanim mieszczaństwo krakowskie wyszło z powitaniem naprzeciw niemu, otoczyli Jadwigę świetnym tłumem wszyscy owi wojewodowie, stary Rożyc Dobiesław, młody Spytek z Melsztyna, Jaśkowie z Tęczyna i z Tarnowa, Mikołaj Ossoliński, Krzesław z Chodowa, Sędziwoj z Szubina i wszystka reszta. Znamy ich już po większej części, jako działaczy w tym przemijającym zbiegu wypadków, którego ostateczną wynikłością stał się właśnie przyjazd młodej króle-

wny. W niniejszym poglądzie na społeczne onych czasów pożyte, godzi się poznać ich jeszcze w codziennym charakterze urzędników krajów.

Cała południowa część Małopolski między Karpatami a Wisłą dzieliła się na dwie równoległe od północy ku południowi rozpostarte połowy, to jest na województwa krakowskie i sandomierskie. Zachodnie, krakowskie województwo, graniczyło jeszcze dalej ku zachodowi, z hołdującym czeskiej koronie Śląskiem, który swojemi księztwami: Oświęcimskiem, Zatorskiem i Siewierskiem, wpierał się głęboko aż pod sam Kraków w granicę małopolską. Wschodnie, sandomierskie województwo, stykało się dalej ku wschodowi, wzdłuż biegu rzeki Jasiółki, w okolicach Jaślik, Dukli, Rzeszowa z Rusią Czerwoną. Przed siedmią laty węgierskimi przez króla Ludwika obsadzona urzędnikami, zostawała ona dotychczas pod temi rządami i rządami, mianowicie pod owym teściem wojewody krakowskiego Spytka z Melsztyna, *wajdą* Emerykiem, władającym na Rusi w imieniu starszej córki Ludwika, królowej Maryi.

Każde z tych dwóch województw zawierało w sobie kilka pomniejszych okręgów, nazywanych niegdyś kasztelaniami, a teraz jużto „sądownictwami,” czyli sąstwami, jużto „powiatami” albo „ziemiemi.” Okręgi tem ostatniem uczczone mianem stanowiły pewną znaczniejszą, niezawisłą od ogółu województwa uorganizowaną całość. Taką np. była teraz pierwsza przed Jadwigą otwierająca się ziemia Sandecka, słynąca niedawnemi czasu jako „księstwo Sandeckie,” zaludnione handlowym traktem węgierskim i za możnem miastem tegoż nazwiska. Urzędujący w tych ziemiach, powiatach i województwach dostojnicy koronni, oficyaliści publiczni, uważani odrębnie od urzędników władzy kościelnej i miejsko-magdeburgskiej, byli egzekutorami dwojakiego prawa, t. j. „grodz-

kiego czyli starościńskiego,” które służyło królowi, i „ziemskiego,” które przynależało szlachcie.

W takim bowiem rozdzieleniu na „prawo królewskie czyli grodzkie inaczej starościńskie” i prawo „ziemskie” pojmowano „wszelkie prawo królestwa polskiego.” Pierwsze obejmowało główne królewskie prawo sądownictwa karnego, tudzież prawo dochodów z dóbr królewskich i pewnych danin od ludu. Urzędnikami tego prawa byli kasztelanowie i starostowie. Mianowicie wszyscy kasztelanowie i niektórzy z starostów t. j. starostowie na grodach osadzeni czyli grodowi, sądzili cztery najpospolitsze podówczas zbrodnie, w szczególności: gwałt niewieście zadany, rozbój na gościńcu, pożogę i najazdy na dom. A ponieważ te złočynyństwa bez względu na wszelkie inne w kraju bieżące prawa i zwyczaje sądowe zawsze tylko krajowem, polskiem sądzone bywały prawem, przeto otaczał naszych kasztelanów i starostów urok narodowych w pełnem znaczeniu sędziów i urzędników. Oprócz tego pobierali oni na rzecz skarbu dochody z dóbr królewskich, jakoto: wszelkie czynsze, podatki, daniny i t. p. Reszta starostów, tak zwani tenutaryusze, pełnili jedynie obowiązek poborców, za co wynagradzały wszystkich dochody z uprawy roli skarbowej, z sądów i młynów, „bez naruszenia czynszów i pożytków królewskich.”

Najstarszym z kasztelanów i starostów grodowych był kasztelan stołeczny czyli „pan krakowski,” który jako właściwszy reprezentant króla w charakterze sędziego i pana ziemi trzymał przedek całą resztą świeckich urzędników koronnych. Wszyscy starostowie tenutaryusze mieli nad sobą generalnego starostę czyli Wielkorządcę ziemi krakowskiej. Takimi więc urzędnikami królewskimi czyli sędziami karnymi i zawiadowcami dochodów królewskich mamy znać owych kasztelanów na Sandomiarzu Jaśka z Tarnowa, na Wojniczcu Jaśka z Tę-

czyna, na Wiślicy Mikołaja Ossolińskiego, na Sączu, Krzesława Poraitę z Chodowa, tudzież ich przełożonych, „pana” i wielkorządcę krakowskich, Dobiesława z Kurożwęk i Sędziwoja z Szubina.

Obok nich jako egzекutorowie „prawa ziemskie” urzędowali sędziowie i podsędkkowie, podkomorzowie i wojewodzi. Z tych pierwsi sądzili sprawy ziemskie; drudzy rozstrzygali spory graniczne, stanowiące w obecnem przejściu od dawnej wspólności majątkowej do nowszego porządku osobnych działów nadzwyczajnie ważną część sądownictwa. Wojewodowie nareszcie dzierżyli niejako ster wszystkich najwyższych prerogatyw narodu szlacheckiego, t. j. prerogatyw sądzenia się w sprawach ziemskich, sejmowania i wojny. Gdyż i wojna, jako dawniej wspomniano, nie uchodziła za ciężar, lecz poczytywała się za przywilej, a ustęp starego statutu Kazimierzowskiego, obowiązujący szlachtę osiadłą do pewnej służby wojskowej, dodawał wyraźne zastrzeżenie, „byłe dobra takiej szlachty były zupełnie wolne, na prawie szlacheckiem ustanowione i żadnej służebności nie podległe.”

Zaczem stosownie do swego starożytnego nazwania wiedli wojewodowie woje czyli zbrojne rotyszlacheckie prowincyi, przewodniczyli sądom ziemskim, mianowicie podkomorskim, i składali zjazdy obradne, sejmy ówczesne. Takim znakomitym dostojnikiem był w województwie krakowskiem z dziada pradziada nasz młody Spytek Melsztyński. Jeden z jego „stryjców,” rodzony brat kasztelana sandomierskiego Jaśka, Spytko z Tarnowa, piastował w czasie przybycia Jadwigi podkomorstwo krakowskie, połączone niekiedy pod nazwą „marszałkowstwa” na przód z podkomorstwem nadwornem, które zwyczajnie przynosiło łaskę i zaufanie królewskie, następnie z urzędem sędzi w żupach krakowskich, który bogatą czynił intratę. Niemniej zamożnymi od

obudwóch wymienionych tu Leliwitów byli też inni urzędnicy koronni, a gdy przed ośmiu laty król Ludwik podjął pamiętą przeciw Litwie wyprawę, teraźniejszy sędzia krakowski Drogorz z Chrobrza Toporczyk wyprowadził w pole jedną z siedmiu chorągwi swowego herbu.

Trzeci nareszcie, najbliższy osobie królewskiej stopień zajmowali urzędnicy nadworni, jakoto: kanclerz i podkanclerzy, zwykle duchowni; marszałek, podskarbi, miecznik, chorąży, podstoli i podczaszy. Urząd kanclerski trudnił się, jak wiadomo, wydawaniem aktów i dokumentów. Marszałek czyli jak go pierwotnie nazywano inaczej „podkomorzy” nadworny, sprawował rządy całego dworu, a ponieważ do ogółu ludności dworskiej należały także zaciężne hufce zbrojne, więc bywał on także wodzem hufców królewskich. Podobnież wojenny charakter miało chorąstwo i miecznikowstwo. Przy uroczystościach dworskich nieśli obaj miecze i chorągiew przed królem. W czasie wojny miecznik hetmanił niekiedy całemu wojsku na chorążego zaś koronnego zapatrywali się chorążowie wszystkich ziem i województw, przewodnicząc obok wojewodów pomniejszym hufcom herbowym.

Podskarbi przechowywał „złoto i srebro czyli floreny i grosze,” strzegł klejnotów koronnych i trzymał pod kluczem zbiór dokumentów koronnych. Podstoli naostatek z podczaszym, pełniący przy uroczystościach dworskich, jużto osobiście, jużto przez swoich zastępców, stolników i cześników, ceremonialny u stołu królewskiego obowiązek z misą i czaszą, byli właściwie wraz z ówczesnym łowczym i koniuszym koronnym szafarzami wszystkich kuchennych, piwnicznych, myśliwskich i stajennych potrzeb dworu królewskiego. W tym celu jak np. panowie całe niekiedy wsie osadzali wyłącznie na służbie i dochodach bartniczych lub łowieckich, tak też król z swo-

jej strony nadawał panom możniejszym niektóre dobra królewskie z obowiązkiem dostarczania z nich potrzebnej dworowi miary zapasów w ziarnie, mące, mięsie, napoju, zwierzyńie i uprząży. Stanowiło to zwyczajnie tylko małą część dochodów dóbr wydzielonych, którą przez wyznaczonych ku temu zastępców odstawiano dworowi, podczas gdy cała reszta intraty płynęła na rzecz samych podstolich, podczaszych, łowczych, koniuszych, odnoszących w ten sposób z urzędów swoich i zaszczyt znakomity i pożytek niemały.

Jakoż nie było żadnego urzędu bez pożytku. Do późniejszych czasów mieli wszyscy wyliczeni urzędnicy „pewne dochody coroczne... zapewnione im zdwandawna bądźto w ziemiach nadanych, bądźto w żupach i mytach, bądź nareszcie w pewnych innych poborach.” Najznacniejszą atoli korzyść pieniężną mieli urzędnicy ówczesni z sądownictwa, karzącego wtedy wszelkie przestępstwa i zbrodnie „winami pieniężnymi, któremi z uszkodzonym dzielił się sędzia. A każdy z urzędników był sędzią. Należało to do charakterystycznych cech wieku. W czasach kiedy wymiar sprawiedliwości nie opierał się na jednej powszechnej zasadzie, jednym powszechnym pojęciu prawa, lecz zależał od tysiąca różnorodnych, różnostanowych, w żadnym ogólnym kodeksie nie zcentralizowanych zwyczajów, potrzeba było sędziom znać przedewszystkiem *zwyczaj* każdego stanu. Zaczem szło, iż powszechnie tylko swój swego umiał sędzić i rzeczywiście sędził. Ztądto niezmienna różnaitość praw i przepisów sądownictwa średniowiecznego. Za granicą uskarżano się, iż często z pięciu razem idących podróżników każdy innego słuchał prawa, a w Polsce innem prawem sędził się Niemiec, innem zaś Polak; inne prawo służyło duchownym, inne świeckim; innemu podlegał szlachcic, innemu mieszczanin, innemu kmieć różne prawo mieli bar-

tnicy, różnego — prawi z oburzeniem pisarz XV stulecia — używają i nadużywają młynarzel!

Miał więc sędzić kogo i sędził kasztelan i wojewoda, sędzia i podkomorzy, starosta i marszałek, nawet kanclerz i podkanclerzy. Wynikająca ztąd mnogość sędziów była tem większą, ile że każdy z tych panów sądowych wyręczał się jednym lub kilkunastu zastępcami, przeciw którym zbytniemu nadmiarowi osobne ogłaszano ustawy. Niezwyczajna zaś wielość sędziów pociągała za sobą dziwną różnaitość przysługujących im nazw. Bywali tak zwani „sędziowie kasztelańscy,” w miejscu sędziów, podsędków i starostów sędzili ich „komornicy.” Od czasów króla Kazimierza zasłynęli na krótki czas osobni egzekutorsowie wyroków kryminalnych zwani „oprawce.” W takim zamęczeniu musiał niejeden stosunek po niedługim czasie zmienić się i przekształcić. Doznał tego osobliwie urzędowy charakter kasztelanów. Przy coraz większej liczbie starostów grodowych przeszło sądownictwo kasztelańskie w ręce tych nowych urzędników. Zyskały na tem strony obiedwie. Starostowie wzbogacili się dochodami sądownictwa przywłaszczonego; kasztelanowie otrzęśli się z charakteru sądowych służebników królewskich, postąpili w świetniejszą sferę urzędników ziemskich, i zbliżywszy się tam do wojewodów, mających odtąd w kasztelanach niejako zastępców swoich, mogli z sędziów gardłowych postąpić na senatorów, radę królewską. Co nim ostatecznie utrwaliło się, nastąpiła wprzód najpierwszem tej przemiany następstwem powszechna niepewność tak co do właściwego zakresu działania kasztelanów jakoteż co do samej ich nazwy. Każdy z otaczających teraz Jadwigę „panów” grodowych jak np. najbliższy granicom węgierskim Krzesław z Chodowa, bywał kilkakrotnie rozmaicie tytułowany. W aktach nazywano go zwyczajnie kasztelanem sandeckim; w tym samym czasie podpisuje się on „generalnym sędzią

ziemi sandeckiej"; gdzieindziej kasztelan sandecki mianuje się „komornikiem sandeckim”, a w pojęciu codziennem zamiast „kasztelan” mówione zwykle „starosta”.

Pewniejszą rzeczą niż tegoczesna kasztelanów intytulacja okazuje się narodowa, staropolska zewnętrzność, powierzchowność wszystkich zgromadzających się obecnie około Jadwigi urzędników. Były to też same imiona, też same harde umysły, które świecą w dziejach wieków późniejszych. Wespół z nazwiskami znanych nam już „bronnych panów i czestniów” Tarnowskich, Tęczyńskich, Ossolińskich, Kmitów, Gorajskich, występujących na przedniej scenie historii, brzmiały w towarzyszącej im drużynie ziemian niejednokrotnie spóczesne imiona panów Rejów, Wężyków, Baworowskich, Konopków, Sobolewskich, i mnogiej innej szlachty późniejszej. Wyglądali oni zapewne o wiele rubaszniej i kożuszniej niż później; nie jeden z tych tułowów łasicznych, w jakich występowali zwyczajnie wojewodowie i kasztelan, kunich, jakie służyły sędziom, lisich, jakie z prawa przynależały podsędkom, pochodził z płat sądowych; wszakże pod temi surowo egzekwowanemi kożuchami czuwało równie surowe i bogobojne sumienie.

Toż jako ostatni rys fizygnomii tych z dworem Jadwigi łączących się teraz panów koronnych przypomni tu przykład prawości publicznej, dany w tym właśnie czasie przez wojewodę mazowieckiego Andrzeja Ciołka. Książę mazowiecki Janusz, przyjaciel naszej Jadwigi, zapozwał był niejakiego Andrzeja Rzeszotkę u sądu ziemskiego w Czersku o zwrot niektórych posiadłości. Pozew książęcy był zewszecmiar niestusznym. Rzeszotko żył w śmiertelnej nieprzyjaźni z wojewodą mazowieckim Andrzejem, zapewne rozszawca sprawy książęcej. Od lat wielu „odpowiedzieli sobie” obaj nawzajem, t. j. jeli się jawno do broni, i długo krwawe staczali z sobą boje. Teraz na czele

trybunału, przed którym książę i Rzeszotko osobiście „parli się” o swe prawo, zassiadł w istocie wrogi oskarżonemu wojewoda. Wyrokujący pod jego przełożeniem sędzia i assesorowie sądowi przyznali słuszość książęciu. Rzeszotko miał stracić swoją dziedzinę.

Wtedy „powstał wojewoda w pośrodku zgromadzenia i łając sędziom rzekł: Luboć ten Rzeszotko ze swoim rodem nastawał na moją zgubę, a ja wżajem jego zguby pragnąłem, i codziennie o wytopieniu go z dziećmi i całym domem przemysliwałem, przecież odkąd z innymi przewodzę temu sądowi, chcę, aby mu wymierzono sprawiedliwość, jakoby najmiłszemu przyjacielowi mojemu. Inaczej nigdy z wami nie zasięde na sądach, chociażby ktokolwiek wzywał mnie lub zniewalał. Widzę bowiem, iż przeciwko Bogu i sprawiedliwości potępiacie wroga mojego. — Poczem obrócił się do księcia Janusza i przemówił: Najjaśniejszy książę-paniel! Luboć od jasności waszej spodziewam się otrzymać nieraz dobra ziemskie w darze łaski waszej książęcej, i płużyć w nich obficie niż którykolwiek z obecnych tutaj; wszelako gdybym przyzwoleniem na wyrok niesprawiedliwy poszwankować miał w mojej czci i w dusznem zbawieniu mojem, wszystkie wasze skarby i majątności książęce nie zdołałyby wynagrodzić mi stratę moją. — I chciał już wyjść z gromadzenia. Lecz książę i sędziowie, wysłuchawszy słów wojewody, pozostawili Rzeszotkę w posiadaniu dóbr obwinionych, stłumiając wyrok, który miał już wytrąbiony być przeciw niemu po rynkach”.

Najbliżej ze wszystkich urzędników koronnych otaczali przybywającą Jadwigę urzędnicy duchowni. Byli takimi mianowicie kanclerzowie, podkanclerzowie i notaryusze królestwa. Przewodził teraz wszystkim „najwyższy kanclerz państwa”, krakowski biskup Jan, następca nieboszczyka Zawiszy, Wielkopolanin herbu Korab, od swojej rodzinnej pod Kaliszem wioski

zwany „Radlica”, od swojego zaś wzrostu „Mały”. Otóż zapewne żaden z dostojników koronnych nie sprawił Jadwidze swoim widokiem tak miłego wrażenia, jak właśnie nasz „mały biskup”. Przypominał on jej bowiem pobyt w domu rodzinnym, osobę ojca zmarłego, z którym Jana Radlicę codzienne w Węgrzech łączyły obowiązki. Przyrodzona skłonność pociągnęła go za młodu do medycyny, dla której opuścił on kraj i ojczyznę, udając się na naukę do szkół francuzkich. Tam uzyskał Radlica tak nadzwyczajną biegłość w sztuce lekarskiej, iż „dość mu było spojrzeć raz na chorego, aby natychmiast odgadnąć, czy umrze, czy wyzdrowieje.

Ztąd gdy król Ludwik w czasie dłuższej choroby udał się do króla francuzkiego z prośbą o biegłego lekarza, król francuzki przysłał mu do Węgier Jana Radlicę, Kaliszanina. Za pomyślne w Węgrzech starania lekarskie został medyk królewski wyforytowany na biskupstwo krakowskie, które pomimo jednoczesnej godności kanclerskiej bardzo gospodarnego znalazło w nim zarządcę. Jak tylu innych wzorowych gospodarzy duchownych umiał „mały biskup” zgaratywać skrzętnie pieniądze, i coraz nowe kupował za nie dobra. Z przeciągu dziesięciu lat rządów biskupich zostały po nim po dziś dzień dokumenta na 26 przysporzonych kościołowi już to darem już kupnem wsi i miasteczek i takąż ilość placów miejskich, lasów, młynów, pastwisk i t. p. Do niejednego z tych nowych nabytków, jak osobliwie do nabycia Muszyny z całym okręgiem, dopomogła biskupowi później łaska Jadwigi, szanującej w nim kapłana a przyjaznej mu jako dawnemu domownikowi jej ojca.

W ogólności odkąd sprawa Ziemowitowa upadła a ręka przyszłej królowej polskiej okazała się wyobrażeniom narodu wolną od ślubów z księżciem zagranicznym, i mogła być oddaną według własnej woli narodu, odtąd coraz wyraźniejsze porozumienie za-

wiązało się między Jadwigą a duchowieństwem. Nawet najdawniejsi zwolennicy Ziemowitowi, jak np. ów przez króla Ludwika w osiągnięciu arcybiskupstwa gnieźnieńskiego przeszkodzony Nałęcz Dobrogost z Nowego Dworu, skłonili się teraz na stronę wnuki Kazimierza W. W samą porę jej przybycia do Polski wynagrodziła się Dobrogostowi bogdaj w części strata arcybiskupstwa przez podniesienie go na biskupstwo poznańskie, nie mogące obejść się bez przyzwolenia i pomocy królewskiej. Jeden też z pierwszych aktów łaski Jadwigi obdarzył tegoż samego Dobrogosta bogatym upominkiem, o którym wkrótce więcej usłyszymy. Jakby zaś w przeczuciu takich darów i pomyślności spieszyli teraz prałaci polscy ochoczo na jej spotkanie, a zwłaszcza nasi biskupi Radlica, Dobrogost i arcybiskup Bodzanta, przygotowywali się do uroczystego obrzędu koronacyi.

Jeszcze większa uciecha panowała w gronie świeckich wkoło nadjeżdżającej Jadwigi dostojników. Możnaść rozrządzania ręką młodocianej królowej na rzecz którego z książąt ościennych, osobiście tym panom wojewodom i kasztelanom obowiązane za to i nieskąpego, pozwalała wszystkim powtarzać z radością one słowa wojewody Andrzeja Ciołka: „Spodziewam się otrzymać nieraz bogate dobra ziemskie w darze łaski książęcej, i płużyć w nich obficie niż ktokolwiek z obecnych”. Nadto sama osoba księżniczki zniewalała wszystkich oczy i serca. Ujrano Jadwigę dojrzalszą od dziecinnego wieku swojego: ujrano ją nadobną jak mało dziewczę lat onych. Z czystego jej czoła jaśniała skromność, z ust rozumne płynęły słowa. To też nie było miary zachwyceniu i affektom prałatów i panów małopolskich. Zapomniawszy zgoła, iż są mężami — nadmienia surowy kronikarz — „nie sromali się najuniżeńszego posłuszeństwa tak znamienitej i cnotliwej niewieście”.

W coraz bliższej drodze ku stolicy nad Wisłą

zadziwiły młodzieńczą królowę najbardziej żupy krakowskie, Bochnia z Wieliczką. Za dni nieskończenie mniejszej różnorodności i ilości dochodów publicznych, kiedy przy nader szczupłej mierze przemysłowego wyrobu i pożytku najpożądalszym był zysk surowy — wszelkie gotowych skarbów kopalnie a między temi i kopalnie soli krakowskiej stokrotnie większą niż dzisiaj miały cenę. Toć za dochody całe prowincyi kujawskiej płacił niegdyś wielkorządca Bartosz corocznie tylko 800 grzywien. Ileż skarg dało się słyszeć wszędzie, gdy stara królowa Elżbieta odebrane Bartoszowi wielkorządztwo w nową za 2000 grzywien wypuściła dzierżawę! A żupy wielkie nie licząc ogromnej ilości surowego dodatku niosły od czasów Kazimierza W. co roku 18,000 grzywien, na dzisiejszą monetę przeszło 1 milion złotych polskich.

Oprócz tego każdy prawie z panów możniejszych, z ulubieńców królewskich, uzyskiwał już to prawo utrzymywania w żupach jednego albo kilku parobków, którzyby wieczysie sól dla niego rąbali, już to zapewnienie corocznego poboru w soli lub gotowych pieniędzy z żup. Jakoż na większą część z teraźniejszych towarzyszy Jadwigi, jak stare opiewało przysłowie, „bito żupy”. Surowy wprawdzie dla panów król Kazimierz wzbroniał wszystkim nietylko dochodów z kopalń lecz nawet przystępu do nich, z wyjątkiem jedynego pana Dymitra podskarbiego, gdy w cztery kronie przyjedzie po pieniądze kólewskie.

Wszakże od czasów „króla chłopów” wszystko się odmieniło. Teraz chłopci u grobowca królewskiego płakali, a dochody wielkie skutkiem coraz swobodniejszego rozszarpywania przez panów o znacznie więcej niż 3,000 grzywien corocznych spadły. Im większa zaś łatwość nastęrczała się ludziom do czerpania w nieprzebranych bogactwach błogosławionej ziemi wielickiej, tem słuszniej należała się niebu pobożna za nie wdzięczność. A żadne z obudwóch mia-

steczek solnych nie miało dotąd znaczniejszego zakładu kościelnego, nieposiadało ani jednego klasztoru. Owszem działały się tam jakieś dziwy złowrogie, nie od czystych zapewne brojone duchów. Opowiadano sobie, iż niekiedy z najgłębszych odchłan kopalni dają się słyszeć nocą głosy zwierzęce, szczekają psy, pieją koguty — poczem zwykle zdarza się jakieś nieszczęście. Jednym z głównych aktów pobożności przed oddaniem ręki mężowi ustanowiła Jadwiga niebawem klasztor Dominikanów w Bochni.

Z klasztorem przybywał Bochni jeden z nowych żywiołów bytu miejskiego. Nie miała ich do zbytku ani Bochnia, ani jakakolwiek z ówczesnych osad miejskich. Mając tu zrobić sobie wyobrażenie o stanie ówczesnych miasteczek polskich, należy już z poprzednich napomnień powziąć, iż jak w ogólności wszelkim miastom niesprzyjały u nas dostatecznie warunki historyczne, tak w szczególności miasteczkom pomniejszym niezbyt fortunna świeciła dola. Tylko niektóre osady, odznaczające się wyjątkowo pomyslnem położeniem, jak np. Nowy Sącz u samej bramy bogatego handlu z Węgrami, albo Bochnia, Wieliczka, Olkusz, zbudowane nad obfitymi skarbcami poszukiwanego towaru naturalnego, podniosły się i kwitnęły.

Zwłaszcza Sącz jaśniał przez czas niejaki. Pozostały nazawsze dokumentne wspomnienia o jego zamieszkańcach, o jego znacznym handlu do Torunia i Gdańsk, o jego układach kupieckich z mieszczanami krakowskimi. Mieszczanie wielicy i olkusey przykupnem wielu przyległych dziedzin szlacheckich rozpościerali coraz szerzej okrąg swoich miasteczek. Inne jednakże osady małopolskie, których np. blisko dwadzieścia miało prawo wysyłać swoich wójtów i ławników do ustanowionego przez króla Kazimierza najwyższego trybunału magdeburskiego, o mało co nad pozór siół urosły. Ludność ich składała się prawie bez wyjątku z Polaków o dzi-

siejszych nazwiskach małomieszczańskich. Mieszkający tam „sławetni” Glinka, Oczko, Kawka, Połec, Czajka i tym podobni żyli po staremu z uprawy roli i przemysłu gospodarskiego.

Służyło wprawdzie „miastkom” magdeburskie prawo miecza, lecz wiele też wsi magdeburskich podzielało z niemi ten przywilej. Miały miastka swoje cechy rzemieślnicze i swoje kramy, lecz w niejednej wsi zamożniejszej bywały także, jakieśmy to widzieli, jatki rzeźnicze, kramy szwieckie, budy piekarskie. Nawet właściwe każdemu miastku większe zakłady przemysłowe i duchowne jak młyn, folusz, browar, szpital, klasztor lub fara ze szkołą, nie stanowiły wyłącznej ich własności. Chcąc się rozpatrzyć bliżej w stanie miasteczek tamtoczesnych, wstąpmy np. do Opatowa, miasta biskupów Lubuskich. Właśnie za czasów Jadwigi zlustrowano je pospół z resztą biskupich dóbr, i w sporządzonym wtedy opisie, tej zapewne najdawniejszej lustracji któregośkolwiek z naszych miasteczek, położono co następuje.

„W Opatowie: folwark biskupi, 3 młyny, 1 myto. Do folwarku należą role, łąki, 3 rybniki, 1 ogród, dwaj ogrodnicy. Z młynu folwarcznego pobiera biskup 3, młynarz 4 części dochodu, t. j. biskup 50, młynarz przeszło 65 grzywien. Młyn pisarza miejskiego płaci biskupowi 4, młyn wojciński 6 grzywien. Myto należy w dwóch trzecich częściach do biskupa, w 1 trzeciej do pewnego pana z sąsiedztwa. Biskupia połowa myta, tudzież dochody sądowe w mieście i okręgu czynią razem 20 grzywien. Czynsze od mieszczań z domów i ogrodów za miastem i w miasteczku 14 grzywien, z jatek 9 grzywien i 9 kamieni łożu, licząc kamień po wiardunku, czyli $\frac{1}{4}$ grzywny. Pacht łązni 10 grzywien. Nadto uprawiają mieszczenie i chłopci przedmiejsy 38 łanów pola ornego, co czyni $9\frac{1}{2}$ grzywny, po wiardunku od łanu”. Suma dochodów z Opatowa 134 $\frac{3}{4}$ grzywny, z czego 8 grzywien przypada (jak się zdaje) na folwark. Dziesięcinę przy-

właszczył sobie w znacznej części dziekan kolegiaty tamtejszej, o co proces z biskupem.

Takim sposobem opłacając czynsz z łanów, „szos” z domów, pomniejsze podatki z kramów, jatek, łązni, tudzież od innych dochodów miejskich, ciesząc się głównie przywilejem jarmarków, a nie znając zgubnego spółmieszczaństwa z Żydami, różniły się miastka od siół prawie jedynie swoim obwarowaniem, swoim „parkanem” czyli ostrokołem, wałem i fosą, a w najpomyślniejszym wypadku—murem o wspaniałych blankach i basztach. Zachęcali królowie wszelkimi sposobami do wznoszenia warowni miejskich, idąc w tem już to za istotną potrzebą obrony od napadów bliskiej dziczy pogańskiej, już to za zwyczajem reszty zachodnich państw.

Wrodzona atoli Słowianom niechęć ku wszelkiemu skupieniu i zamknięciu nie dopuściła rozmiłować się tak gorąco w miejscach obronnych, jak tego przykłady widzimy u mieszczaństwa zachodnich krajów. Od własnego narodu nie groziły mieszczańom polskim, jak np. mieszczaństwu niemieckiemu żadne zdawien dawna najazdy i rozboje, a przed Ordą wolał ubogi mieszczański uchodzić do klasztoru lub w lasy, niż czuwać ustawicznie nad swoim grodem. Zdarzało się więc nieraz, że jak późniejszy poeta o podobnych mówił warowniach, „w cekaunie półcie wisiaty, wieprze wał ryły. Okoliczni zaś włościanie sarkali otwarcie na warowną „klauzurę” małomiejską, skarząc się słowami erekcy kościoła w Biezanowie tuż pod Wieliczką, że gdy takie miastko zamknie się na noc w swych murach, tedy nawet księdza z Panem Bogiem nie można przywołać z tamtąd do chorego we wsi pobliskiej. Zaczem bez współczucia u swoich, bez wielkiego pożytku dla reszty kraju, wiodły nasze miastka skromny, wieśniaczy żywot, świeciły jedynie nieco poważniejszym strojem swoich mieszkalców, a w zbiegu szczególnych okoliczności wracały bez

gwałtownej przemiany do swoich sielskich pierwiastków, przeistaczały się znowuż w wieś.

Jużci inaczej żyły i myślały miasta znacznie-sze, starsze, jak np. nadwiślański Sandomierz, lub nawet nowsze, lecz wyjątkowo szczęśliwie położone, jak ów Sądecz przy gościńcu węgierskim, Jarosław na trakcie ruskim. Te zapatrywały się dumnie na Kraków, a miejskie życie Krakowa, to widok wcale odmienny. Nie można było powziąć o niem wyobrażenia, aż wjechawszy w mury stołeczne. Ztąd cudzoziemcy, obcy słowiańskiemu zamiłowaniu w pożyciu wiejskiem, a rozmiłowani natomiast w mieszczaństwie i gwarze miejskim, nie widząc tego życia miejskiego prawie nigdzie zresztą na ziemi polskiej, a zdziwieni jego okazałością w Krakowie, mawiali o nim z przesadą: „Kraków, to cała Polska!”

Jakoż rozległa się wreszcie ta druga Polska przed oczami swojej nowej królowej. Rozległa się na dolinie u stóp ostatniego podgórze Karpat, przedzielonego od niej błyszczącą wstęgą Wisły. Od strony gór oblewała ją dawna Białawoda narodów, cisnąca się tu przeciwko swojemu przeznaczeniu upornie ku południowi. Opuściwszy bowiem dla niego najpierwej swój pierwotny bieg między górą Wawel a miastem, ażeby się rozlać bardziej południowym korytem między Stradoniem a Kazimierzem, opuściła później także to naważne łożo, obrócone po zamuleniu w spławny kanał przez Kazimierza W., aby jeszcze bliżej ku południowym skierować się Krzemionkom.

Od zachodu i wschodu obejmowały południową część stolicy przyboczna Wisła Rudawa i toż stare koryto Wisły. Dalej ku północy, z prawa i z lewa, jedną tylko kleparską stroną wolny od miasta pozostawiając przystęp, chroniły je moczary i jeziora. Po za temi naturalnemi warowniami wznosiły się malownicze wzgórza, strojne w cisowe i modrzewiowe gaje, a w nieco znaczniejszej odległości sterczały graniczne słupy mnogich dokoła krajów, jako to: Szlązka

czeskiego, Moraw, Węgier, Rusi, Litwy, Podola; do którego położenia mierząc, mawiano niegdyś: „Kraków w pośrodku.”

Owoż w pośrodku takich bliższych i dalszych miedzy, w objęciu warownych wałów i fos rozpościerało się miasto z okragła, przestronnie, półkolisto ku północy od Kielc, cieśniej, w przydłuższą zwężone szyję ku zamkowi nad Wisłą. „I było coś podobne do lutni okragłością swą, a grodzka ulica i z zamkiem jest jako szyja u lutni właśnie. Miało też coś podobnego do orła, którego głowę reprezentuje zamek, grodzka ulica szyję, przedmieścia zasię około niego są jako skrzydła jakie.”

Pierwsze, co uderzało w tem orle, to jego głowa koronna, „wyższy” zamek krakowski. Przydatek „wyższy” nie zdawał się za dni Jadwigi tak zbytecznym, jak później, gdyż nad Krakowem XVI stulecia czuwały z dwu stron dwa zamki. Od wschodniej strony, na prawem skrzydle miasta, gdzie późniejszy kościół N. Panny na Gródku, wznosił się zamek „mniejszy,” czyli tak zwany Grodek, niegdyś siedziba wójtów krakowskich, po buncie wójta Alberta przebudowana w twierdzę. Ze strony południa pauował nad miastem „większy” zamek, na „wielkim” usadowiony Wawelu.

Jak bowiem dwa zamki, tak były też w ówczesnym Krakowie dwa Waweły, właściwiej Wawele, albo Wawle. „Małym” Wawlem, czyli Wawelnicą zwano późniejszą Skatkę. Wielki Wawel uwieńczony był zamkiem królewskim, zawierającym w obwodzie swoich murów jakoby miastko osobne, bo oprócz głównej świątyni katedralnej jeszcze kilka innych kościołów, jak np. św. Jerzego i Michała. Większą część tych murów zamkowych wznosił wielki budowniczy całej Polski, Kazimierz.

Zresztą strzegły jeszcze Krakowa z północy i południa dwie inne twierdze, dwie warownie duchowne. Były to dwa przestawne kościoły, błogie miastu za-

wartemi w nich świętościami. Jeden, południowy na Skałce, przechowywał zwłoki św. Stanisława, patrona całego kraju; drugi, północny na Kleparzu, sływał zwłokami św. Floryana, patrona miasta w niebezpieczeństwie ogniem. A któreż z miast doznawało częściej tego niebezpieczeństwa nad Kraków, to starodawne miasto pożarów, „nieustającym zgłiszczem” nazwane od nich, wiczyście jak Fenix odradzające się z gruzów!...

Owóż w obliczu tej nadobnie po za Wisłą rozścielonej stolicy przyjechała Jadwigę na Krzemionkach, czyli tak zwanej górze Lasoty, zwyczajnym wówczas miejscu ceremonij podobnych, świąteczna procesya duchowieństwa, mieszczanstwa i ludu krakowskiego. Po chorągwiach kapituły i klasztorów ciągnęło pod swoją własną chorągwią dostojne grono panów rajców krakowskich, jaśniejących bogatym jedwabnym strojem, srebrzystymi pasami, czyli, jak wówczas mówiono, „obrzeczami,” aksamitnymi kołpakami i przypiętym u pasa kordelasem. Za orszakami „konsulów” postępowały mniej okazałe grona i proporce cechów różnych. Na chorągwi radzieckiej były wyszyte herb i złociste klucze stolicy; z proporcą cechu każdego powiewało właściwe każdemu znamię, z podobnym wizerunkiem kluczy miejskich.

Za zbliżeniem się królowej wszystkie chorągwie głęboki oddawały jej pokłon. Za tem szła zwyczajna ofiara podarku powitalnego. Składał on się pospolicie z drobnostki, mając jedynie wartość symboliczną, jako znak hołdu i danniczości. Podarkowi zaś, chorągwiom i oznakom radości ludu towarzyszył rozgłos wrzawnej muzyki, nieodbitie potrzebny przy każdej uroczystości ówczesnej. Grzmiały różnego rodzaju trąby, surmy, fletnie, piszczałki; wtórzyły im równie głośne okrzyki tłumów, a umyślnie z kasy miejskiej ku uczczeniu przyjazdu królewskiego opłacani trefnisie i kuglarze rubasznymi figlami i żartami rozweselali pochód ku miastu.

U bram stolicy oczekiwały Jadwigę nowe sceny przyjęcia. Tam przy odgłosie licznych dzwonów krakowskich witała zwyczajnie przybywających do miasta królów strojna procesya najnadobniejszych dzieci, ubranych w barwę radości, w biel, z zapalonymi świecami w ręku, z wesołym śpiewem na ustach. Nie brakowało w powszechnym wylaniu się stanów nawet młodzieży szkolnej, śpiewającej głośno za grosz. Najulubieńszem atoli godłem uciechy bywały niezmiernie gęste światła i świece, jarzące się w ręku duchowieństwa i ludu, w powywieszanych przed domami latarniach, owszem, w ogromnych stosach ogniastych, nieconych swawolnie po ulicach i placach miejskich.

Śród takich oznak radości, tem zapewne weselszych, iż młodocianą, prawie jeszcze dziecinną powitać i zabawić miały królowę, minęła Jadwiga mało dotąd zabobonna, tylko świątyniami pańskimi jako tako zapełnioną przestrzeń Kazimierza, i niewidząc jeszcze właściwego miasta Krakowa, wjechała z całym swoim dworem na zamek. Ostatni krok każdej dłuższej podróży prowadził podówczas zwyczajnie do świątyni. Tam też w progi katedry zamkowej skierowała dziewica krakowska niewątpliwie swe pierwsze kroki. Wynoszono w takim razie naprzeciw gościowi koronnemu najprzedniejsze relikwie, po których ucałowaniu zostawiała ręka królewska bogatą ofiarę na ołtarzu. Otworzyły się wreszcie podwoje zamkowe przed Jadwigą. Po jakież tam pożyocie, po szczęście-li, czy cierpienia wstąpiła w nie córka Ludwika?

Wesołe usposobienie tamtoczesnej ludności miejskiej nie potrzebowało tak ważnego zdarzenia, jakim dla Polski stał się przyjazd Jadwigi, aby całe miasto w głośną wprawić uciechę. Długo po zamknięciu bramy grodzkiej za nowoprzybyłym dworem trwały w mieście rozrywki, pąsy i krotochwile. Blizka ko-

ronacya królowej wróżyła jeszcze większą wesołość. Po koronacyi zostawała równie świetna uroczystość przyszłych zaślubin Jadwigi, tak błogie nadzieje budzących w całym narodzie.

Nieustająca pora uciech i pomyślności zdawała się wschodzić z Jadwigą. Przypatrzmy się najprzód pierwszemu z tych spodziewanych obrzędów: koronacyi.



KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ.

